

Mary Brendan

*Rodzinny  
skandal*

## Rozdział pierwszy

- Bzdury, moja droga! Nie widzę w tym nic niepokojącego. Chłopcy lubią czasem trochę podokazywać. Zapewniam cię, że niepotrzebnie się martwisz. - Cecil Beaumont uśmiechnął się promiennie do *swejej* ślicznej rudowłosej córki. - Nie dąsaj się. Wróci, kiedy się wyszumi.

- Tarquin nie jest już chłopcem, papo - stwierdziła z naciśkiem Emily Beaumont. - Ma dwadzieścia siedem lat i podejrzewam, że tym razem pozwolił sobie na zbyt wiele. Może nie zdołał dogadać się z wierzycielami i wpadł w tarapaty.

Zmrużyła niebieskie oczy, przywołując w pamięci wcześniejsze sytuacje, kiedy to jej starszy brat omal nie popadł w ruinę za sprawą hazardu i innych szaleństw. Jednakże dotąd nie zdarzyło mu się zniknąć na dłużej niż kilka dni, po których zwykle zjawiał się cichy i skruszony.

- Może powinniśmy dowiedzieć się, czy znów nie trafił do aresztu - powiedziała.

Cecil Beaumont zbył jej obawy lekceważącym machnięciem ręki.

- Nie ma potrzeby, moja droga. - Wziął do ręki pióro i pochylił się nad księgą rachunkową.

Emily nie dała się jednak tak łatwo przekonać. Zbliżyła się do okna, przez chwilę w milczeniu wyglądała przez szybę, po czym wolno przeszła w głąb gabinetu ojca i z westchnieniem opadła na stary fotel.

Tarquin miał pojawić się w domu rodziców przy Callison Crescent, żeby zabrać brata Roberta do pracowni krawieckiej. Nie pokazał się jednak o wyznaczonej godzinie przed pięcioma dniami, nie kontaktował się też z rodziną od tamtego czasu, by usprawiedliwić swą nieobecność i za nią przeprosić. Tego rodzaju zachowanie wydawało się Emily niezrozumiałe i niepokojące nawet u osoby tak skupionej na sobie, jak jej brat.

Pani Beaumont tamtego popołudnia skwitowała zachowanie syna cierpką uwagą na temat „bezdusznych łobuzów”, po czym zaopatrzona w portfel męża, osobiście zaprowadziła Roberta do krawca. Obecnie zaś, zagadnięta przez Emily o Tarquina, podobnie jak mąż nie okazała większego zainteresowania poczynaniami najstarszego syna.

Pan Beaumont uniósł wzrok znad rachunków i spojrzał na córkę z ojcowską troską. Odłożył pióro na podkładkę, cmokając z lekkim zniecierpliwieniem.

- Daj spokój, moja droga. Proszę cię, nie rób takiej ponurej miny. Gdyby Tarquinowi groziło więzienie, zaręczam ci, że do tej pory zwróciłby się do mnie o pomoc. - Cecil Beaumont zaśmiał się niewesoło. - Nie pójdę go szu-

kać, żeby rozwiązywać jego problemy... jeśli jakieś ma, bo wiem, że w razie potrzeby i tak sam mnie znajdzie.

Kiwnąwszy zdecydowanie głową, jakby na potwierdzenie swej zwięźle wyłożonej filozofii, powrócił do pisania. Przez dłuższą chwilę w gabinecie panowała cisza. Gdy w końcu uniósł wzrok znad książki, zobaczył, że córka wciąż siedzi w fotelu, pogrążona w melancholijnej zadumie.

- Emily! - odezwał się tonem wyrażającym rezygnację.  
 - Skoro tak bardzo nie daje ci to spokoju, wybiorę się na Westbury Avenue i sprawdzę; może jego gospodyni wie, gdzie mógł się podziać.

Emily natychmiast się rozpogodziła.

- Obiecujesz, papo? - spytała z nadzieją.

Cecil Beaumont potwierdził ruchem głowy.

- Potem mogę wstąpić na St. James Street, do jego klubu.

Uśmiech zmazał resztki troski z urodziwych rysów Emily. Jej ojciec ponownie schylił głowę nad rachunkami i znaczącym pokastywaniem dał córce do zrozumienia, że ich rozmowa definitywnie dobiegła końca.

Emily podniosła się wdzięcznie w fotela i poszła na górę do swojego pokoju.

Podniesiona na duchu, wyjrzała przez okno na ulicę. Z pewnym zainteresowaniem i jednocześnie rozbawieniem obserwowała, jak lokaj ich sąsiadów maszeruje tam i z powrotem po chodniku, starając się przyciągnąć uwagę służącej, szorującej schody domu naprzeciwko. Twarz młodej kobiety miała barwę równie ognistą, jak jej włosy; sprawia-

ła wrażenie zbyt zgrzanej i zaabsorbowanej pracą, by w tym momencie zawracać sobie głowę jakimkolwiek flirtem.

Emily przeniosła wzrok na czyste lazuruwe niebo, a potem na nabrzmiące zielone pąki na rosnących wzdłuż ulicy lipach. Postanowiła odwiedzić przyjaciółkę Sarę Harper, która mieszkała zaledwie kilka przecznic dalej. Mogłyby pójść na spacer, gdyby Sarze spodobał się pomysł spędzenia popołudnia na pogawędce i wędrowce po sklepach. Dzień był wyjątkowo pogodny i po tygodniu nieustających opadów byłoby miło wyrwać się z domu i zażyć trochę świeżego powietrza.

Emily, gotowa do wyjścia, wkładała płaszcz, kiedy w holu pojawiła się jej matka.

- Jeśli wybierasz się do miasta, musisz wziąć ze sobą Millie - pouczyła ją, surowo marszcząc czoło. - Ta jędza uznawała za stosowne donieść mi, że ostatnio widziała cię samą, bez choćby pokojówki.

Emily, niezbyt przejęta uwagą, lekko uniosła brwi. Wiedziała, kogo matka ma na myśli, jako że obie panie od dawna były zaciekłymi wrogami.

- Cóż, mam, musisz powiedzieć Violet Pearson, że skończyłam dwadzieścia cztery lata i potrafię sama o siebie zadbać.

- Wiesz, że twój wiek nie ma tu nic do rzeczy - zaczęła pani Beaumont, ale jej zamiar udzielenia córce lekcji na temat etykiety i zagrożeń związanych ze staropanieństwem spełzył na niczym.

Córka pomachała jej dłonią na pożegnanie i w podskokach wybiegła z domu. Penelope Beaumont jeszcze przez chwilę wpatrywała się w drzwi, po czym wzruszyła ramionami - od dawna była przyzwyczajona do samowoli córki. Irytujące było raczej to, że jakieś wiedźmy niemające nic lepszego do roboty pozwalały sobie zwracać jej uwagę. W końcu, okręciwszy się na pięcie, poszła do salonu, by pokrzepić się łykiem sherry.

- Takie zachowanie jest rzeczywiście dziwne - przyznała Sara z zamyśloną miną. - Twój brat z pewnością dałby wam znać, gdyby zamierzał wyjechać z miasta.

Przyjaciółki, trzymając się pod ręce, zmierzały w stronę Regent Street. Postanowiły obejrzeć wystawę nowej francuskiej modniarki, która ostatnio otworzyła tam swój zakład.

Wyraz twarzy Sary nagle się zmienił, jakby ożywiła go nadzieja.

- Może Tarquin zakochał się i przeniósł na wieś, żeby asystować swojej wybrance.

Emily zachichotała.

- Bardzo bym chciała, żeby jego nieobecność miała tak szlachetny powód. Niestety, jedyną wybranką Tarquina jest lady Fortuna. Żadna prawdziwa kobieta nie może konkurować z tak wymagającą kochanką. - Uśmiechnęła się znacząco do Sary. - Zapewne papa ma rację, niepotrzebnie się martwię. Mój bezmyślny brat prawdopodobnie zabawia się teraz z którymś ze swoich kompanów. To nieładnie, że nas nie powiadomił i zawiódł brata. Są z Robertem w przyja-

cielskich stosunkach mimo dzielącej ich dużej różnicy wieku. - Znów się zasępiła. - Przykro było patrzeć na rozczarowanie Roberta. Wrócił już do szkoły i w ogóle nie widział się z Tarquinem.

Sara pociągnęła Emily za ramię, kierując jej uwagę na witrynę sklepu madame Joubert. Za szybą rozpościerały się połacie lśniących jedwabi, udrapowanych w taki sposób, by podkreślić ich znakomity gatunek.

- Ten morski kolor jest po prostu boski... a ten złoty ma niezwykły odcień. - Emily przechyliła głowę, próbując zajrzeć w głąb sklepu. - W środku mają więcej...

Sara przerwała zachwyty przyjaciółki nad pięknymi tkaninami.

- Popatrz, kto nadchodzi! - syknęła jej do ucha, jednocześnie szturchając ją w żebra. - Jego powinnaś spytać, czy przypadkiem nie wie, gdzie podziewa się Tarquin. Ostatecznie są dobrzy znajomymi.

Emily rozejrzała się po ulicy i natychmiast wypatrzyła mężczyznę, o którym Sara mówiła z takim przejęciem. W istocie trudno byłoby nie zauważyć kogoś takiego. Mark Hunter był wysoki i barczysty, miał urodziwe męskie rysy i wszędzie, gdzie się pojawił, budził żywe zainteresowanie wśród pań. Emily rozpoznała elegancką kobietę, która mu towarzyszyła, kurczowo uczepona jego ramienia. Było powszechnie znaną tajemnicą, że Barbara Emerson jest kochanką Marka Huntera.

- Widzę, że pan Hunter prowadzi się ze swoją *chere amie* - szepnęła Sara.

- Myślę, że łączy ich znacznie więcej - odpowiedziała jej Emily z tłumionym chichotem. - Słyszałam pogłoski, że Mark Hunter zamierza ożenić się z panią Emerson. Wyobrażam sobie, że uważa się za jego nieoficjalną narzeczoną.

Sara uniosła brwi w wyrazie zdumienia.

- Zastanawiam się, kto mógł rozpuścić taką plotkę - odparła cierpkim tonem. - Zresztą, dopóki on tego oficjalnie nie potwierdzi, dopóty istnieje nadzieja dla nas wszystkich. Boże, jakież on przystojny! - dodała i westchnęła z rozmarzeniem: - Chyba zaraz zemdleję.

Sara dobrze wiedziała, że Emily nie lubi tego człowieka.

- I cóż z tego, że gładki? Nie to jest najważniejsze - powiedziała.

Mimowolnie jednak skierowała wzrok na obiekt tak podziwiany przez Sarę i dobrze mu się przyjrzała. Bez wątpienia Mark Hunter prezentował się nader atrakcyjnie, lecz Emily miała powody, by uważać go za bezdusznego łobuza. Czyż to nie za jego sprawą w przeszłości Tarquin trafił do aresztu, ponieważ był mu winien pieniądze? Jednak mimo tej zdrady brat Emily nadal lubił Marka i uznawał go za przyjaciela. Kilka razy próbowała się dowiedzieć, skąd to dziwne przywiązanie Tarquina do człowieka, który okazał się wobec niego nielojalny, ale w odpowiedzi słyszała zawsze tylko tyle, że Mark nie jest wcale zły.

Emily zastanowiła się nad sugestią Sary, by wykorzystać to przypadkowe spotkanie. Może Mark Hunter wiedział, czy Tarquin był ostatnio w Brighton lub na wyścigach w Newmarket albo w jakimś innym podobnym miejscu,



gdzie gromadzą się panowie z wyższych sfer. Nadarzała się okazja, by zasięgnąć informacji, i nie powinna jej zmarnować.

Nim się spostrzegła, wytworna para prawie się z nimi zrównała.

- Panno Beaumont... panno Harper. - Mark Hunter skłonił głowę, równocześnie zwalniając kroku, by dać napotkanym paniom dość czasu na odwzajemnienie pozdrowienia.

Sara zrobiła to natychmiast; jej dygnięciu towarzyszył nieco spłoszony uśmiech. Emily jedynie skinęła głową, wymieniając jego nazwisko. Mark Hunter przyglądał jej się otwarcie, więc i ona spojrzała mu w oczy. Zauważyła, że mają niezwykle odcień niebieskiego, podobny do barwy jedwabiu, który przed momentem podziwiała na wystawie sklepu madame Joubert.

Chłodne przyjęcie wywołało lekki uśmiezek na ustach Marka; Emily dostrzegła błysk wesołości także w głębi jego oczu. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że go nie lubi, zwłaszcza że kiedyś otwarcie mu to powiedziała. Żywiła nadzieję, że ma również świadomość, iż nie działają na nią jego męskie wdzięki. Niestety, nie można było powiedzieć tego samego o Sarze. Emily skarciła przyjaciółkę surowym spojrzeniem.

Zniecierpliwiona tym, że jej kochanek nie kryje zainteresowania obecnością Emily Beaumont, pani Emerson szybko przerwała kłopotliwe milczenie, nawiązując rozmowę.

- Dawno pani nie widziałam, panno Harper - zwróciła

się do Sary. - Jakże się miewa pani matka? Kiedy ostatnio ze sobą rozmawialiśmy, dokuczał jej reumatyzm.

- Polepszyło jej się, dziękuję - odpowiedziała grzecznie Sara. - Kondycja mamy poprawia się wraz z pogodą.

Barbara Emerson uprzejmym mruknięciem dała do zrozumienia, że cieszy ją ta wiadomość, po czym skierowała uwagę na Emily.

- Panią też miło widzieć, panno Beaumont. A pani rodzina ma się dobrze?

Emily przytaknęła z powściągliwym uśmiechem. Domyślała się, że Barbara Emerson może być od niej starsza nie więcej niż rok lub dwa, jednak jej wyniosły i zarazem swobodny sposób bycia sprawiał, że Emily czuła się przy niej jak nieopierzony podłotek.

Barbara, mając dziewiętnaście lat, wyszła za pewnego zaможnego człowieka, w wieku dwudziestu jeden owdowiała, dziedzicząc przy tym fortunę, a obecnie była kochanką i prawdopodobnie przyszłą żoną jednego z najbardziej pożądaných kawalerów z elity. Emily musiała w duchu przyznać, że bogactwo życiowych doświadczeń w pewnym stopniu usprawiedliwia poczucie wyższości okazywane przez tę kobietę.

Widząc, że jej wysiłki, by oderwać uwagę kochanka od panny Beaumont, nie odnoszą oczekiwanego skutku, Barbara próbowała nakłonić Marka do przestąpienia progu sklepu, ściskając lekko jego ramię.

W tym samym momencie Emily poczuła łokieć Sary na swym boku; przyjaciółka milcząco przypominała jej, by zapytała o Tarquina, nim straci po temu sposobność.

Mark delikatnie, lecz stanowczo wyswobodził się z uścisku Barbary. Z lekkim rumieńcem na oliwkowych policzkach zbliżyła się ona do witryny, by obejrzeć jedwabie, za ledwie przed chwilą podziwiane przez Emily i Sarę, która teraz podeszła do niej i wskazała na złocisty materiał.

- Czy pani brat jest w domu, panno Beaumont? - zagadnął Mark.

- Nie, dziś rano wrócił do szkoły - odparła natychmiast Emily.

Mark wykrzywił usta w cierpkim uśmiešku.

- Miałem na myśli pani starszego brata - sprostował łagodnie.

- Ach... myślałam, że chodzi panu o Roberta... Spodziewałam się, że pan wie, że Tarquina z nami nie ma.

Emily nerwowo zwilżyła językiem suche wargi. Poczuliła się trochę skrępowana nieporozumieniem, ale jej zakłopotanie brało się przede wszystkim stąd, że Mark cały czas przyglądał jej się przenikliwym wzrokiem.

- Właściwie miałam pan spytać, czy przypadkiem pan nie wie, gdzie może być Tarquin - wyjaśniła.

Mark zmarszczył czoło; najwidoczniej wyczuł niepokój w głosie Emily.

- Nie spotkałem go od zeszłego tygodnia, kiedy graliśmy w karty w klubie White'a. Zaszedłem dziś rano do jego domu przy Westbury Avenue, ale gospodyni powiedziała, że nie widziała go od paru dni. Sądziłem, że zatrzymał się u rodziny przy Callison Crescent. Nie ścigam go za karciane długi, zapewniam panią - dodał szybko na widok

jej miny. - Tarquin wyraził zainteresowanie przyjazdem do Cambridge, to wszystko.

Emily przypomniała sobie, że Mark Hunter posiada rozległe dobra w Cambridgeshire. Tarquin był już tam kiedyś i wrócił pod wrażeniem rozmiarów posiadłości oraz wykwintnego sąsiedztwa. Przeniosła się myślami do nieco świeższych wspomnień: do niedawnej rozmowy z ojcem. Nie udało jej się ukryć rozczarowania.

- Papa powiedział, że po południu zajrzy na Westbury Avenue. Z tego, co pan mówi, niepotrzebnie straci czas. - Wyrwało jej się mimowolne westchnienie. - Tarquin nie powinien tak znikać bez słowa. - Spojrzała na Marka wzrokiem pełnym niepokoju. - Może przychodzi panu do głowy, gdzie mógłby teraz przebywać? Wiem, że lubi nietypowe rozrywki. Może odbywają się zawody bokserskie albo walki kogutów i z ich powodu wyjechał z miasta?

Mark przyjrzał się uroczej twarzy w kształcie serca, ściągniętej troską o brata. Emily Beaumont chciała, żeby jej pomógł, a on z wielką ochotą by to uczynił. Niestety, nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Tarquin.

Mimo iż był świadomy, że panna Emily Beaumont go nie lubi, Mark zawsze odczuwał pewną słabość do siostry Tarquina. Nie chodziło o to, że mu się po prostu podobała, choć owszem, była śliczna i miała piękną kobiecą figurę.

W tej chwili jej kształty były skromnie ukryte pod obszernym aksamitnym płaszczem, ale widywał ją w innym stroju i miał okazję podziwiać urocze krągłości, rysujące się pod jedwabiem sukni we wszystkich właś-

ciwych miejscach. Przy takich okazjach krew szybciej pulsowała mu w żyłach i kusiło go, by spróbować jakoś zmienić jej niepocholebną opinię o nim. Wiedział jednak, że nie byłoby to łatwe, co stanowiło kolejny powód, dla którego go fascynowała.

Emily Beaumont miała wyrazisty charakter i nie brakowało jej śmiałości, by rzucać wyzwania oraz wypowiadać swoje zdanie. Większość młodych kobiet w jego obecności oblewała się rumieńcem i dukała nieporadnie. Po Emily pręcej mógł się spodziewać, że spiorunuje go spojrzeniem pięknych oczu, niż że będzie zalotnie trzepotać tymi cudownie długimi rzęsami.

Teraz jednak patrzyła na niego błagalnie i natychmiast poczuł, że miałby szansę przekonać ją, iż nie jest takim bezdusznym typem, za jakiego go dotąd uważała. Miał dość powodów, by sądzić, że jej brat paskudnie kłamie, żeby wymigać się od zobowiązań. Postanowił jednak zachować te przypuszczenia dla siebie i postąpić po rycersku wobec zmartwionej dziewczyny.

- Nic mi nie wiadomo, by obecnie miały miejsce tego rodzaju wydarzenia - rzucił swobodnie. - To wcale nie znaczy, że się nie odbywają. Mogę trochę popytać tu i tam i spróbować go odnaleźć, jeśli pani sobie życzy - zaproponował.

Emily odpowiedziała mu spontanicznym uśmiechem.

- Dziękuję panu. Byłabym wdzięczna, gdyby pan to zrobił. Chciałabym się upewnić, że Tarquinowi nic nie grozi, że po prostu postępuje jak zwykle bezmyślnie i samo-

lubnie. - Ugryzła się w język, łapiąc się na tym, że pozwoliła sobie na zbyt krytyczną ocenę charakteru brata.

Do tej pory, ilekroć była mowa o wybrykach Tarquina, od-  
ruchowo stawała w jego obronie. Jednakże jej cierpliwość dla  
poczynań niesforenego brata zaczynała powoli się wyczerpy-  
wać. W przeszłości wiele razy przyprawiał rodzinę o zgryzotę  
swoimi nieodpowiedzialnymi wyczynami, a oni zawsze zgod-  
nie go wspierali i chronili. Tarquin niewiele dawał im w za-  
mian, nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by podziękować.  
Emily domyślała się, że okazywany przez rodziców brak za-  
interesowania miejscem pobytu Tarquina bierze się przede  
wszystkim z ulgi, że ich pierworodny na jakiś czas uwolnił ich  
od siebie i swoich problemów.

Emily westchnęła z rezygnacją. Żałowała, że nie potrafi  
tak jak ojciec i matka zapomnieć o Tarquinie. Zważywszy  
na to, że przez niego straciła szansę na szczęście z jedy-  
nym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochała, wydawało  
się tym bardziej dziwne, że nie była zdolna odżegnać się od  
swego niepoprawnego brata.

Otrząsnąwszy się z niewesołych rozmyślań, Emily od-  
kryła, że Mark Hunter wciąż uparcie się w nią wpatruje.  
Z pewnością nie uszło jego uwagi, że na moment wypad-  
ła z roli lojalnej siostry. Mogła też domniemywać, że był  
zaskoczony tym, że zwróciła się do niego otwarcie z tak  
osobistą sprawą, wyzbywając się okazywanej mu dotąd re-  
zerwy.

Zaledwie przed paroma minutami przywitała go z wy-  
rażnym chłodem. Nagle poczuła się niezręcznie. Oboje wie-

dzieli, że ta gwałtowna zmiana nastawienia wynikała jedynie z faktu, że potrzebowała jego pomocy. Błysk w oczach Marka musiał oznaczać kpinę; prawdopodobnie uznał ją za hipokrytkę. Bo i dlaczegóż nie miałby o niej myśleć w taki sposób? Niewiele brakowało, by sama zaczęła się za taką uważać. Emily opuściła głowę i odruchowo się cofnęła.

- Zamierzała pani wejść do sklepu i dokonać zakupów?  
- zagadnął szybko Mark, pragnąc ją powstrzymać przed natychmiastowym odejściem.

Emily zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie... oglądałyśmy tylko wystawę. Jeśli spotka pan mojego brata, panie Hunter, proszę mu z łaski swojej przypomnieć, gdzie Beaumontowie mieszkają. Może uzna za stosowne tam zawitać. Życzę panu miłego dnia, sir.

Mark uśmiechnął się kącikiem ust, rozbawiony ironicznym tonem Emily.

- Będę pamiętał, panno Beaumont. Od razu dam pani znać, jak tylko uda mi się dowiedzieć, gdzie może przebywać Tarquin.

Podziękowawszy mu, Emily podeszła do przyjaciółki i pani Emerson. Sara nie ustawała w wysiłkach, by wciągnąć Barbarę w rozmowę na temat francuskiej mody, jednakże z mizernym powodzeniem, ponieważ w odpowiedzi uzyskiwała jedynie wyjątkowo zdawkowe, wypowiedane półgębkiem uwagi.

Po uprzejmym pożegnaniu Emily i Sara ruszyły dalej Regent Street. Nie uszły więcej niż parę jardów, gdy Sara obejrzała się przez ramię.

- On nadal na ciebie patrzy - szepnęła przyjaciółce wprost do ucha - a pani Emerson ma wściekłą minę, zupełnie niepasującą do damy.

- Równie dobrze może patrzeć na ciebie - zbyła ją Emily. - Barbara pewnie jest niezadowolona, że spotkanie przeszkodziło jej w zakupach. Nie mogę powiedzieć, bym miała jej to za złe. Te jedwabie wyglądały cudownie. Szkoda, że nie widziałyśmy, co jeszcze trzymają na półkach.

- W takim razie wracajmy - podchwyciła ochoczo Sara. - Czemu nie miałybyśmy wstąpić do sklepu? Ostatecznie dotarłyśmy do madame Joubert jako pierwsze.

- Nie bądź niemądra, to by wyglądało, jakbyśmy ich śledziły. - Emily pociągnęła Sarę za ramię, odwracając ją twarzą do siebie. - I, na miłość boską, przestań się na nich gapić!



## Rozdział drugi

- Przestań się na nich gapić, do licha!

Obuta stopa młodej kobiety wylądowała gwałtownie na goleni jej towarzysza, który zachnął się, mamrocząc pod nosem jakieś przekleństwo.

- Czemu to robisz?

- Żebyś przestał gapić się jak dureń - wypaliła w odpowiedzi Jenny Trent. - To nie jest odpowiedni czas i miejsce, by nas zobaczono. - Kobieta rzuciła ukradkowe spojrzenie spod na wpół opuszczonych powiek. - Założę się, że elegant, z którym rozmawiała, zauważył, że ją obserwujemy. A przecież nie chcemy mieć do czynienia z takimi jak on!

Mickey Riley z udawaną obojętnością odwrócił się, żeby popatrzeć na drugą stronę ulicy. Na moment jego wzrok skrzyżował się z badawczym spojrzeniem Marka Huntera. Mickey z powrotem skupił uwagę na swej towarzyszce.

- Ten facet ci się przygląda - oznajmił z błyskiem pożądliwości w oczach. - Już ja znam ten typ. Ma forsę jak lodu i myśli, że żadna mu się nie oprze. - Przygryzł wargę; jego

twarz przybrała wyraz chytrłości. - Mogliśmy wybrać kogoś bogatszego od Beaumonta.

- Trochę spóźnione żale. - Jenny pociągnęła go za ramię, ponaglając do odejścia. - Ty i te twoje wymysły - powiedziała ze złością.

Mickey Riley ostatni raz przyjrzał się przestępującemu próg modnego sklepu wytwornemu mężczyźnie, którego śliczna towarzyszka wskazywała na któryś z materiałów wyeksponowanych na wystawie. Mężczyzna nie wydawał się zainteresowany tym, na co usiłowała zwrócić mu uwagę, bo ponownie rzucił okiem na drugą stronę ulicy.

- Jestem pewien, że mu się spodobałaś. Pokaż mu coś, żeby go zachęcić - powiedział z ożywieniem.

Jenny skrzywiła się, wyraźnie zła na swego kompana, lecz jednocześnie odruchowo uniosła spódnicę, odsłaniając kształtne kostki i część łydek. Potrząsnęła przy tym bujnymi kasztanowymi lokami, tak że zafalowały wdzięcznie pod misterną kompozycją z piór, upiętą na czubku głowy.

- Dobra dziewczynka - pochwalił Mickey i z uśmiechem wyrażającym głębokie zadowolenie wziął ją pod rękę.

Mark Hunter widział, jak osobliwa para oddala się w głąb Regent Street. Gdyby Mickey Riley znał jego myśli, zapewne nie byłby tak pewny siebie. To nie Jenny wzbudziła bowiem zainteresowanie Marka, tylko Mickey.

Pozwolił, by Barbara wprowadziła go w końcu do sklepu. Kiedy pokazywała mu rzeczy, które najbardziej jej się spodobały, odpowiadał wprawdzie stosownymi mruknięciami, ale myślami był zupełnie gdzie indziej.

Zakrawało na dziwny zbieg okoliczności, że Emily Beaumont wspomniała o Tarquinie i walkach kogutów tuż przed tym, nim dostrzegł człowieka, którego ostatnio widział kłócaącego się z Tarquinem podczas walk kogutów na Spitalfields Market. Spór wyglądał na ryle poważnie, że Mark uznał za zasadne spytać o tożsamość tego mężczyzny. Tarquin zgodził się podać mu jego nazwisko, gdy chwilę potem spotkali się przy ringu, żeby oglądać zawody bokserkie, ale wyraźnie nie miał ochoty powiedzieć czegokolwiek więcej na temat Mickeya Rileya czy powodu nieporozumienia.

Incydent ów zdarzył się przed kilkoma tygodniami, ale Mark miał dobrą pamięć do twarzy, a do tego wygląd Rileya zdecydowanie rzucał się w oczy. Prawdopodobnie był w tym samym wieku, co Mark, czyli musiał mieć około trzydziestu dwóch lat, ale już miał lekko szpakowate włosy. Był mocno opalony. Ponadto zniekształcony nos nasuwał przypuszczenie, że Riley jest albo był w przeszłości bokse-rem. Postawna zgrabna sylwetka sprawiała, że mimo wymienionych niedoskonałości można go było uznać za całym przystojnego.

Będąc świadkiem owej głośniejszym wymiany zdań pomiędzy Tarquinem a Rileyem - który bez najmniejszych wątpliwości należał do innej klasy społecznej - Mark wcale się nie zdziwił ani nie zaniepokoił. Z powodu zamiłowania do hazardu Tarquin miewał kontakty z najróżniejszymi ludźmi czasami w bardzo dziwnych miejscach. Miał zwyczaj obstawiać zakłady, gdzie tylko to było możliwe, nieważne,

czy chodziło o uliczną bijatykę, czy wyścigi konne w Epsom. Niestety, tak się składało, że Tarquina prześladował pech i stawiał na przegranych.

Większość ludzi po tak niefortunnym doświadczeniu szukałaby innego rodzaju rozrywek. Tymczasem po upływie dziesięciu lat, podczas których przepuścił niezłą fortunę, Tarquin nadal uparcie wyznawał zgubną filozofię, że następny zakład pozwoli mu się odegrać.

Mark powrócił myślami do Mickeya Rileya. Jeśli Tarquin był mu winien pieniądze - być może przegrane w zakładzie tamtego wieczoru w Spitalfields - to trudno było się spodziewać, że Riley zrezygnuje z odzyskania długu. Oczywiście zaciągnięte zobowiązania Tarquina nie powinny go obchodzić... przynajmniej do czasu, gdy postanowi upomnieć się o zwrot pożyczki, której mu udzielił w zeszłym roku.

Ostatnia myśl przywołała na jego usta cierpki uśmieszek, który jednak szybko zniknął. Nie było mu do śmiechu, tym bardziej że odniósł wrażenie, iż Mickey i jego towarzyszka obserwują Emily. Rzecz jasna mógł się mylić, mogło im chodzić o Sarę Harper, jednak instynkt podpowiadał mu, że jego odczucia są trafne.

Przypuszczenie, że Riley mógłby chcieć wyciągnąć od Emily pieniądze, które był mu winien jej brat, wydawało się niedorzeczne. Słyszało się jednak o wierzycielach, niekiedy z półświatka, którzy nękali rodziny nierychliwych do spłaty dłużników. Choć Rileyowi na oko nie brakowało krzepy i tupetu, mógł żywić opory przed zwróceniem się

z roszczeniami do Beaumonta seniora i zamiast tego próbował osaczyć jego córkę.

Mark z niecierpliwością rozejrzał się po sklepie, w którym panował mdlący słodkawy zapach. Madame Joubert krzątała się, z szelestem jedwabnej spódnicy prezentując coraz to nowe towary i zachęcając Barbarę do dokonania zakupu. Przyglądając się nieobecny wzrokiem stercie materiałów rozłożonych na ladzie, Mark zastanawiał się, czy przypadkiem nie daje się ponieść wyobraźni. Jego podejrzenia opierały się na doprawdy słabych podstawach.

Riley i jego towarzyszka mogli po prostu zażywać przyjemności popołudniowego spaceru; nie miał absolutnie żadnego dowodu, że było inaczej. Jeśli nawet obserwowali Emily i jej przyjaciółkę, czy koniecznie musieli to robić z jakichś występnych powodów? Ostatecznie nie było nic nadzwyczajnego w tym, że dwie atrakcyjne młode kobiety, pochodzące z zaможnych domów, przyciągają uwagę osób z niższych sfer.

To wytłumaczenie, choć rozsądne i całkiem prawdopodobne, bynajmniej nie uśmierzyło obaw Marka. Odczuł gwałtowną potrzebę, by jak najszybciej opuścić sklep modniarki, odnaleźć Tarquina i zażądać od niego wyjaśnień, w co się tym razem wpakował.

- Dał mi to tamten człowiek. Powiedział, żebym pani zaniósł.

Emily spojrzała na małego obdartusa, który zwrócił jej uwagę, szarpiąc ją gwałtownie za rękaw. Chłopiec wyciągnął brudną rączkę i podał jej kopertę. Emily z pewnym wa-

haniem wzięła od niego list, a potem spojrzała w kierunku, który jej wskazywał. Nie dostrzegła jednak nikogo, kto mógłby być ewentualnym autorem przesyłki. Na ulicy było sporo ludzi; szybko przechodzili chodnikiem, zajęci własnymi sprawami, nikt nie okazywał najmniejszego zainteresowania jej osobą.

Popatrzyła pytająco na chłopca. On także się rozejrzał, marszcząc piegowaty nos i ocierając twarz wierzchem dłoni.

- Poszedł sobie - potwierdził ze wzruszeniem ramion. - Był tam, dał mi ten papier i jeszcze to. - Rozpostarł palce, pokazując kilka drobnych monet. - A od pani coś dostanę? - spytał zadziornie, spoglądając na Emily jednym okiem; drugie miał zmrużone przed ostrym popołudniowym słońcem, ożywiającym nieco jego ziemistą cerę.

Emily ocknęła się z zamyślenia.

- Och tak, pewnie - mruknęła.

Wyjęła z torebki parę drobnych i dołożyła do tych, które już spoczywały w usmolonej dziecięcej rączce. Chłopiec szybko zacisnął palce na pieniądzach i pognał przed siebie, jakby się bał, że Emily może zmienić zdanie i odebrać mu datek.

Ruszyła wolno w stronę Callison Crescent. Parę minut wcześniej odprowadziła Sarę. Znajdowała się zaledwie o pięć minut drogi od własnego domu, kiedy chłopiec ją zaczepił. Z ciekawością przyjrzała się listowi. Koperta była zalakowana, ale nie zaadresowana; widniały na niej jedynie ciemne odciski palców małego posłańca. Już miała otworzyć kopertę, lecz po krótkim wahaniu zrezygnowała

i wsunęła ją do kieszeni. Pomyślała z lekkim rozbawieniem, że, być może, ma cichego wielbiciela. A jeśli tak, to powinna poczekać z odkryciem jego tożsamości, aż znajdzie się w domowym zaciszu. W każdym razie tajemnicza przesyłka nie mogła pochodzić od dżentelmena, który adorował ją całkiem otwarcie.

Po Stephenie Bondzie trudno było spodziewać się takich gestów, jak przesyłanie romantycznych bilecików przez miejskiego urwisa. Mimo to był dość miły, choć wyjątkowo przewidywalny. Emily westchnęła, przypominając sobie, że pan Bond jest tego dnia zaproszony do nich na kolację i oczywiście można się spodziewać, że zjawi się punktualnie co do minuty.

- Oczekiwałam, że wrócisz wcześniej - odezwała się na powitanie pani Beaumont, gdy tylko córka weszła do holu.

- Chyba nie zapomniałaś, że mamy dziś gościa?

- Nie, mamo - odpowiedziała Emily. - Pamiętam, że pan Bond przyjdzie o siódmej.

- To dobrze... niech Millie ułoży ci ładnie włosy. Takie luźne pukle wyglądają niechlujnie. - Penelope okrążyła córkę, unosząc rudy lok opadający na kołnierz niebieskiego aksamitnego płaszcza. - Stephen ma dziś przyprowadzić swoją babcię. Przyjechała niedawno z Bath i wygląda na to, że jest dość ekscentryczna. Zostałyśmy sobie przedstawione podczas rewii i po prostu wypadało mi ją zaprosić, kiedy Stephen wspomniał, że się do nas wybiera. Miała na sobie najbrzydszą suknię, jaką widziałam w życiu. Fio-

letową w beżowe paski. I co ją opętało, że włożyła do niej zielony kapelusz?

Emily uśmiechnęła się do matki przekornie.

- Jeśli pojawi się tu w tym samym zestawie, to może powinniśmy ją o to zapytać?

Penelope Beaumont zachichotała, ale jej dobry nastrój nie potrwał długo. Spochmurniała, zerkając niespokojnie na drzwi.

- Twój ojciec też się dziś nie śpieszy do domu. Już prawie za kwadrans szósta.

- Powiedział, że wstąpi do Tarquina. Zapewne to jest powodem opóźnienia.

- Jakiś człowiek szukał Tarquina - oznajmiła pani Beaumont, marszcząc czoło w wyrazie troski. - Wysłałam Millie do miasta po sprawunki i powiedziała mi, że ten mężczyzna zaczepił ją na ulicy. Musiał ją obserwować, jak wychodziła z domu, bo inaczej skąd by wiedział, że ma z nim coś wspólnego? Mówiła, że zachowywał się uprzejmie, choć sprawiał wrażenie trochę nieokrzesanego.

Pani Beaumont spojrzała ponad ramieniem córki w głąb holu, gdzie jej mąż ściągał pelerynę, otrzepując ją z wody.

- Znowu zaczęło padać - powiedział. - Pearsonowie będą musieli odwołać pokaz fajerwerków.

- W takim razie dobrze, że nie zostałam zaproszona, mamo - rzuciła niewinnie Emily.

Dobrze wiedziała, że jej matka i Violet Pearson nie szczędzą sobie wzajemnych złościwości. Ten stan rzeczy panował między nimi od czasu, gdy Robert przyłożył w twarz



Bertiemu, synowi Pearsonów, wybijając mu przy tym dwa przednie zęby. Ojcowie obu rodzin przyjęli incydent całkiem spokojnie, ograniczając się do jednogłośnego wyrażenia ubolewania dla młodzieńczych wybryków, natomiast Penelope Beaumont i Violet Pearson, każda ze swej strony, dokładały wszelkich starań, by powstała między nimi wrogość przypadkiem nie wygasła.

- Ani śladu po Tarquinie. - Cecil Beaumont, odłożywszy moką pelerynę na krzesło, zmęczonym krokiem zbliżył się do swoich pań. Był w wyraźnie gorszym nastroju niż rano, kiedy Emily z nim rozmawiała. Teraz w dodatku wyczuwała w jego głosie nutę niepokoju.

- Byłeś na Westbury Avenue, papo?

- Owszem, i muszę wam powiedzieć, że gospodyni Tarquina bardzo się ucieszyła, że mnie widzi. Nie miałem okazji spytać jej, czy wie, gdzie on jest, bo pierwsza zażądała wyjaśnień. Podejrzewa, że Tarquin uciekł i już nie wróci. - Pokiwał głową ze smutkiem. - Zniknęła większość jego rzeczy, a do tego jest jej winien czynsz za dwa miesiące. Od dwóch tygodni się z nim nie kontaktowała.

- Co mamy z nim zrobić? - Penelope Beaumont załamała ręce. - Kiedy on wreszcie się ustatkuje i zacznie postępować odpowiedzialnie? Domyślałam się, że znów ucieka przed dłużnikami.

Cecil ściągnął usta.

- Według mnie chodzi o coś więcej niż zaległy czynsz. Pani Dale powiedziała mi, że jakiś człowiek ze złamanym nosem pojawił się na Westbury Avenue i o niego rozpyty-

wał. Twierdziła, że wyglądał na ciemnego typu, któremu lepiej nie wchodzić w drogę.

Penelope Beaumont wpiła się palcami w ramię męża.

- Mężczyzna ze złamanym nosem zaczepił Millie na ulicy. Pytał o Tarquina. Millie mówiła, że zachowywał się całkiem grzecznie.

- To normalne, jeśli zamierza upomnieć się o gotówkę - stwierdził pan Beaumont. - Dopiero gdy jej nie otrzyma, prawdopodobnie stanie się nieuprzejmy.

Emily przygryzła wargę, spoglądając na zatroskane twarze rodziców. Krótki odpoczynek od kłopotów ich pierwotnego najwyraźniej dobiegł końca. Wprawdzie samego Tarquina nadal nie było, ale wystarczyło pomyśleć o tym, co musiał nabroić, by nie zaznać spokoju.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego w ogóle się nie odzywa - powiedziała pani Beaumont. - Jeśli potrzebuje pieniędzy, zwykle do mnie pierwszej się zwraca. Może poprosił kogoś ze swych przyjaciół, żeby go wykupił? Ostatnim razem ostrzegłam go, że więcej tego nie zrobię. Może wziął poważnie moje słowa.

- Podczas spaceru spotkałam Marka Huntera - poinformowała Emily. - On też był na Westbury Avenue, szukając Tarquina. - Chcąc usmierzyć obawy rodziców, natychmiast pośpieszyła z wyjaśnieniem, w jakim celu Mark chciał widzieć się z ich synem. - Pan Hunter zapewnił mnie, że nie chodziło mu o zwrot długu. On też od jakiegoś czasu nie spotkał Tarquina, ale był uprzejmy obiecać, że o niego zapyta i da nam znać, jeśli czegokolwiek się dowie.

Cecil Beaumont wolno pokiwał głową.

- Mark to dobry chłopiec. Skoro obiecał, że się postara, z pewnością dotrzyma słowa. - Odgarnął z czoła siwiejący kosmyk. - Chyba powinienem przejrzeć pocztę, bo może tym razem złe wieści od Tarquina przyszły w liście. Zwykle pojawia się osobiście i mogę je wyczytać z jego twarzy.

Pan Beaumont ciężkim krokiem udał się do swego gabinetu, a Penelope pośpieszyła do kuchni, żeby dopilnować przygotowań do kolacji. Oddalając się, zawołała do córki:

- Och, na litość boską, ogarnij się trochę, Emily! Popatrz, która godzina! Bondowie będą za kilkadziesiąt minut.

Kiedy za zdenerwowaną matką zamknęły się drzwi, Emily wolno wsunęła rękę do kieszeni. Wyciągnawszy kopertę, poczuła, że ogarnia ją niepokój. Cichy wielbiciel, akurat, pomyślała z ironią.

Nagle nabrała podejrzeń, kto mógł przysłać list. Sposób doręczenia wskazywał na to, że brat nie życzył sobie, by rodzice wiedzieli o przesyłce, a tym bardziej znali jej treść. Tylko dlaczego jej się nie pokazał? Dlaczego przekazał list za pośrednictwem chłopca? Jeśli obawiał się podejść do niej na ulicy choćby na moment, to mogło oznaczać tylko jedno - że musiał wpaść w naprawdę poważne kłopoty. Emily wsunęła kopertę z powrotem do kieszeni i udała się na górę do swojego pokoju.

- Jesteś ładną dziewczyną, choć nie da się ukryć, że masz już swoje lata.

Emily wysłuchiwała dwuznacznego komplementu, popija-

jąc wino. Musiała szybko oderwać kieliszek od ust, bo tak bardzo zachciało jej się śmiać, że omal się nie zakrztusiła. Odkaslnęła, próbując odzyskać powagę, podziękowała pani Augustie Bond uprzejmym uśmiechem, po czym odstaawiła kieliszek na stół.

- Emily nie skończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat - wtrąciła się pani Beaumont. - Wydaje mi się, że to jeszcze nie jest sędziwy wiek.

Augusta Bond była krótkowidzem, uniosła więc lorgnon i skierowała wzrok najpierw na matkę, potem na córkę.

- Jej szanse na znalezienie męża nie są zbyt duże, bo jest wiele młodszych dziewcząt. Wygląd odziedziczyła raczej po ojcu - zaopiniowała stara dama, udając, że nie widzi lodowatego wzroku gospodyni, urażonej tą nad wyraz bezpośrednią uwagą. Oderwawszy szkła od oczu, Augusta ułożyła je z powrotem na rozłożystym biuście i skupiła się na befsztyku, który spoczywał przed nią na talerzu.

Emily wyczuła na sobie spojrzenie wnuka tej starej jędzy. Wiedziała, że Stephen próbuje bezgłośnie wyrazić ubolewanie z powodu fatalnych manier babki. Emily zrobiło się go żal. Uśmiechnęła się współczująco, na co odpowiedział natychmiast przepraszającym grymasem, tak że jego uniesione brwi schowały się pod grzywką jasnych włosów.

- Panna Beaumont ma piękny głos i talent do śpiewu - zwrócił się trochę nerwowo do babki. Nie doczekawszy się z jej strony odzewu, dodał: - Ponadto nie spotkałem jeszcze młodej kobiety, która by tak dobrze grała na fortepianie, i to bez patrzenia w nuty.

- To wcale nie znaczy, że będzie dobrą żoną - powiedziała pani Bond do wnuka na tyle głośno, że wszyscy mogli ją słyszeć.

Emily chwyciła kieliszek i jednym potężnym łykiem opróżniła go niemal do dna. Właściwie gotowa była przyznać pani Bond rację. Stephen jest miłym człowiekiem, ale ona nie chce za niego wyjść za mąż... chyba że nie miałyby innego wyjścia. Zasługiwał na to, żeby być kochanym, a nie tylko tolerowanym.

Po chwili przeniosła wzrok z zakłopotanej twarzy Stephena na matkę. Penelope Beaumont uosobiała w tym momencie święte oburzenie.

Gdyby Emily nie martwiła się o brata, pewnie doceniłaby nieoczekiwaną rozrywkę, jaka zawitała do ich domu punktualnie o siódmej w osobie masywnej Augusty Bond. Może nawet wciągnęłaby się w sytuację na tyle, by odpłacić złośliwej staruszce pięknym za nadobne. Jednak w zaistniałej sytuacji nie mogła się powstrzymać, by wciąż nie spoglądać w stronę ojca siedzącego u szczytu stołu. Sprawiał wrażenie, jakby zasklepił się w swoim własnym świecie. Nawet rzucane raz po raz karcące spojrzenia żony nie były w stanie go stamtąd wydobyć.

Emily bez trudu mogła się domyślić, co zaprzęta umysł jej biednego ojca. Z pewnością usiłował sobie wyobrazić, w jakie tym razem tarapaty wpadł jego najstarszy syn. Emily sądziła, że jeszcze przed kolacją pozna rozwiązanie tej przykrej zagadki. Okazało się, że list, który otrzymała, nie pochodził od brata, choć go dotyczył. Emily wciąż zastanawiała się nad

zawartą w nim dziwną wiadomością i zadawała sobie pytanie, dlaczego list skierowano właśnie do niej.

Dotychczas wierzyciele Tarquina, jeśli nie mogli go dopaść, zwykle starali się wyłudzić pieniądze od ojca. Tym razem jednak to ona otrzymała list zawierający tajemniczą prośbę.

Osoba niewyjawiająca swej tożsamości zapraszała ją na spotkanie następnego dnia przy lombardzie na Whiting Street, gdzie miała dowiedzieć się czegoś ważnego na temat Tarquina. W liście napisano również, że należy zachować całkowitą dyskrecję, żeby uniknąć skandalu.

Nie mogła nadziwić się zuchwałości nadawcy. Szybko doszła do wniosku, że autorem musi być jeden z wierzycieli Tarquina, a jego zamiarem jest nakłonienie jej do spłacenia długów brata. Przypuszczała, że chodzi o podejrzanego typa ze złamanym nosem, który kręcił się w pobliżu, ponieważ list był napisany nieporadnym językiem.

Nie była tak naiwna, by wierzyć, że jej brat grywał jedynie w klubach dla dżentelmenów, ale świadomość, że zadawał się z osobnikiem o złamanym nosie i do tego ledwie umiejącym pisać, była doprawdy przygnębiająca. Niemniej jednak zamierzała udać się na spotkanie i zachować wymaganą dyskrecję.

Jeszcze raz spojrzała na ojca pochylonego nad ciagle pełnym talerzem. Niebawem skończy sześćdziesiąt pięć lat i stanowczo zbyt długo już zmagął się z problemami Tarquina. Emily bynajmniej nie zamierzała brać na siebie tego

jarzma i gotowa była powiedzieć to bratu, gdy tylko będzie miała ku temu okazję.

- Otrzymała pani kiedyś propozycję małżeństwa, pan-no Beaumont?

Emily ocknęła się, czując na sobie przenikliwe spojrzenie paciorkowatych oczu Augusty Bond.

- Czy jakiś mężczyzna poprosił panią o rękę? - dopytywała uporczywie starsza pani.

Emily zerknęła na wyraźnie zszokowaną matkę. Stephen zastygł w bezruchu, z jednym policzkiem wypchanym jedzeniem. Emily zacisnęła usta, żeby powstrzymać chichot. Następnie, biorąc głęboki wdech, odpowiedziała spokojnie:

- Owszem, pani Bond. Byłam zaręczona w wieku dwudziestu lat.

- I rozmyślił się, co?

- Hm... nie. Tak naprawdę to ja zrezygnowałam - wyjaśniła Emily, odkładając serwetkę na talerz.

- Córka była zaręczona z wicehrabią Devlinem - wyjaśniła lodowatym tonem pani Beaumont.

Starsza dama podniosła do oczu lorgnon i przyjrzała się Emily tym razem z odrobiną szacunku.

- Udało się pani złapać tytuł, co? Nie ma już szans, żeby go odzyskać, bo ożenił się z tą dziewczyną od Corbettów. Słyszałam, że już się zaokrągliła.

- Pójdę sprawdzić, czy następne danie jest gotowe. - Powiedziawszy to, Penelope Beaumont majestatycznie podniosła się zza stołu.

Popatrzywszy na ojca, Emily dostrzegła, że wreszcie zaczął zwracać uwagę na to, co dzieje się przy stole. Miał zatroskaną minę, jakby się bał, że zrobiono jej przykrość. Uspokoiła go uśmiechem, po czym skierowała wyzywające spojrzenie na Augustę Bond.

Starsza dama zmrużyła oczy za szklami; Emily odniosła zadziwiające wrażenie, że przed opuszczeniem lorgnon Augusta do niej mrugnęła.



## Rozdział trzeci

- Jeszcze nigdy w życiu nie spotkałam tak nieuprzejmej osoby!

Te pełne irytacji słowa dotarły do uszu Emily, gdy tylko rankiem przestąpiła próg jadalni. Miała nadzieję, że matka zapomni o niefortunnych uwagach, jakimi raczyła ich pani Bond podczas kolacji, lecz, niestety, nic nie wskazywało na to, by nastrój Penelope Beaumont szczególnie się poprawił.

Kiedy goście opuścili ich około dziesiątej poprzedniego wieczoru, pani Beaumont dopiero po kilku kieliszkach sherry oraz staraniach męża i córki uspokoiła się na tyle, by pójść spać.

- A ten jej wnuk jest taki... przyjemny, taki... delikatny.  
- Pani Beaumont gestykulowała energicznie. - Myślicie, że ona zachowuje się tak z powodu swego wieku? Wygląda na to, że skończyła siedemdziesiąt lat. Może zaczyna jej się mieszać w głowie.

- Myślę, że ona doskonale wie, co mówi - włączyła się

ze śmiechem Emily. - Według mnie pani Bond lubi szokować.

Penelope cmoknęła z niesmakiem, po czym podsunęła salaterkę z konfiturami w stronę córki, która usiadła naprzeciwko niej przy stole.

Emily posmarowała sobie grzanekę apetyczną galaretką z czarnej porzeczki.

- Pani Bond może i starzeje się, ale sprawia wrażenie całkiem krzepkiej i muszę powiedzieć, że w pewien sposób nawet ją lubię.

Wyznanie córki tak zaskoczyło Penelope, że zastygła z otwartymi ustami.

- Och, daj spokój, mamo. Sama musisz przyznać, że Augusta ma całkiem bystry umysł i doskonale gra w pikietę. Papa może coś o tym powiedzieć, bo ograła go na parę szylingów.

- I to ma usprawiedliwiać jej impertynencje? Jak ona śmie mówić takie rzeczy! Jesteś piękną w kwiecie wieku.

- Nie powiedziała niczego, co nie byłoby prawdą.

Emily zerknęła z czułością na matkę spod długich ciemnych rzęs. Penelope Beaumont od dawna pielęgnowała nadzieję, że książę w srebrnej zbroi zabierze jej jedyną córkę do posiadłości w Mayfair, by zapewnić jej życie w nieopisanym luksusie. Ów nieznany książę ociągał się jednak zbyt długo i matka była skłonna zaniżyć aspiracje. W istocie chyba była gotowa poprzestać na małżeństwie Emily z panem Bondem, który dysponował

willą w Putney. Emily odsunęła od siebie talerz, otrzepując smukłe palce z odruchów.

- Wiesz, że jestem za stara, by konkurować o męża z debiutantkami. I rzeczywiście odziedziczyłam wygląd raczej po rodzinie ojca. Miniatura babci Beaumont z powodzeniem mogłaby uchodzić za moją podobiznę.

- A co sądzisz o wysoce nietaktownej uwadze Augusty na temat twoich zerwanych zaręczyn?

- Jestem pewna, że o nich nie wiedziała, mamó. Spytała jedynie, czy ktoś mi się oświadczył.

- A ja się założę, że o wszystkim wiedziała i specjalnie chciała cię sprowokować - odparła ze złością Penelope. - Okropna kobieta! Przecież mogłaś przez nią zalać się łzami z powodu bolesnych wspomnień.

- Od dawna nie rozpaczam ani nie ronię łez z tego powodu - oświadczyła spokojnie Emily. - Mogę obiecać, że już nigdy nie będę. A co do Augusty, to myślę, że naprawdę o niczym nie miała pojęcia. Mieszka na prowincji, a skandal nie był taki znów wielki. - Zrobiła krótką pauzę. - Kiedy Tarquin pobił wicehrabiego Devlina, niweczając tym moje szanse na szczęście u boku wicehrabiego, w salonach Bath raczej nie zaprzątano sobie tym głowy. Nawet w Londynie plotka żyje najwyżej tydzień... i dzięki Bogu.

- Zapomniano o tym tak szybko tylko dlatego, że ta awanturka Olivia Davidson uciekła z mężem swojej siostry, podsuwając plotkarzom nowy smakowity kąsek.

- Jakże byłam wówczas wdzięczna biednej pannie Davidson za jej niesławny wybrzyk - przypomniała Emily z iro-

nią. - Nadal ogarnia mnie lekkie poczucie winy na widok kwaśnej miny Olivii - dodała.

- Sama zasłużyła na ostracyzm, jaki ją spotkał nawet ze strony jej własnych krewnych. Głupia, powinna była wiedzieć, że ten łajdak wróci do domu z podkulonym ogonem i wszystko skończy się wielkim płaczem. - Penelope machnęła dłonią, nie kryjąc zniecierpliwienia. - Och, dość już o nich! Rozmawialiśmy o twoim niepowodzeniu. Nadal uważam, że zachowałeś się zbyt dumnie i popędliwie, Emily. Powinnaś była jednak wyjść za wicehrabiego.

- Doprawdy? - Emily zaśmiała się z goryczą. - Przecież Nicholas wyraźnie dał do zrozumienia, że żałuje wejścia w związek z naszą rodziną. Nie miałam najmniejszej ochoty wymuszać na nim dotrzymania słowa, by potem żyć z mężem, który z czasem mógłby zacząć mną gardzić.

Penelope nie zamierzała łatwo się poddać, ale córka nie pozwoliła jej przedstawić dalszych argumentów.

- Już o tym rozmawialiśmy, mamó, więc wołałabym nie wysłuchiwać wszystkiego od nowa. Ta sprawa jest zakończona - oznajmiła Emily, łagodząc ostry ton odmowy ciepłym uśmiechem skierowanym do matki. Z wdziękiem podniosła się zza stołu i podeszła do okna. - Wyjdę dziś wcześniej. Madame Joubert sprowadziła piękne nowe jedwabie...

- Potrzebuję kupić guziki, chętnie ci będę towarzyszyć.

-Nie!

Dopiero widząc zaskoczoną minę matki, Emily uświa-

domiła sobie, że stanowczo zbyt gwałtownie odpowiedziała na propozycję, dodała więc szybko:

- Chcę wybrać coś na prezent na twoje urodziny. Jeśli pójdziesz ze mną, nie będzie niespodzianki.

Penelope zarumieniła się z radości.

- No tak... - mruknęła ze zrozumieniem.

Emily poczuła się trochę winna, że odmówiła matce, ale też wcale jej nie okłamała. Rzeczywiście zamierzała wstąpić do sklepu modniarki przy Regent Street i kupić coś na urodzinowy prezent, niemniej jednak prawdziwym celem porannej wyprawy było spotkanie na Whiting Street z osobą, która przysłała jej list. A tego z całą pewnością nie zamierzała wyjawiać matce, by jej nie martwić.

Penelope Beaumont miała skłonność do wyolbrzymiania nawet drobnych kłopotów, dlatego jeśli czekało ich trzęsienie ziemi z powodu długów Tarquina, należało ją chronić tak długo, jak tylko to możliwe.

- Przyszedł pan Bond, proszę pani. - Millie dyskretnie wśliznęła się do jadalni, żeby zaanonsować gościa.

Penelope ściągnęła brwi - pora nie była odpowiednia na przyjmowanie wizyt. Spojrzała pytająco na córkę.

- Przypuszczam, że chce przeprosić za niestosowne zachowanie babki - oznajmiła Emily, gestem dając matce do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko spotkaniu z niešťczęsnym panem Bondem.

- Przyjmiemy go w salonie, Millie - zwróciła się Penelope do słuźącej.

W salonie pani Beaumont zajęła się nalewaniem dla wszystkich herbaty, podczas gdy Emily wymieniała z gościem uprzejme uwagi na temat kaprysów wiosennej pogody. Przyjąwszy z rąk gospodyni filiżankę, Stephen Bond zajął wskazane miejsce i niezwłocznie przystąpił do wypełniania celu wizyty.

- Proszę mi wybaczyć, że pozwoliłem sobie niepokoić państwa tak wcześnie, ale nie byłem pewien... to znaczy...  
 - Dukając, popatrywał to na jedną z pań, to na drugą, jakby szukał w ich twarzach zrozumienia i wsparcia. Wreszcie odchrząknął i wyrzucił z siebie jednym tchem: - Chciałem jeszcze raz podziękować za wczorajszą gościnność i upewnić się, czy panie nie czują się... urażone nadmierną bezpośredniością mojej babki.

Stephen zawiesił wzrok na surowym obliczu Penelope Beaumont. W jej minie dostrzegł coś, co kazało mu szybko dodać:

- Moja babka nie robi tego, żeby umyślnie denerwować ludzi, ale czasami mówi zbyt dużo.

Pociągnął łyk herbaty; porcelana brzęknęła cicho, gdy drżącą dłonią odstawił filiżankę na spodek.

- Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że taka bezpośredniość może denerwować rozmówców? - spytała sztywno Penelope.

Stephen poczerwieniał i odkaslnął z zakłopotaniem.

- Chyba nie, proszę pani. Jeśli uważa pani którąś z jej uwag za obraźliwą, to oczywiście jestem gotów serdecznie przeprosić w jej imieniu.

Odstawiwszy filiżankę wraz ze spodkiem na stolik, Emily odezwała się pojedynczym tonem:

- Myślę, że pańska babka ma ciekawy charakter. Miło było ją poznać. - Nie zdołała powstrzymać uśmiechu na widok osłupiałej miny Stephena. - Jeśli pani Bond nie wraca od razu do Bath, to powinien pan ją przedstawić pani Pearson. - Emily posłała matce porozumiewawcze spojrzenie. - Nie sądzisz, mamó, że Violet Pearson mogłaby wiele skorzystać ze znajomości z babką Stephena?

Tą uwagą Emily udało się po raz pierwszy tego ranka wywołać cień rozbawienia na twarzy matki.

- Doleję panu herbaty, panie Bond - zwróciła się Penelope życzliwiej do gościa, podchodząc do niego z dzbankiem.

Emily zerknęła na ścienny zegar i podniosła się z miejsca. Miała świadomość, że jeśli chce zdążyć na spotkanie, powinna niezwłocznie wyjść z domu.

- Wybieram się na zakupy, ale pan niech zostanie i dokończy herbatę - powiedziała, widząc, że Stephen także podrywa się na nogi.

- Chętnie panią podwiozę - zaoferował skwapliwie, przeczesując dłonią jasne włosy. - Właściwie ja też powinienem się zbierać. Mam spotkanie w Holborn.

- W takim razie skorzystam z pańskiej propozycji - zgodziła się Emily.

Mimo charakterystycznego krzywego nosa, nie wygląd tego człowieka przyciągnął uwagę Emily, lecz jego spo-

sób bycia. Zachowywał się jak osoba całkowicie nieświadoma tego, że jest obserwowana. Spacerował tam i z powrotem przed wejściem do lombardu; raz po raz spoglądał na przejeżdżające ulicą powozy i nie krył rozczarowania, gdy mijały go, nie zatrzymując się. Nagle na widok dorożki przystającej nieopodal przy krawężniku szybko wbiegł do lombardu, by zaraz potem znów z niego wychynąć i odprowadzić obojętnym wzrokiem pasażera, który zdecydowanie ruszył w przeciwnym kierunku.

Emily domyśliła się, że czekający na nią człowiek chce ją zobaczyć, zanim ona go dostrzeże. Bez wątpienia spodziewał się, że dama raczej przyjedzie, niż przyjdzie. Jednakże Emily nie chciała, by Stephen się dziwił, że wysiada w miejscu pozbawionym modnych sklepów, dlatego poprosiła o podwiezienie do eleganckiej części miasta, skąd mogła łatwo dotrzeć na Whiting Street. Odmówiłszy Stephenowi, który był gotów odwieźć ją z zakupami do domu, odczekała, aż jego powóz skręci za róg i szybko ruszyła na wschód.

Był pogodny wiosenny poranek, ale z powodu chłodnych podmuchów wiatru szczelniej otuliła się płaszczem. Jeszcze raz dyskretnie spojrzała na drugą stronę Whiting Street, na mężczyznę, który musiał być autorem przysłanego jej listu.

Nie odczuwała lęku przed tym człowiekiem, ale była trochę zdenerwowana. Znajdowała się w okolicy uczęszczanej przez dżentelmenów z jej środowiska. Przychodzili tu, żeby spotkać się z partnerami od interesów, negocjować



umowy i wyjaśniać prawnicze zawiłości różnych dokumentów. Stojąca na chodniku samotna kobieta musiała w końcu wzbudzić zaniepokojenie. Emily wiedziała, że jej ojciec często umawiał się tu ze swoim adwokatem i modliła się w duchu, by przypadkiem tego ranka nie zechciał wybrać się do pana Pritcharda.

- Emily? Emily Beaumont?

Uprzejmy męski głos, ongiś tak dobrze jej znany, wywołał dreszcz na plecach Emily. Odwróciła się powoli.

Wicehrabia Devlin już miał wsiąść do ozdobionego herbem powozu, lecz w ostatniej chwili zawahał się, a następnie, kołyszając hebanową laską, wolno ruszył chodnikiem w jej stronę.

Emily nieraz zastanawiała się, jak by to było, gdyby kiedyś zetknęła się z tym człowiekiem sam na sam. Rzecz jasna, od czasu zerwania zaręczyn przed laty zdarzało im się spotykać w towarzystwie, gdzie otaczali ich znajomi, i wówczas oboje zdawali sobie sprawę z wymogów etykiety oraz uważnych spojrzeń plotkarzy, polujących na sekretne wiadomości.

Mimo że Emily wiedziała, iż miłość jej życia jest obecnie mężem i przyszłym ojcem - jako że słyszała o błogosławionym stanie jego żony, jeszcze zanim wspomniała o tym Augusta - była ciekawa, czy łobuzerski wdzięk wicehrabiego nadal jest w stanie robić na niej takie wrażenie jak kiedyś. Im bardziej się do niej zbliżał, tym mocniej zaczynała obawiać się jego uroku. Nadal wyglądał młodzieńczo i nad wyraz przystojnie; miał trzydzieści jeden lat, lecz mógłby

uchodzić za dziesięć lat młodszego. Jasne włosy były lekko rozwichrzzone, a piwne oczy, teraz utkwione w jej twarzy, miały ciepły wyraz.

- Czekasz na ojca? - zagadnął zdziwiony, rozglądając się dyskretnie po ulicy. Emily przypuszczała, że spodziewał się ujrzeć Cecila Beaumonta, wyłaniającego się z któregoś z bram.

- Nie... niezupełnie - odpowiedziała Emily zbyt szybko.

Gorączkowo próbowała wymyślić jakieś usprawiedliwienie dla swej obecności na Whiting Street. Niepotrzebnie jednak obawiała się dalszych pytań ze strony wicehrabiego. Wszystko wskazywało na to, że wcale nie czeka na wyjaśnienia. Wpatrywał się intensywnie w jej pełne usta, które w zdenerwowaniu odruchowo zwilżyła językiem.

Emily poczuła, jak serce zaczyna jej bić szybciej. Intensywność jego spojrzenia natychmiast przywiodła jej na myśl to wszystko, co razem przeżyli i co od tamtej pory starała się zepchnąć głęboko w niepamięć. Nagle uświadomiła sobie, nie bez grzesznej przyjemności, że wicehrabia Devlin nadal jej pożąda.

- Ile to już czasu minęło, odkąd ostatni raz się widzieliśmy? - zapytał zduszonym głosem, przyglądając jej się z bliska. - Chyba z rok. Przysięgam, że za każdym razem, kiedy cię spotykam, jesteś coraz ładniejsza.

Emily poczuła miłe ożywienie, lecz zachowała na tyle zimnej krwi, by utrzymać dystans i odpowiedzieć mu chłodnym spojrzeniem.

- A ja mogłabym przysiąc, że musisz dochodzić do siebie po całonocnej hulance, skoro mówisz mi takie rzeczy.

- Nie mogę cię nawet skomplementować? - obruszył się.  
- Czemu jesteś taka uszczypliwa? Czyżbyś nadal czuła się skrzywdzona?

Z jednej strony Emily miała ochotę wyśmiać te niestosowne przypuszczenia, z drugiej jednak przyjemnie było słuchać pochlebstw. Przywołała się w duchu do porządku. Devlin twierdził, że jest ładna, i patrzył na nią tak, jakby ją chciał pocałować, ale jej pamięć nie była aż tak krótka. Kilka lat temu, po tym jak Tarquin go uderzył, żywił jedynie odrazę i złość do wszystkich Beaumontów bez wyjątku, nawet do niej.

- To, co masz na myśli, należy do przeszłości - odparła sucho - i nie ma sensu więcej o tym wspominać. - Kiwnąwszy głową na pożegnanie, zamierzała go opuścić, ale powstrzymał ją, wyciągając szybko rękę.

- Nie uciekaj - odezwał się tym razem błagalnym tonem. - Od dawna uważam, że jest o czym mówić. Chciałem się z tobą spotkać sam na sam, miałem nadzieję, że może wpadniemy na siebie przypadkiem, tak jak to stało się dzisiaj. Często o tobie myślę. Zastanawiam się, jak mogłoby być...

Emily szarpnięciem wyswobodziła nadgarstek z uścisku Devlina i cofnęła się o parę kroków. Rozejrzała się na boki, by sprawdzić, czy ktoś ich nie obserwuje, i ku swej irytacji odkryła, że owszem, wzbudzają całkiem spore zainteresowanie. Przede wszystkim osiłek, który wezwał ją na spot-

kanie w tym przeklętym miejscu, zauważył ją i przyglądał jej się z oddali. Emily westchnęła bezradnie. Sytuacja zaczynała przypominać farsę. Niewiele brakowało, by straciła okazję dowiedzenia się czegoś o Tarquinie.

- Znasz go? - spytał zniecierpliwiony wicehrabia.

- Kogo? - Emily spojrzała mu w twarz, starając się nie okazać zmieszania.

- Tego typu, który stoi po drugiej stronie ulicy i wyraźnie na ciebie się gapi.

Emily bez zastanowienia pokręciła przecząco głową. Wcale nie kłamała. Nie znała go jeszcze, choć pewnie by poznała za kilka minut, gdyby niespodziewanie nie stanął przed nią wicehrabia Devlin. Właściwie miała szczęście, że pojawił się akurat w tym momencie. Gdyby to nastąpiło chwilę później, bez wątpienia byłby świadkiem jej rozmowy z nieznajomym i musiałaby wysłuchać wielu dociekliwych pytań.

Emily miała świadomość, że jej brat i były narzeczony wciąż żywią do siebie niechęć i raczej się unikają. Nawet jeśli Nicholas zachował resztki sympatii dla niej, jego stosunek do Tarquina był jednoznaczny. Mogła więc domniemywać, że wiadomość o poważnych kłopotach Tarquina sprawiłaby mu jedynie radość.

Nicholas Devlin przyjrzał się Mickeyowi Rileyowi z zaciekawieniem, ponieważ znał go i wiedział, jak zarabia na życie. W przeszłości nawet korzystał z jego usług, jako że Mickey miał pod opieką kilka wyjątkowo ślicznych młodych kobiet. Nicholas wiedział też, że tam, gdzie pojawia

się Riley, wraz z nim zjawiają się kłopoty. Nie znaczyło to, że się go obawiał; Riley był na tyle przebiegły, by zachowywać odpowiedni dystans w stosunku do swoich klientów z wyższych sfer. Nicholas uśmiechnął się pod nosem, widząc, że jego spojrzenie wyraźnie zdenerwowało Riley'a, który jeszcze chwilę postął w miejscu, po czym ruszył przed siebie chodnikiem.

Emily także patrzyła, jak człowiek, z którym miała porozmawiać o bracie, odchodzi. Pomyślała z żalem, że jej wysiłki, by dotrzeć na czas na miejsce spotkania zdały się na nic. Zauważyła, że wyraz twarzy Nicholasa zmienił się zdecydowanie; mogła się domyślić, że zaraz zacznie wypytywać ją o prawdziwy powód samotnego przybycia na Whiting Street.

Emily szybko przeniosła wzrok na masywną bramę z kolumnami nieco dalej po prawej stronie. Z pewnym trudem udało jej się odczytać napis na metalowej tabliczce przy wejściu: „Woodgate i Wilson, adwokaci”. Przez otwarte na oścież drzwi widać było obszerną sień.

- Muszę już iść, bo inaczej spóźnię się na umówioną wizytę - oznajmiła Nicholasowi.

- Masz spotkanie?

- Owszem... z panem Woodgate'em. To sprawa osobista. Do widzenia.

Emily odwróciła się i ściskając w drżącej dłoni fałdy spódnicy, pewnie weszła na schody, które musiały prowadzić do kancelarii pana Woodgate'a i pana Wilsona. Nie wiedziała jeszcze, co powie, gdy któryś z tych dżentelme-

nów zapyta ją o cel wizyty, ale cieszyła się, że przynajmniej uwolniła się od niepokojącego towarzystwa wicehrabiego Devlina.

Patrząc za oddalającą się Emili, Nicholas uśmiechnął się kącikiem ust. Był pewien, że Mickey Riley z jakiegoś powodu się nią interesował, a i ona bez wątpienia wiedziała, kim jest człowiek ze złamanym nosem. W dodatku kłamała na temat umówionego spotkania z panem Woodgate'em. Ten adwokat zajmował się prawie wyłącznie ubezpieczeniami morskimi, a poza tym z całą pewnością nie mogła go zastać w tym budynku, ponieważ od dobrych kilku miesięcy nie żył. Wicehrabia zmarszczył czoło w wyrazie głębokiego namysłu, po czym wolno przeszedł chodnikiem i wsiadł do powozu.

Usadowiwszy się na wygodnych poduszkach kanapy, zaczął rozmyślać nad tajemniczym zachowaniem Emili. W końcu uznał, że jego ciekawość została rozbudzona do tego stopnia, iż nie pozostaje mu nic innego, jak przeprowadzić osobiste dochodzenie i wszystkiego się dowiedzieć.

Emili przeszła korytarzem, w którym panował wyraźnie wyczuwalny zapach stęchlizny, i ukradkiem zajrzała do pierwszych uchylonych drzwi. Zobaczyła młodego mężczyznę pochylonego pracowicie nad jakąś księgą; jego kościstą twarz ledwie było widać zza sterty papierów ułożonych na biurku. Młodzieniec musiał widocznie dostrzec jej sylwetkę, bo wysunął głowę na korytarz, rozejrzył się w obie strony, po czym wrócił do poprzedniego zajęcia.

Ukryta za załomem ściany Emily gorączkowo starała się wymyślić usprawiedliwienie dla swej obecności w tym miejscu. Gdyby ją przyłapano, powiedziałaaby po prostu, że zabłądziła i weszła do niewłaściwego budynku. Musiała tylko odczekać, aż wicehrabia odjedzie, a potem szybko wrócić na Whiting Street.

Była zła. Nie udało jej się dowiedzieć niczego poza tym, że mężczyzna ze złamanym nosem, który kręcił się pod ich domem i wypytywał o Tarquina, rzeczywiście był nadawcą skierowanego do niej listu. Najwyraźniej nie lubił, by go obserwowano, bo odszedł, kiedy stało się dla niego jasne, że oboje z wicehrabią go zauważyli.

Emily bezszelestnie podeszła do drzwi, zastanawiając się, jakie ma szanse spotkać się z tym człowiekiem i dowiedzieć się, o co właściwie chodzi. Nie dojrawszy nigdzie w pobliżu wicehrabiego Devlina, postanowiła dogonić Mickleya Rileya.

- Panno Beaumont... co pani robi?



## Rozdział czwarty

- Unikam kogoś, sir.

Mimo dziwacznej sytuacji, w jakiej się znalazła, Emily udzieliła odpowiedzi zadziwiająco rzeczowym tonem. Jediną oznaką jej zakłopotania był nieco spłoszony wyraz oczu, które utkwiała w zaciekawionym obliczu Marka Huntera.

- Mark stanął niedbale oparty łokciem o ścianę, jakby czekał na dalsze wyjaśnienia z jej strony.

Emily na moment poczuła się zbита z tropu; żadna sensowna wymówka nie chciała jej przyjść do głowy. Po wyrazie twarzy Marka mogła wywnioskować, że odbiera jej milczenie jako niechęć do tego, by się przed nim tłumaczyć. Zaskoczyła go, wyłaniając się nagle z jednego z korytarzy, odchodzących od głównego holu. Mark Hunter najwidoczniej należał do klientów biura adwokackiego Woodgate i Wilson i miał wszelkie prawo przebywać tam w związku z prowadzonymi przez siebie interesami.

- Unika pani kogoś? - powtórzył tonem towarzyskiej



pogawędki, jakby nie zdawał sobie sprawy, że znajdują się nie w jednym z eleganckich salonów w Mayfair, lecz w zalatującym stęchlizną budynku biurowym w centrum miasta.

- Owszem - potwierdziła Emily. - Brama była otwarta, więc szybko weszłam, żeby się ukryć, bo nie chcę z nim rozmawiać.

- Jeśli ten człowiek naprzykrza się pani, to z pewnością uda mi się go przekonać, żeby zostawił panią w spokoju.

Choć propozycja Marka Huntera zabrzmiała całkiem niegroźnie, jego gorliwość mocno przestraszyła Emily. Podszedł bliżej, jakby zamierzał ją wyminąć i wyjść na ulicę, żeby załatwić sprawę.

- Nie! Dziękuję panu za troskę, ale naprawdę nie trzeba...  
- Na myśl o tym, że wicehrabia Devlin jeszcze się nie oddalił i może być narażony na oskarżenie, że ją nęka, Emily poczuła mdłości. Odruchowo chwyciła Marka za rękaw, powstrzymując go przed wywołaniem - choć w dobrej wierze - niepożądanego zamieszania.

Kiedy zaciskała drobne palce na jego ramieniu, nieoczekiwanie przebiegł ją dreszcz, który mogła porównać jedynie do podniecenia. Nagle uświadomiła sobie, jaka jest drobna i krucha w porównaniu z tym potężnym mężczyzną. W wąskim, mrocznym korytarzu wydawał się jeszcze wyższy i bardziej muskularny; od jego ciała biło ciepło i delikatny zapach drzewa sandałowego.

Nicholas Devlin także był dobrze zbudowanym mężczyzną, daleko mu jednak było do wzrostu i postury Marka

Huntera. Nicholas miał też zupełnie inną karnację, był jasnowłosa, a nie ciemny jak Mark. Emily przeniosła wzrok z jego ramion obciągniętych eleganckim surdudem z najprzedniejszej szarej wełny na pociągłą twarz o wyrazistych rysach. Aż wstrzymała oddech, zaskoczona zmysłowym spojrzeniem skierowanym wprost na jej lekko rozchylone usta.

Mark poczuł, jak ogarnia go pożądanie. Ledwie zdołał powstrzymać gwałtowne pragnienie, by przycisnąć Emily do ściany, tak by nie mogła uciec, i całować do utraty tchu. Wydała mu się niesamowicie ponętna, nawet w tym obszernym płaszczu, skrywającym wszystkie urocze kragłości. Nieufne spojrzenie nie było w stanie ostudzić jego żądy. Panna Emily Beaumont mogła go nie lubić, lecz nie zmieniło to faktu, że mu się podobała... aż za bardzo.

Niespodziewanie tuż obok nich ktoś zakaszłał znacząco. Emily szybko cofnęła rękę i odskoczyła od Marka jak oparzona.

- Wszystko w porządku, panie Hunter? - Głos brzmiał nosowo i miał w sobie nutę insynuacji.

Emily spojrzała w bok na człowieka, który przyglądał im się znad okularów. Był w średnim wieku, skromnie ubrany i miał surowy wyraz twarzy. Nim opuścił powieki, Emily zdążyła dostrzec niechętnie spojrzenie wyraźnie skierowaną pod jej adresem.

- Zapewniam, że ta pani nie jest moją klientką, panie Hunter. Zawołam woźnego i każę ją natychmiast wyprowadzić, jeśli się panu narzuca...

- Nic podobnego - szybko zaprzeczył Mark. - Jest moja znajomą i zamierzam ją odwiedzić do domu.

Emily czuła, jak krew napływa jej do policzków. Ten adwokat - bo domyśliła się, kim jest nieznajomy - uznał ją za... Aż zadrżała z oburzenia. Cóż za niegodziwy typ! To prawda, że nie powinna znajdować się w tym budynku. Poza tym istotnie zjawił się, kiedy trzymała Marka Huntera za ramię, stojąc tuż przed nim w ciemnym korytarzu, ale... Powoli gniew zaczął z niej wyparowywać. Rzeczywiście, po zastanowieniu musiała przyznać, że sytuacja sprzyjała niestosownym domysłom. Uświadomiwszy to sobie, ponownie oblała się rumieńcem.

Pan Wilson sprawiał wrażenie nie mniej zakłopotanego niż Emily. Drepcząc w miejscu, zaczął nieskładnie mamrotać słowa przeprosin, jednocześnie przesuwając okulary tam i z powrotem po haczykowatym nosie. W końcu okręcił się na pięcie i zniknął im z oczu, chowając się w najbliższym pomieszczeniu. Umknął we właściwym momencie, bowiem w Emily od nowa rozgorzała złość; zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie pozwolić Markowi na udzielenie reprimendy wścibskiemu świętoszkowi.

Jakby wyczuwając stan jej ducha, Mark stanowczo ujął ją pod łokieć i poprowadził schodami w dół, w kierunku wyjścia z budynku. W bramie przystanął i rozejrzał się po ulicy. Nie zauważył jednak w pobliżu żadnej podejrzanej osoby.

- Wygląda na to, że pani prześladowca już sobie poszedł. Kto to był? - rzucił lekko. - Ktoś znajomy... czy obcy?

Wykonał nieznaczny ruch ręką i natychmiast do krawęż-

nika podjechał wytworny miejski powóz. Stangret zręcznie zeskoczył z kozła i podał lejce swemu panu, czekając na polecenie, by zająć miejsce z tyłu pojazdu.

Emily odsunęła się na bok, czując w głowie nieznośny zamęt. Tego ranka wyszła z domu zatroskana o niesfornego brata. Jakby tego było mało, dwaj inni mężczyźni do reszty zakłócili spokój jej umysłu, i to z tego samego powodu: tego popołudnia obaj mieli ochotę ją pocałować, była tego pewna.

Zaledwie chwilę wcześniej wicehrabia Devlin wyjawiał, że uważa ją za pociągającą. Powiedział jej to całkiem otwarcie. Z ust Marka Huntera nie padł wprawdzie żaden komplement, jednak mimo to wiedziała, że kiedy na nią patrzył, z jego spojrzenia wyzierało pożądanie. Ten adwokat powinien był raczej napomnieć swego klienta, a nie ją! Wielkie nieba! Nawet nie lubiła Marka Huntera, jak więc mogłaby pragnąć, by ją pocałował... Opuściła wzrok na swoje trzewiki, zawstydzona dreszczem, jaki przebiegł jej ciało na wspomnienie momentu, gdy stali w ciemnym korytarzu, niemal stykając się ze sobą.

Mark dyskretnie obserwował śliczną twarz Emily, zmieniającą się pod wpływem gwałtownych emocji. Domyślił się, że wciąż nie może dojść do siebie po tym, jak adwokat wziął ją za natrętą prostytutkę. Miała wszelkie prawo, by czuć się urażoną. Ten człowiek pozwolił sobie na zdecydowanie nie stosowną uwagę i zasługiwał na surową reprimendę.

- Pan Wilson jest cynikiem i do tego głupcem, skoro przypuszcza, że dama o pani urodzie i statusie mogłaby

zachowywać się niewłaściwie. Usprawiedliwić go może jedynie nędzne oświetlenie, z powodu którego nie mógł się pani dobrze przyjrzeć. - Urwał, widząc, że wspomnienie nieszczęsnego incydentu jeszcze pogłębiło jej wzburzenie. Po chwili dodał łagodnie: - Przyznaję, że brak mu ogłady, ale jest doskonałym prawnikiem. Chce pani, żebym go tu sprowadził, by mógł panią odpowiednio przeprosić?

Emily spojrzała uważnie na Huntera.

- Zechciałby pan to zrobić?

- Oczywiście. - Ruszył do bramy, lecz nagle się zawahał, znów podszedł do Emily i dodał: - Pod warunkiem, że pani obieca, iż poczeka tu, aż wrócę, i pozwoli mi odwiedzić się do domu.

Myśl o znalezieniu się ponownie w niebezpiecznej bliskości Marka Huntera - tym razem w jego powozie - przeraziła Emily nie na żarty.

- Dziękuję za uprzejmą propozycję, sir, ale nie ma potrzeby, żeby się pan fatygował. Równie dobrze mogę pojechać dorożką.

Odwróciła się, by odejść, ale Mark przesunął się tak, że niby przypadkiem zastąpił jej drogę. Musiała się gwałtownie zatrzymać, aby na niego nie wpaść.

- Mam nadzieję, że nie chce pani tego, bym wyszedł na kłamcę, panno Beaumont - odezwał się z udawanym niepokojem. - Pan Wilson cały czas nas podgląda, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jesteśmy znajomymi i czy naprawdę zamierzam odwiedzić panią do domu.

Emily odruchowo podniosła głowę i od razu zauważy-

ła podejrzenie szybko opadającą roletę w jednym z dużych kwadratowych okien budynku. Zakłopotanie powróciło wraz z nowym rumieńcem na policzkach.

- Nieznośny człowiek - mruknęła pod nosem.

- Rozumiem, że miała pani na myśli pana Wilsona, nie mnie - powiedział z przekąsem Mark.

Emily spojrzała na niego spod rzęs i wreszcie, po raz pierwszy, pozwoliła sobie na słaby uśmiech.

- Mam tam wrócić i dać mu do zrozumienia, co myślę o jego zachowaniu, nim stąd odjedziemy?

Emily zaprzeczyła ruchem głowy; wystające spod czepka rude loki zatańczyły wdzięcznie wokół jej szyi.

- Nie, to nie była wyłącznie jego wina, że tak źle zrozumiał całą sytuację. To, co zobaczył, musiało wyglądać... dziwnie... - Przygryzła wargę, jednocześnie uciekając spojrzeniem na drugą stronę ulicy.

Mark wyciągnął rękę i pomógł jej wsiąść do powozu.

- Dobrze urodzone młode damy rzadko widuje się w tej części miasta. A jeśli już mają tu do załatwienia jakąś sprawę, to zwykle towarzyszą im krewni płci męskiej.

Emily odniosła wrażenie, że ta uwaga, choć wygłoszona całkiem niewinnym tonem, jest dwuznaczna. Mogła się spodziewać, że zaraz z ust Marka Huntera padnie pytanie, dlaczego przebywała w tym miejscu. Chcąc uniknąć niebezpiecznego tematu, powiedziała szybko:

- Mam nadzieję, że pan Woodgate jest miłszy od pana Wilsona. Bo to z tym ostatnim mieliśmy do czynienia, prawda?

- W istocie. - Mark cmoknął na dorodne siwki i zrećnie włączył się do ulicznego ruchu. - Pan Woodgate był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Zresztą pan Wilson także był bardziej sympatyczny w obejściu, zanim jego partner zmarł. Myślę, że po prostu trudno mu ze wszystkim poradzić sobie w pojedynkę.

- Zmarł? - powtórzyła zaskoczona Emily.

- Pan Woodgate zmarł nagle na zawał kilka miesięcy temu.

Emily przeklęła w duchu fatalną pomyłkę. Oczywiście Nicholas Devlin musiał wiedzieć, że Woodgate nie żyje, a co za tym idzie jej dawny narzeczony domyślił się z łatwością, że skłamała po to, by uwolnić się od jego towarzystwa.

- Nie powie mi pani, przed kim się ukrywała? Czyżby tożsamość tej osoby stanowiła tajemnicę?

Wyglądało na to, że Mark Hunter łatwo nie ustąpi, więc zdobyła się na krótkie wyjaśnienie.

- To po prostu znajomy, z którym od dawna się nie widziałam - odparła i żeby zapobiec dalszym pytaniom, dodała: - Muszę kupić prezent urodzinowy dla matki. Będzie pan tak dobry i wysadzi mnie na Regent Street? Chciałabym wstąpić do sklepu madame Joubert.

Nazwisko modniarki przywiodło Emily na myśl poprzednie spotkanie z Markiem Hunterem. Była z nią wówczas Sara; oglądały wystawę, kiedy podszedł do nich Mark ze swoją kochanką. Podczas gdy Sara z Barbarą Emerson podziwiała jedwabie, Mark zaproponował, że

dowie się czegoś o Tarquinie. Pomyślała, że wypytując o brata, może uzyskać o nim jakieś wiadomości, a ponadto w ten sposób powstrzyma Marka przed niepożądaną dociekliwością na temat Nicholasa. Prawdę mówiąc, nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego nie chce, żeby Mark Hunter wiedział, że unikała człowieka, który o mały włos nie został jej mężem.

- Nadal nie mamy żadnych wiadomości od Tarquina. Odkrył pan może coś, co rzuciłoby choć trochę światła na tę sprawę? - Emily posmutniała, przypomniawszy sobie zgryzotę rodziców wywołaną przedłużającym się milczeniem ich pierworodnego. - Ojciec zaczyna się o niego poważnie martwić. Tarquin zwykle się do niego zwraca, kiedy ma kłopoty... a jesteśmy pewni, że je ma. Jego gospodyni nie widziała go od tygodni, a do tego zniknął, nie płacąc czynszu.

Mark ściągnął lejce, zerkając ukradkiem na profil Emili. Zagryzała nerwowo dolną wargę, jednocześnie na przemian splatając i rozplatając smukłe palce. Nagle odwróciła głowę i spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

Mark poczuł, że ogarnia go wzruszenie. Nie było spowodowane współczuciem. Emily Beaumont wywierała na niego wielce niepokojący wpływ. Na korytarzu biura adwokackiego niewiele brakowało, żeby ją pocałował, gdyby im nie przeszkadzono. Prawdę mówiąc, wciąż miał ochotę zabrać ją w jakieś ustronne miejsce i to zrobić... Jednocześnie chciał odnaleźć Tarquina i porządnie mu nawymyślać za to, że przysparza siostrze cierpień. Zacisnął usta i z tru-



dem odrywając wzrok od wpatrzonych w niego oczu, spojrział na drogę przed sobą.

Miał pewne podejrzenia co do tego, gdzie Tarquin mógł się ukrywać, i wiedział też, co ten nicpoń wyprawiał, zanim zapadł się pod ziemię. Nie były to jednak rzeczy odpowiednie dla uszu młodej niezamężnej kobiety.

Na pytanie, czy nie widział ostatnio Tarquina, brat Marka udzielił ciekawej odpowiedzi. Otóż sir Jason Hunter i jego żona Helen, wracając z przedstawienia na Drury Lane, spostrzegli pijanego Tarquina na jednej z ciemnych uliczek. Jason wspomniał z rozbawieniem, że Tarquin sprawiał wówczas wrażenie mocno zainteresowanego wdziękami wyjątkowo urodziwej prostytutki.

Mark wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu. Może Tarquin wziął poważnie jego ironiczną radę, której udzielił mu kilka miesięcy wcześniej, i próbował teraz różnych życiowych uciech, zamiast trwonić wszystkie środki wyłącznie na hazard.

Emily cierpliwie czekała na odpowiedź, nie spuszczać z niego wzroku. Przekazał jej z grubsza to, co wiedział, starając się uważnie dobierać słowa.

- Mój brat z bratową widzieli Tarquina jakieś dwa tygodnie temu. Obiecuję, że nadal będę starał się dowiedzieć czegoś więcej.

- Gdzie to było? Gdzie go widzieli? - dopytywała się Emily. Postanowiła wybrać się osobiście do lady Hunter. Przyjaźniły się jeszcze w czasach, nim Helen wyszła za sir Jasona Huntera.

- Zauważyli go w okolicach Covent Garden, kiedy wracali z teatru.

- On też był na przedstawieniu? - spytała szybko Emily.  
- Kto z nim był? Moglibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej od osób, które mu towarzyszyły - podsunęła wyraźnie ożywiona.

- Nie był w teatrze, a towarzyszące mu osoby, sądząc z opisu, trudno byłoby odnaleźć. Jason widział go tylko przelotnie przez okno powozu, kiedy wracał do domu. Obiecuję, że odnajdę pani brata - zapewnił Mark pośpieszenie, zatrzymując powóz przed sklepem madame Joubert.

Emily jeszcze przez chwilę patrzyła Markowi w oczy; w głowie kłębiły jej się natrętne myśli. W głębi duszy miała ochotę przyznać się, że i ona ma pewne wiadomości na temat brata. Czy powinna mu powiedzieć, że dostała list wzywający ją na Whiting Street? Mark mógł rozpoznać z opisu człowieka ze złamanym nosem i rzucić trochę światła na jego tożsamość i ewentualne powiązania z Tarquinem. Jednak wrodzona ostrożność Emily kazała jej ugryźć się w język i zachować w tajemnicy sprawę dziwnego nieznanego.

Mark Hunter wysłał kiedyś jej brata do więzienia za dług w wysokości marnych stu funtów. Wprawdzie nadal byli przyjaciółmi, ale skąd mogła wiedzieć, czy Mark Hunter rzeczywiście pragnął pomóc Tarquinowi? Emily nie potrafiła do końca mu zaufać i uwierzyć w jego lojalność wobec jej brata.

Myślała wcześniej o cechach różniących Marka Hunte-

ra od Nicholasa Devlina, ale musiała przyznać, że jedno z pewnością ich łączyło: obaj bardziej interesowali się nią niż jej bratem. A był to ten rodzaj zainteresowania, którego nie zamierzała podsycać. Każdy z nich był zajęty, a mimo to tego dnia mogła się przekonać, jak niestałymi są mężami i kochankami.

Wystarczyła odrobina zachęty i odosobnienia, a jeden i drugi chętnie by ją pocałował. Fakt, że choć obaj mieli zobowiązania wobec innych kobiet, byli chętni do nawiązania z nią bliższego kontaktu, wprowadził Emily w oburzenie. Może sobie wyobrażali, że skoro osiągnęła wiek, kiedy trudniej o kandydata do ręki, z wdzięcznością przyjmie ich niewczesne awanse.

- Zaczekam, aż pani dokona zakupów i odwiozę panią do domu.

Emily skorzystała z pomocy młodego stangreta przy wysiadaniu z powozu. Tak, Mark Hunter z całą pewnością okazywał jej więcej uwagi, niż należało się siostrze jednego z przyjaciół. Nie miała wątpliwości, że robi to, by ją uwieść. Pewnie sądził, że skoro jest przystojny i bogaty, Emily chętnie padnie mu w ramiona. Może sobie wyobrażał, że tak bardzo jej zależy na jego pomocy w odnalezieniu Tarquina, że zupełnie straci głowę? Już raz w życiu jej się to zdarzyło, z Nicholasem, i przysięgła sobie, że więcej się nie powtórzy.

Bracia Hunterowie od dawna znani byli jako rozpustnicy. Jason zmienił się po ślubie z Helen i obecnie uchodził za przykładnego męża. Emily zadała sobie w duchu złośliwe

pytanie, czy Mark przejdzie podobną metamorfozę, kiedy pani Emerson zaciągnie go w końcu do ołtarza.

Starając się ukryć cierpki uśmiezek, już stojąc na chodniku, odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Wytrzymał jej wzrok, a wyraz jego twarzy potwierdził jej podejrzenia. Mark Hunter jej pożałował.

- Dziękuję za podwiezienie - rzuciła lekko - a także za propozycję, że pan zaczeka. Proszę mi wybaczyć, ale nie skorzystam. Mam do załatwienia jeszcze inne sprawy poza zakupami.

Przed wejściem do sklepu modniarki zawahała się, ogarnięta nagłym pragnieniem, by się obejrzeć i sprawdzić, czy wciąż na nią patrzy.

Powoli odwróciła głowę; powóz wciąż stał przy krawężniku, a w środku Mark siedział bez ruchu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem Emily spojrzała w bok. Szukała w myślach czegoś, czym mogłaby usprawiedliwić swoje zachowanie.

- Oczywiście, gdyby dowiedział się pan czegoś więcej o Tarquinie... niezależnie od tego, czy to będą dobre, czy złe wiadomości, będziemy wdzięczni za powiadomienie. - Nie czekając na odpowiedź, szybko przestąpiła próg sklepu.



## Rozdział piąty

- I co powiedziała?

Podniecona Jenny Trent nie doczekała się odpowiedzi na pytanie. Mickey Riley z posępną miną strząsnął jej dłoń ze swojego ramienia i ciężko opadł na wytartą sofę.

W zagrożonym głównym pomieszczeniu ich wynajmowanego mieszkania paliło się w piecu, lecz pranie rozwieszona na krześle pochłaniało prawie całe ciepło. Mickey ze złością kopnął w nogę krzesła, zrzucając mokre ubrania na brudną podłogę.

- Straszny tu bałagan. Czy ty nigdy nie sprzątasz, kobieto?

Jenny zerknęła niepewnie na Mickeya, z powrotem ustawiając krzesło na chwiejnych nogach. Podniosła z ziemi pończochy i halki, strzepnęła i ponownie rozwiesiła do wysuszenia.

- Nie pójdzie na to, co? - zagadnęła, uporawszy się z ostatnią sztuką bielizny.

, - Jeszcze nie wiem - odburknął Mickey.

Jenny przyjrzała mu się badawczo, a potem usiadła na stołku naprzeciwko.

- W ogóle nie przyszła - stwierdziła domyślnie. - Mówiłam ci, że to tylko strata czasu.

Mickey Riley poderwał się na nogi, zaciskając dłonie w pięści.

- Zrobiłem jak trzeba, jeśli chcesz wiedzieć! - wykrzyknął. - Była tam punktualnie, ale jakiś przekłety elegant do niej podszedł. Zauważył mnie i zaczął się gapić, więc sobie poszedłem. Znam go. Ty zresztą też. To był Devlin, a ja nie mam ochoty mieć z nim do czynienia.

- Devlin? - zdumiała się Jenny. O tak, znała go i przeklinała tamtą chwilę, kiedy zwrócił na nią uwagę i postanowił wydać trochę gotówki. Wyglądał na światowca, a okazał się podłym draniem. - Myślisz, że siostra Tarquina powiedziała Devlinowi o liście, który jej przysłałeś?

Mickey pokręcił głową.

- Kiedy się zorientowałem, że mnie widział, odszedłem, ale niedaleko. Obserwowałem ich z bocznej uliczki. Stali razem tylko przez parę minut. Spoglądała w moją stronę, jakby chciała go spławić. Potem weszła do kancelarii Wilsona, a Devlin odjechał swoim powozem.

- Zaczekałeś, aż wyjdzie z tego biura?

Mickey przytaknął z ponurym parsknięciem.

- Tak, ale to była strata czasu. Wyszła z facetem. Tym samym, z którym rozmawiała przed sklepem tej Francuzki. Musiał jej wpaść w oko, bo odjechała z nim jego szykowną

bryką. I było po wszystkim, nie miałem szansy z nią pogadać.

Jenny zamyśliła się głęboko. Na dłuższą chwilę w pokoju zapanowało milczenie, przerywane jedynie postukiwaniem jej pantofla o deski podłogi.

- Będziesz próbował jeszcze raz się z nią zobaczyć? - odezwała się w końcu.

Mickey szybko pokiwał głową.

- Nic z tego nie będzie - oznajmiła z pogardą, podkreślona niedbałym machnięciem ręki. - W ten sposób nigdy nie znajdziemy Tarquina. Powinniśmy dać sobie z nim spokój i poszukać innego klienta.

Mickey odpowiedział na jej radę stekiem przekleństw.

Jenny powtórzyła, tym razem ostrzejszym tonem, swoją opinię w tej sprawie.

- Przymknij się, kobieto! - ryknął. - Nie widzisz, że myślę?

- Pensa za twoje myśli...

Mark ocknął się z zamyślenia, odrywając wzrok od sufitu, kiedy jego naga kochanka pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta. Przyjął jej gest z lekkim uśmiechem, ale ręce nadal miał splecione pod głową, a oczyma śledził cienie kładące się na ścianach.

- O czym myślisz? - spytała Barbara, wyciągając się zmysłowo obok Marka na puchowym pościeliu.

Delikatnie musnęła opuszkami palców wypukłe mięśnie na torsie kochanka, a następnie przesunęła dłoń niżej. W jej tonie pobrzmiwała ledwie słyszalna nutka urażonej

dumy, jednak Barbara była na tyle rozsądna, by otwarcie nie okazywać pretensji. Od paru tygodni wyczuwała, że kochanek nie jest tak oddany jak kiedyś. Poważnie ją to niepokoiło, ponieważ chciała doprowadzić do tego, by się z nią ożenił i spłodził z nią dziecko. Znali się od wielu lat, od dawna byli kochankami i oczekiwała, że w końcu zajmie najważniejsze miejsce w życiu Marka Huntera.

Byli w podobnym wieku; dziesięć lat wcześniej planowali małżeństwo, choć nie poczynili ku temu żadnych formalnych kroków. A potem Mark wybrał się w podróż mimo protestów Barbary, która poczuła się opuszczona i rozczarowana. Bolesnie przekonała się, że jednak nie zdołała go sobie owinać wokół małego palca tak skutecznie, jak by sobie życzyła. Wkrótce po wypłynięciu Marka do Francji, wciąż miotana gniewem, przyjęła oświadczenia pewnego znacznie starszego i bogatego mężczyzny. Długo żałowała, że uciekła się do tak dramatycznej taktyki, by ukarać Marka za to, że ją porzucił.

Powróciwszy do Anglii, Mark przyjął stratę ukochanej z filozoficznym spokojem. Jego obojętność wydała się Barbarze wręcz obraźliwa, poza tym zraniła ją do głębi. Wyobrażając sobie jego zagraniczne romanse, aż skręcała się z zazdrości. Jednakże po śmierci jej męża zostali kochankami.

Jeszcze nie tak dawno jednym dotknięciem, jednym pocałunkiem była w stanie rozpalić go do tego stopnia, że kochał się z nią namiętnie przez długie godziny. Teraz musiała mocno się starać, by go nakłonić do zbliżenia. Pochyliła



się nad Markiem tak, że dotykała nagimi piersiami jego torsu, jednocześnie gładząc zmysłowo ciepłą skórę.

Mark przyjmował pieszczoty z początku bez większego zaangażowania, ale w końcu odpowiedział na pocałunek, wsuwając dłoń w jej kruczoczarne włosy. Samolubnie pozwolił, by go podniecała, podczas gdy pod powiekami wciąż miał ponętny obraz rudych loków, okalających twarz o srebrzystych oczach. Wreszcie, przeklinając w duchu własną niegodziwość, przestał myśleć o pannie Beaumont i skupił całą uwagę na kobiecie, z którą dzielił łożę.

Mark Hunter nie był jedynym mężczyzną, któremu Emily tak mocno zapadła w myśli, że jej obraz zakłócił intymną sferę życia.

Zaledwie dziesięć minut po wejściu do sypialni swej małżonki wicehrabia Devlin narzucił na siebie jedwabny szlafrok i znów wyszedł. Czuł na sobie spojrzenie żony, ale rozczarowanie i smutek widoczne w jej wzroku niewiele go obchodziły.

Pobrali się przed pięcioma miesiącami i niemal natychmiast Frances zaszła w ciążę. Dopełnił wprawdzie małżeńskiego obowiązku, lecz jak zwykle pozostał niezaspokojony. Znalazłszy się w swoim pokoju, zamiast skierować się do łóżka, stanął przy wielkim oknie wychodzącym na Cleveland Street. Patrząc na nocne niebo, rozmyślał o kobiecie, która, był tego pewien, umiałaby rozpałić go do białości.

Nie można powiedzieć, by żałował, że nie ożenił się z Emily Beaumont. Wybrał na żonę kobietę o wiele lepiej

pasującą do tej roli. Frances była urodziwa, zrównoważona i potulna. A co najważniejsze, wniosła w małżeństwo ogromny posąg i znakomite koneksje rodzinne.

Emily nie dysponowała żadnym z tych atutów. Jednakże była piękna i, co odkrył z zachwytem, wyjątkowo namiętna. W przekonaniu Nicholasa Emily Beaumont, mimo iż pochodziła z dobrej rodziny, mogłaby być wspaniałą kurtyzaną. Cechowała ją wrodzona żywiółowość zaprawiona lekką nieśmiałością, a do tego miała ciało zmysłowej bogini i była rozbijającą niewinna. Kiedy się poznali w Almacku, oczarowała go zachwycającym dziewczęcym urokiem i zapragnął jej... ponad wszystko. Ogłupiały z pożądania niemal od razu jej się oświadczył i niemal natychmiast zaczął przeklinać swoją niecierpliwość i głupotę.

Od samego początku miał świadomość, że Emily nie pozwoli uwieść się mężczyźnie, który jej nie kocha i nie zechce się z nią ożenić. Dlatego mówił jej to, co chciała usłyszeć, i bezlitośnie rozkochiwał ją w sobie. Z jej ojcem rozmawiał o honorze i poczuciu bezpieczeństwa, sprawiając wrażenie człowieka zacnego i szczerego.

Ciażyło na nim jednak powszechne w rodzinie Devlinów przekleństwo rozrzutności i braku skrupułów, które dotknęło też jego ojca. Kiedy na skutek nieustających ekstrawagancji stan finansów zbliżył się do alarmującego poziomu, zaczął się poważnie zastanawiać, jak mógłby wykręcić się od małżeństwa z Emily i zapolować na posąg, nie ściągając jednocześnie na swą głowę potępienia.

Tak się fortunnie złożyło, że Tarquin Beaumont wyba-

wił go od konieczności wybrania przemyślnej taktyki. Nie darował wprawdzie Tarquinowi tamtego sromotnego lania, ale wynikała między nimi wrogość okazała się bardzo użyteczna, jako że umożliwiła mu wywiniecie się ze zobowiązań i przystąpienie do szukania odpowiednio zamożnej kandydatki. A teraz, kiedy jego żona robiła się coraz grubsza i mniej pociągająca, uwiedzenie Emily stało się jego obsesją.

Gdy tego popołudnia wyznał Emily, że o niej myśli, mówił prawdę. Rzadko miał okazję ją widywać, ponieważ towarzystwo obracali się w innych kręgach. Jeszcze do wczoraj pragnienie, by spotkać się z nią sam na sam, wydawało się niemożliwą do spełnienia fantazją. A jednak dzisiaj mu się udało. Wprawdzie zachowywała się wobec niego nad wyraz powściągliwie, ale czuł, że nie pozostała obojętna. Z wiekiem stała się bardziej otwarta i był pewien, że przy odpowiednio subtelnym podejściu uda mu się od nowa pozyskać jej względy.

Teraz, kiedy dzięki żonie był bardzo bogaty, nie widział powodu, by zadowalać się prostytutkami podsyłanymi przez Mickeya Riley'a. Wolał zaspokajać żądzę z kobietą niepospolitą i wyrafinowaną. Miał dość środków na to, by dostatnio urządzić kochankę w apartamencie w modnej części miasta. Doskonale wiedział, kogo chciałby tam odwiedzić. Pozostawało mu jedynie nakłonić Emily do przyjęcia propozycji...

Nicholas uśmiechnął się pod nosem, zapatrzony w gwiazdy. Może pomogłoby mu odkrycie, dlaczego Emily

zachowywała się tak dziwnie podczas ich przypadkowego spotkania na Whiting Street i dlatego Mickey Riley się jej przyglądał.

- Emily! - Helen Hunter poderwała się z krzesła, by serdecznie powitać gościa. - Jak dobrze cię widzieć. Muszę przyznać, że jesteś rannym ptaszkiem.

Emily uściskała przyjaciółkę i zasiadła w elegancko umeblowanym różowym salonie.

- Wiem, że nie bardzo wypada wychodzić z domu o tak wczesnej porze - powiedziała z przeproszącą miną - ale muszę cię spytać o coś bardzo ważnego.

Helen odrzuciła na dywan żurnal, który jeszcze przed momentem przeglądała, i uśmiechnęła się do gościa zachęcająco.

- No cóż, nie tylko cieszę się z twojej wizyty, ale jestem wręcz zaintrygowana. Proszę, pytaj śmiało, o co tylko chcesz.

Emily zamyśliła się na chwilę, po czym wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Widziałam się wczoraj z twoim bratem i chciałam cię spytać o coś, co mi powiedział.

Helen odchyliła głowę na oparcie fotela; na jej twarzy ukazał się ledwie widoczny wyraz goryczy. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że przyjaciółka nie przepada za Markiem, i знаła przyczynę takiego stanu rzeczy. Wiedziała od swego męża Jasona, że Mark przyczynił się do aresztowania Tarquina, chociaż kierował się nie złościwością, lecz raczej altruizmem.

- Czyżby Mark powiedział coś, co cię zdenerwowało? - spytała z pewnym niedowierzaniem.

Wiedziała, że szwagier bardzo się stara, by w niczym nie uchybić jej przyjaciółce. Helen podejrzewała wręcz, że Mark żywi do Emili szczerą sympatię i czuje się dotknięty jej nieskrywaną niechęcią.

- Nie, nie zdenerwował mnie... w każdym razie, nie umyślnie. Mark powiedział mi coś na temat Tarquina. Cóż, prawdę mówiąc, jestem mu wdzięczna za te wiadomości.

Helen zachichotała.

- Mogłabyś zacząć jeszcze raz?

Emili przeprosiła gestem za nieskładne wyjaśnienia, po czym z westchnieniem zdjęła czepek i rękawiczki, próbując zebrać rozpierzchłe myśli.

- Napijmy się herbaty - zaproponowała Helen. - Skoro mamy rozwiązać poważny problem... a coś mi mówi, że tak właśnie będzie, to musimy trochę się wzmocnić.

Helen i Emily przyjaźniły się od lat i powierzały sobie sekrety, zarówno te dobre, jak i złe. W istocie nie dalej jak przed dwoma tygodniami Emily poznała wspaniałą nowinę, zanim została ogłoszona oficjalnie. Mianowicie, że Helen spodziewa się pierwszego dziecka. Tak więc teraz, między kolejnymi łykami herbaty Helen chętnie i otwarcie odpowiadała na pytania Emili, dotyczące pamiętnego powrotu Hunterów z teatru, kiedy to ostatni raz widzieli Tarquina. Helen wyznała przyjaciółce, że była świadkiem, jak Tarquin obejmował prostytutkę w bocznej uliczce niedaleko Covent Garden. Helen

nie bez zdziwienia przyjęła wiadomość, że po tym incydencie Tarquin zniknął na dobre.

Po chwili ożywionej rozmowy obie panie na jakiś czas zamilkły, dopijając resztki herbaty.

Emily nagle gwałtownym ruchem odstawiła filiżankę na boczny stolik.

- Powiedz mi szczerze, Helen... Sądzisz, że Tarquin mógł wpaść w zasadzkę? Zgadzasz się ze mną, że ci... ci podejrzani ludzie mogli go obrabować? I pobić? Może nawet nie chcieli mu zrobić poważnej krzywdy, ale... uważasz, że mógł zdarzyć się jakiś wypadek? Och, gdzie ten nieszczęśnik się podziewa?

Helen poderwała się z miejsca i przypadła do krzesła przyjaciółki.

- Uspokój się - powiedziała miękko. - Z pewnością nic takiego się nie stało. Gdyby każdego mężczyznę, który szuka kobiecego towarzystwa w okolicach Covent Garden, napadano i porywano, to Almack w środowe wieczory świeciłby pustkami.

Cierpka uwaga Helen zdołała wywołać słaby uśmiech na ustach Emily.

- Sądzisz, że on po prostu wdał się w dłuższe pijaństwo? Helen uniosła ciemne brwi.

- Jeśli tak, wróci z bolącą głową, niezależnie od tego, czy po niej oberwał, czy nie. - Uspokajająco ścisnęła dłoń przyjaciółki. - Mam poprosić Jasona, żeby spróbował go odnaleźć?

Emily energicznie pokręciła głową.

- Mark już zaproponował, że postara się czegoś dowiedzieć. Nie chcę tym dodatkowo trudzić sir Jasona. - Oczywiście rozbłyśły, jakby nagle coś sobie uświadomiła. - Zastanawiam się, czy właśnie dlatego ten typ ze złamanym nosem przysłał mi list: by mi donieść, że coś się stało Tarquinowi i nie może wrócić do domu. Może wcale nie chodzi o długi karciane, ale spodziewam się, że i tak będzie potrzebował pieniędzy, by się wydobyć z kłopotów...

Pełen zdumienia okrzyk Helen przerwał Emily głośne rozmyślenia.

- Musisz mi natychmiast wszystko dokładnie wyjaśnić! Jaki list? Jaki typ ze złamanym nosem? Co właściwie się dzieje?

- Sama chciałabym to wiedzieć - odparła ponuro Emily. Następnie opowiedziała przyjaciółce o swej bezowocnej wyprawie na Whiting Street i o pechu, który kazał jej tam spotkać zarówno wicehrabiego Nicholasa Devlina, jak i Marka Huntera.

Helen przerwała jej gestem uniesionej dłoni.

- Chwileczkę. Czegoś tu nie rozumiem. Rozmawiałaś z mężczyzną, z którym byłaś kiedyś zaręczona? Sądziłam, że ty i wicehrabia Devlin unikacie się nawzajem.

- Owszem... zawsze tak było... od tamtej pory. Podszedł do mnie na Whiting Street i zachowywał się stanowczo zbyt poufale jak na żonatego człowieka - oznajmiła Emily. - Chcąc od niego uciec, weszłam do pobliskiego budynku i tam wpadłam na twojego szwagra. - Wspomnienie bliskości Marka w ciemnym korytarzu biura adwokackiego sprawiło, że na policzkach Emily pojawił się gorący rumie-

niec. Szybko przywołała się w duchu do porządku, skupiając się na zniknięciu brata. - Mark odwiózł mnie do domu i powiedział mi, że ty i Jason widzieliście Tarquina, ale nie chciał dodać nic więcej.

Teraz rozumiała, dlaczego Mark nie chciał wyjawic, w czym towarzystwie znajdował się Tarquin tamtego wieczoru. Dżentelmenowi nie wypadało informować damy, że jej brat zadaje się z kobietami lekkich obyczajów, nawet jeśli rzeczoną damę dopiero co omyłkowo wzięto za taką kobietę. Przygryzła wargę, żeby powstrzymać ironiczny uśmiech. Swoją drogą była ciekawa, co by Helen pomyślała, dowiedziawszy się, że przez nieporozumienie uznano Emily za prostytutkę.

- Mark pewnie się zdziwił, widząc cię samą w takim miejscu. Powiedziałaś mu, że dostałaś list i przyszłaś tam, żeby dowiedzieć się czegoś o Tarquinie?

Emily zaprzeczyła ruchem głowy.

- Najpierw chciałam się dowiedzieć, co knuje ten typ ze złamanym nosem. Tarquinowi niejedną raz zdarzyło się wywołać skandal, który wszyscy musieliśmy tuszować.

- Wiesz, że Mark jest człowiekiem godnym zaufania - przypomniała jej Helen.

Emily odruchowo zadarła podbródek. W tej jednej sprawie, w kwestii zacności Marka Huntera, zasadniczo się z Helen różniły.

- W przeszłości zachował się wobec Tarquina okropnie.

- Wiem, że tak sądzisz... ale... och, nie rozmawiajmy o tym teraz - poprosiła cicho Helen.



Emily uśmiechnęła się pojednawczo.

- Wolalabym, żebyś nikomu nie mówiła, o czym tu dziś rozprawialiśmy.

Helen opuściła głowę.

- Nie powiem - obiecała. - Możesz być spokojna jak zawsze, że dochowam tajemnicy. Tak jak ty dochowujesz moich.

Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Ach, ci bracia!

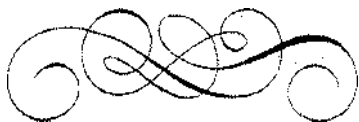
- Właśnie. - Helen westchnęła. Jej także dało się we znaki samolubne zachowanie Jasona. Wzięła do ręki dzbanek z herbatą, lecz po krótkim namyśle z powrotem go odstawiła. - Chyba przyda się nam coś mocniejszego - oświadczyła, wyjmując z kredensu karafkę i dwa kryształowe kieliszki.

Pół godziny później pokrzepiona solidną porcją sherry, Emily wyszła na zalany słońcem Grosvenor Square. Rozgrzana słonecznymi promieniami, a także sherry, przywołała w pamięci mężczyzn, zakłócających spokój jej umysłu. Wiedziała, że powinna troszczyć się przede wszystkim o Tarquina, ale uporczywie powracało do niej wyznanie Nicholasa Devlina, że za nią tęsknił. Co dziwne, nie mogła też opędzić się przed wspomnieniem wyrazu twarzy Marka, gdy stali tuż obok siebie w ciemnym korytarzu.

Westchnęła ze zniecierpliwieniem, przyśpieszając kroku. Prawdopodobnie jedyną osobą, która mogła rzucić nieco światła na położenie Tarquina był nadawca listu, czyli ów

podejrzany typ ze złamanym nosem. Tylko jak go teraz odszukać?

Znajdowała się już niedaleko domu, gdy ujrzała właśnie tego mężczyznę, zmierzającego prosto w jej stronę. Co krok rozglądał się to na prawo, to na lewo, pokazując charakterystyczny profil z krzywym nosem. Nagle szybko skręcił w wąską alejkę między dwoma domami i gestem przyzwał Emily, by do niego dołączyła.



## Rozdział szósty

- Co za szczęście, że akurat na panią wpadł - powitał ją Mickey Riley, grzecznie uchylając kapelusza. Tak naprawdę od dłuższego czasu krążył wokół domu w nadziei, że w końcu uda mu się ją wypatrzeć.

- Co ma mi pan do powiedzenia na temat mojego brata? - spytała Emily, otrząsnąwszy się z -zaskoczenia nieoczekiwanym spotkaniem. - Stanowczo uprzedzam, że nie otrzyma pan ode mnie żadnych pieniędzy. Nigdy nie reguluję karcianych długów mojego brata - oznajmiła.

Poparła oświadczenie odpowiednio surową miną, która miała upewnić krzywonosego, że nie powinien sobie roić, iż nakłoni ją do wręczenia mu jakiegokolwiek sumy. Nie spodziewała się usłyszeć całej prawdy o położeniu Tarquina, ale prawdopodobnie mogła liczyć na to, że dowie się, o co właściwie chodzi.

Mickey spojrział niebieskimi oczami najpierw w prawo, później w lewo, a potem jeszcze zerknął przez ramię Emily,

jakby chciał się upewnić, że nikt niepowołany ich nie usłyszy. Mimo ponagleń nie zamierzał od razu wyłożyć wszystkiego, co wie.

- Tam będzie bezpieczniej - zauważył po chwili głębokiego namysłu i ruszył przed siebie, kiwnięciem głowy nakazując Emily, by poszła za nim.

Wahała się przez moment, lecz w końcu postanowiła spełnić polecenie. Kierowali się do wąskiego przesmyku między domami; miejsce, rzeczywiście zaciszne, wciąż pozostawało widoczne z głównej ulicy.

- Nie chodzi o hazard, niech się pani nie obawia. Posłałem pani list przez chłopaka - odezwał się Mickey, kiedy wreszcie stanęli przy końcu alejki.

- Tak, domyśliłam się, że list był od pana - odpowiedziała sztywno Emily. - Przyszłam na Whiting Street i widziałam tam pana. Czemu pan tak nagle się oddalił?

Przyjrzała się ogorzałej twarzy o grubo ciosanych rysach. Domyśliła się, że nie może być dużo starszy od Tarquina, tymczasem miał zupełnie siwe włosy i cerę pooraną zmarszczkami. Z bliska sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. Mogła przypuszczać, że znało go wielu ludzi, ale ona nie wiedziała, z kim ma do czynienia.

- Jak pan się nazywa i dlaczego mnie pan niepokoi?

Pytanie wzbudziło jedynie chytre mrugnięcie.

- Zadałam sobie sporo trudu, żeby się z panem spotkać w centrum miasta - ciągnęła Emily, nie kryjąc zniecierpliwienia. - Mam nadzieję, że nie zamierza pan znów marnować mojego czasu.

- Widziałem, jak pani rozmawiała z Devlinem. Nie chciałem się na niego nadziać.

- Wicehrabia jest pańskim znajomym? - zdumiała się Emily. Mogła zakładać, że jej rozmówca jest dość popularny, ale do głowy by jej nie przyszło, że coś może go łączyć z arystokratą.

Mickey wyraźnie pożałował, że nie trzymał języka za zębami. Miał dość rozumu, by zakładać, że jeden z jego najbogatszych i najbardziej wpływowych klientów raczej wolałby nie przyznawać się do tego rodzaju kontaktów.

- Oczywiście, że się nie znamy - zapewnił pośpiesznie.  
- Po prostu wiem, kim on jest, to wszystko. Nie marnuję pani czasu. Próbuję wyświadczyć wam wszystkim przysługę na wypadek, gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót.

- Czyżby mojemu bratu coś się stało? - zapytała przestraszona Emily. Przypomniała sobie, jak kilka lat wcześniej Tarquin usiłował załatwić sprawę pewnego długu na wimbledońskich błoniach. - Brał już kiedyś udział w pojedynku i został ranny w bark.

Mickey sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Nigdy bym go nie podejrzewał o waleczność. - Przesąpił z nogi na nogę. - Kiedy ostatni raz go widziałem, miał się całkiem dobrze - dodał.

Emily poczuła wielką ulgę.

- Oczywiście jeśli nie zależy pani na reputacji rodziny, to nie ma o czym mówić. W takim razie będę się zbierał.

Mimo tych słów nic nie wskazywało na to, by zamierzał

odejść. Stał nieporuszony, zerkając chytrze na Emily spod krzaczastych brwi.

- Czy zależy mi na reputacji rodziny? - powtórzyła za nim zaskoczona Emily.

Poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Od dawna przeczuwała, że w końcu jej brat swą niefrasobliwością doprowadzi do skandalu.

- Jeśli pani wie, gdzie jest Tarquin, to lepiej niech mi pani powie - poradził Mickey. - Wtedy będę mógł go ostrzec, bo jak nie zapłaci, to cała sprawa z pewnością wyjdzie na jaw.

Emily wzdrygnęła się, zaskoczona nie tylko tym, co usłyszała, ale i poufałością, z jaką jej rozmówca wyrażał się o Tarquinie. Trudno jej było uwierzyć, że ten człowiek to znajomy brata.

- Nie wiem, gdzie obecnie przebywa mój brat - oznajmiła chłodno. - Przyszłam wczoraj na Whiting Street, by się z panem spotkać tylko dlatego, że sądziłam, iż dowiem się tego od pana. - Rozczarowanie było tak silne, że łzy napłynęły jej do oczu. Otarła je szybkim ruchem, nie chcąc po sobie pokazać, jak bardzo jest zmartwiona. - Co może wyjść na jaw? Wspomniał pan, że nie chodzi o pieniądze.

- Nie mówiłem, że nie chodzi o pieniądze. Powiedziałem, że nie chodzi o hazard. - Twarz Mickeya Rileya przybrała wrogi wyraz. Skany Anula43, przerobienie pona.

Emily odruchowo się cofnęła.

- Proszę mi szybko wyjaśnić, w czym rzecz, bo i tak stoję tu z panem zbyt długo.

Mickey przesunął się w bok, tak by nie mogła go wymi-  
nać na wąskiej ścieżce.

- Jeśli pani wie, gdzie on jest, niech pani powie, bo  
w przeciwnym razie będę musiał zastukać do drzwi pani  
ojca - oznajmił ze złowrogim spokojem. - Biedna dziew-  
czyna nie ma się dokąd udać, rozumie pani... - Urwał nag-  
le i zaklął, spoglądając ponad ramieniem Emily w kierunku  
ulicy. - Lepiej będzie, jak dokończymy tę rozmowę innym  
razem - mruknął, po czym dziwacznym, niemal komicz-  
nym krokiem, jakby się skradał, zaczął się oddalać.

Emily odwróciła się, żeby sprawdzić, co go tak prze-  
straszyło. Natychmiast rozpoznała postawną sylwet-  
kę Marka Huntera, stojącego przy eleganckiej odkrytej  
bryczce. W środku, w swobodnych pozach siedzieli jej  
przyjaciółka Helen oraz jej mąż sir Jason Hunter. Para  
gawędziła z Markiem, który niedbale opierał rękę na  
łśniącej burcie pojazdu.

W pewnym momencie przestał rozmawiać z bratem  
i bratową, lecz nadal się uśmiechał, więc małżonkowie na-  
wet nie zauważyli, że jego uwagę zajęło coś innego.

W końcu Mark pożegnał się i odsunął od pojazdu. Emi-  
ly widziała, jak Helen macha mu na do widzenia, po czym  
bryczka ruszyła miękko, kierując się na zachód.

Emily nie miała wątpliwości, że Mark obserwował, jak  
rozmawiała z krzywonosym mężczyzną, i widział też, że  
ten człowiek pośpiesznie się oddalił. Mogła być pewna, że  
Mark zaraz do niej podejdzie i będzie jej zadawał różne  
kłopotliwe pytania. Przystanął na moment u wylotu alejki,

nie dając jej możliwości ucieczki, a potem zdecydowanie skierował się w jej stronę.

- Panna Beaumont...

- Pan Hunter...

Słyszając zaczepną nutę w jej głosie, nieznacznie się uśmiechnął.

- Czyżby znów musiała pani znosić niepożądane towarzystwo?

Emily od razu się domyśliła, o kogo mu chodzi, choć rzecz jasna Mark nie wiedział, że to wicehrabia Devlin był tym, przed którym szukała schronienia w biurze pana Wilsona.

- Nie... to nie jego unikałam na Whiting Street.

- Aha. Tak właśnie pomyślałem, że to pewnie nie on. Tym razem to Riley sprawiał wrażenie, jakby chciał uciec.

- Riley? - powtórzyła ze zdziwieniem Emily. - Pan go zna?

Bezwiednie zbliżyła się do Marka, niecierpliwie wyczekując odpowiedzi.

- Rozumiem, że się nie przedstawił. Musi poprawić swoje maniery.

Emily zarumieniła się, urażona tym ironicznym tonem.

- Nazywa się Mickey Riley i muszę przyznać, że bardzo mnie ciekawi, dlaczego pani zdecydowała się poświęcić mu czas.

Czekając na wyjaśnienia i spodziewając się z góry, że będą wymijające, Mark myślał o ich spotkaniu sprzed paru dni, kiedy przed sklepem modniarki Mickey Riley i je-



go towarzyszka uważnie przyglądali się Emily Zastanawiał się wówczas, czy Riley będzie miał na tyle tupetu, by nagabywać Emily w sprawie niespłaconego długu Tarquina. Mógł przypuszczać, że Tarquin jest winien Rileyowi pieniądze przegrane na walkach kogutów. Teraz jednak zaczął podejrzewać, że chodzi o coś innego.

Obiło mu się o uszy, że Mickey Riley zajmuje się stręczeniem prostytutek nieco wyższej klasy niż te, które gromadzą się wokół Covent Garden. Dowiedziawszy się od brata, że ostatni raz widziano Tarquina w tamtej okolicy z urodziwą dziewczyną, Mark uznał za prawdopodobne, że Riley ściga Tarquina po to, by mu zapłacił za wiadomą usługę. Co więcej, Mark poważnie się obawiał, że Mickey Riley niepokoi Emily jako alfons, nie bukmacher. Tarquin mógł być wprawdzie nieświadomy, że siostra została wciągnięta w świat jego ciemnych występków, jednak w niczym nie zmieniało to faktu, że tak właśnie się stało.

- Dlaczego pani się z nim spotkała? - zapytał Mark głosem szorstkim od tłumionej złości. Gdyby w tym momencie Tarquin nawinął mu się pod rękę, pewnie by go udusił.
- Czy Riley chciał od pani pieniędzy?

Emily zjeżyła się wewnątrz, nieprzyjemnie zaskoczona bezpośredniością pytania.

- Nie rozumiem, sir, dlaczego interesuje pana treść naszej rozmowy. - Zadarła głowę i zamierzała wyminąć Huntera, ale oparł się ręką o ceglana ścianę, zagradzając jej drogę.

- Proszę mi powiedzieć, czego chciał.

Emily zacisnęła palce na jego ramieniu, próbując usunąć przeszkodę, ale poczuła jedynie lekkie napięcie twardych mięśni pod tkaniną rękawa. Nie chcąc się wdawać w upokarzającą szamotaninę, cofnęła rękę i postąpiła krok do tyłu.

- Powtarzam panu, sir, że to, o czym mówiłam z panem Rileyem, nie powinno pana obchodzić. Arogancja, z jaką mnie pan wypytuje, jest doprawdy niesłychana.

- To pani naiwność jest niesłychana, panno Beaumont, skoro uważa pani, że sama sobie poradzi z Rileyem. Poza tym upoważniła mnie pani do interesowania się tą sprawą, prosząc o pomoc w odnalezieniu Tarquina. Jeszcze przed chwilą nie wiedziała pani nawet, jak ten człowiek się nazywa. Dałbym głowę, że nie ma pani pojęcia, co to za typ i czym się zajmuje.

Emily rzuciła mu buntownicze spojrzenie. Choć niechętnie, musiała w duchu przyznać, że Mark ma rację. Najwyraźniej wiedział, że istnieje związek pomiędzy Rileyem a Tarquinem, więc nie było sensu temu zaprzeczać. Nie ulegało wątpliwości, że przedłużająca się nieobecność brata stanowiła niepokojącą tajemnicę, której nie była w stanie rozwiązać w pojedynkę.

Do tej pory nie potrafiła przezwyciężyć silnie zakorzenionej niechęci do Marka Huntera. Jego pewność siebie działała jej na nerwy, a do tego mu nie ufała, ale był bogaty i wpływowy, no i uważał się za przyjaciela Tarquina. Potrzebowała wsparcia kogoś takiego, ponieważ mogła być

pewna, że Riley nie zostawi jej w spokoju. Nie dysponując pieniędzmi ani fizyczną siłą, które ewentualnie skłoniłyby go do mówienia, mogła spodziewać się z jego strony jedynie dalszych gróźb.

Mogła wyjawić wszystko ojcu, ale była pewna, że nie ma co liczyć na niewinne wyjaśnienie zniknięcia brata. Była świadkiem przygnębienia ojca kilka dni temu, kiedy jedli kolację ze Stephenem i jego babką. Cecil Beaumont martwił się o obu swoich synów, nie tylko o pierworodnego. Emily rozumiała, dlaczego rodzice zachęcali Tarquina, żeby wyprowadził się z rodzinnego domu do własnego lokum. Chcieli chronić Roberta przed pójściem w ślady starszego brata, którego uwielbiał i idealizował.

Otrząsnąwszy się z długiego zamyślenia, Emily zerknęła na Marka. Zmusiła się do pojednawczego uśmiechu, lecz niczego tym nie wskórała. Mark patrzył na nią poważnie, wręcz surowo. Nie dał się nabrać na jej fałszywą przymilność. Grymas zniecierpliwienia na jego twarzy sugerował jednoznacznie, że nie ustąpi, dopóki nie otrzyma odpowiedzi na pytanie.

- Pan Riley przysłał mi list z prośbą, bym się z nim spotkała na Whiting Street - zaczęła wreszcie z ociąganiem Emily. - Z listu można było wywnioskować, że uzyskam jakieś wiadomości na temat Tarquina. - Wymowny gest dłonią miał oznaczać, że nadzieje okazały się płonne. - Wygląda na to, że on nie wie, gdzie przebywa mój brat. Co więcej, oczekuje ode mnie, że mu to powiem. - Ponownie zerknąwszy na Marka, przekonała się, że słucha jej z napięciem

uwaga. - Właśnie wyjawiałam Rileyowi, że nie wiem, gdzie jest Tarquin, ale nie jestem pewna, czy mi uwierzył.

- Nie powiedziała mu pani tego wszystkiego wczoraj?

Emily pokręciła przecząco głową.

- Wczoraj nie udało mi się z nim porozmawiać, bo... -  
Urwała, ściągając brwi.

- Bo przeszkodziła pani osoba, której pani chciała uniknąć?

- Właśnie - mruknęła Emily.

- Kim była ta osoba? - zapytał Mark pozornie lekkim tonem.

Emily odwróciła głowę, nie kryjąc irytacji jego dociekliwością.

- Ustąpiłam przed pana stanowczością i wyjawiałam treść rozmowy z Mickeyem Rileyem. Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości dalszymi niestosownymi pytaniami.

Mark przysunął się wolnym, jakby leniwym krokiem. Zatrzymał się tuż przed Emily, tak blisko, że szerokimi ramionami całkowicie zasłonił jej widok na ulicę. Równie powoli wyjął rękę z kieszeni i długimi, szczupłymi palcami ujął Emily za podbródek i zmusił ją, żeby na niego spojrzała.

- Bardzo się staram, panno Beaumont, nie umywać rąk od tego wszystkiego i nie zostawić pani bez wsparcia.

Emily cisnęły się na usta słowa protestu, ale ugryzła się w język, uprzytamniając sobie, że Markowi Hunterowi łatwiej niż jej będzie odnaleźć Tarquina. Kiedy jego urodziwa męska twarz znalazła się tuż przy jej twarzy, odruchowo za-

mrugała oczami, zauważając, że specjalnie przymknął powieki, by nie zobaczyła, że wpatruje się w jej usta.

- Ale pan mnie nie zawiedzie, prawda? - rzuciła wyzywająco i prawie natychmiast pożałowała tego, co powiedziała.

- Nie zawiodę? - podchwycił Mark dwuznacznym tonem.

- Co każe pani przypuszczać, że mógłbym to uczynić?

Emily próbowała wyswobodzić podbródek z jego uścisku, ale jej się nie udało.

Doskonale, skoro chce wiedzieć, nie będzie przed nim ukrywała, że zdaje sobie sprawę, że jego nieoczekiwana chęć pomocy bynajmniej nie bierze się ze szlachetnych pobudek. Milczała jednak, bo jakoś trudno jej było się przełamać, by go oskarżyć, że kieruje się zwykłą żądzą. Im bardziej próbowała skupić się na dobraniu odpowiednich słów, tym intensywniej odczuwała dotyk jego palców na podbródku.

- Dlaczego pani nie zawiodę? - spytał Mark, tym razem z lekkim rozbawieniem. Oparł się o mur i przysunął twarz jeszcze bliżej do twarzy Emily. Zaraz potem ironia ustąpiła miejsca czułości, gdy zauważył, że zarumieniła się z zakłopotania. - Śmiało, proszę się nie kępować. Obiecuję, że nie będę protestował, jeśli mi pani powie, że jestem głupcem zbyt wrażliwym na pani urodę i za tolerancyjnym dla pani ciętego języka. Ostatecznie to prawda. - Zanim opuścił rękę, przesunął delikatnie palcem po rozognionym policzku Emily. Nie odsunął się jednak; ich ciała wciąż niemal się ze sobą stykały.

Nie denerwuj go, przecież potrzebujesz jego pomocy, nakazała sobie w duchu Emily. Jednak tak naprawdę nie chodziło o niewątpliwą przydatność Marka przy rozwiązywaniu sprawy Tarquina. Emily stała bez ruchu, nie protestując, ponieważ pragnęła, by Mark znów pogładził ją chłodnymi palcami po rozgrzanym policzku. Marzyła o tym, żeby się przekonać, jak to jest być całowaną przez Marka Huntera.

Ta tęsknota, nieodparta i niepoddająca się woli, sprawiła, że Emily nieco przesunęła głowę do przodu i skupiła wzrok na ustach Marka, mocnych w wyrazie, z pewnością zmysłowych...

Mark wolno pochylił głowę; zawahał się na moment, lecz widząc, że Emily nie uchyla się przed nim, przywarł wargami do jej ust. Jednocześnie delikatnie przyłożył dłoń do jej twarzy, jakby ją chciał przytrzymać, by mu nie uciekła.

Emily czuła, jak pocałunek, zrazu nieśmiały, staje się coraz bardziej natarczywy. Rozchyliła wargi, podczas gdy długie palce Marka kreśliły miękkie kręgi na jej policzkach, skutecznie rozprasząc wszelkie myśli o proteście przeciwko tej niebywałej zuchwałości.

Dając się ponieść zmysłom, uległa pieszczocie. Oparła się o niego całym ciałem, ogarnięta słodką bezwolnością. Mark przeniósł dłoń na jej kark, odnalazł wrażliwe miejsce u nasady włosów i zaczął je gładzić delikatnymi muśnięciami. Wstrząśnięta przyjemnym dreszczem Emily wydała z siebie ciche westchnienie.

Mark zagarnął ją w ramiona, podniecony jej nieoczekiwane namiętnym odzewem. Nie przerywając pocałunku, wsunął ręce pod jej płaszcz i położył na smukłej kibici.

Emily ponownie zadrżała, czując jego dłonie na piersiach, drażniące brodawki, nabrzmiałe pod tkaniną stanika. Odpowiedziała bezwiednym wygięciem ciała w łuk... i nagle zastygła w bezruchu, z szeroko otwartymi oczyma. Z ulicy dobiegło ochryple wołanie jakiegoś domokrażcy. Gwałtownie oprzytomniała, zdała sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje... i z kim. Odskoczyła do tyłu jak oparzona.

Zawstydzona odwróciła głowę, uświadomiwszy sobie, że zachowała się jak rozpustnica wobec mężczyzny, o którym wiedziała, że jest związany z inną kobietą. I zrobiła to w biały dzień, na ulicy!

Gwałtownie wydostała się z objęć Marka. Roztrzęsiona, oddychając szybko, wyrzuciła z siebie:

- Wielkie dzięki, panie Hunter, że dowiódł pan tego, o co i tak pana podejrzewałam.

Mark przyjrzał jej się spod na wpół opuszczonych powiek. Oschły ton i lodowaty wyraz oczu zapowiadały, że nie usłyszy niczego przyjemnego.

- A o cóż to pani mnie podejrzewała, moja droga, jeśli można wiedzieć? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Ledwie zdążył jej posmakować, a wszystko się skończyło. Nagle i stanowczo zbyt szybko. Czuł się oszukany i zawiedziony.

- Podejrzewałam, że będzie pan oczekiwał ode mnie wdzięczności za wszelką pomoc w szukaniu Tarquina.

- Doprawdy? A czego dokładnie miałbym oczekiwać w ramach tej wdzięczności?

Emily oblała się rumieńcem.

- Doskonale pan wie czego. Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły.

Mark odchylił głowę do tyłu i wznosił ręce ku niebu w geście zniechęcenia.

- Dobry Boże! Przecież to był tylko pocałunek... do tego niezbyt udany.

Emily skurczyła się w sobie. Nie dość, że musiała wstydzić się tego, że pozwoliła sobie na chwilę słabości, to jeszcze okazało się, że pocałunek, który dla niej był cudowny, on uznał za mało zadowolający.

Widząc, że sprawił jej przykrość, Mark wyjaśnił pośpiesznie:

- Był miły... i słodki... ale niedokończony. - Emily milczała, starając się uciec wzrokiem, więc dodał: - Nie jest pani jeszcze w pełni kobietą. Zrozumie pani, kiedy nią zostanie...

- Ależ rozumiem doskonale - odezwała się ostrym tonem Emily. Przeszyła go zimnym spojrzeniem. - Mam dwadzieścia cztery lata, więc proszę nie traktować mnie protekcjonalnie.

- Nie traktuję pani protekcjonalnie, tylko doceniam pani niewinność.

- Niech pan przestanie - zirytowała się na dobre. - To naprawdę niestosowne.

Zapadło między nimi milczenie tak głębokie, że można



było odnieść wrażenie, iż odbija się pustym echem o wysokie mury po obu stronach alejki. Emily natychmiast pożałowała, że dała się sprowokować i poruszyła temat, który uważała za bardzo osobisty. Zaciskając dłonie na fałdach spódnicy, ruszyła w stronę niedalekiej ulicy, próbując ominąć Marka.

Nie ustąpił jej z drogi, choć tym razem trzymał ręce wciśnięte głęboko w kieszenie.

- Co jest niestosowne? - zapytał całkiem spokojnie. - Skoro mnie pani oskarża, to należy mi się wyjaśnienie. Co jest niestosownego w tym, że doceniam pani niewinność?

Emily nie miała najmniejszej ochoty powracać do przerwanej rozmowy.

- Niech mi pan pozwoli przejść - poprosiła chłodno. - Wyszłam z domu dawno *temu* i rodzice pewnie się o *mnie* niepokoją.

- Rozumiem ich obawy. W końcu mógł panią zaczepić jakiś łobuz.

- W istocie - odparła Emily z krzywym uśmiechem. - Proszę się nie martwić, nie wspomnę, że pana spotkałam.

Odwzajemnił się podobnym uśmiechem.

- A Riley? O nim pani powie?

Emily spiorunowała go wzrokiem, ale wytrzymał jej spojrzenie bez mrugnienia.

- Nie. A pan im powie?

- Nie, jeśli pani sobie tego nie życzy. - Następnie żartobliwie poważnym tonem dodał: - Przysięgam, że nie zażądaję za tę przysługę niczego poza możliwością odwiedzenia pani do domu.

Po chwili rozterki Emily ustąpiła.

- No dobrze, skorzystam z pańskiej uprzejmości w tym względzie.

Korzystając z pomocy Marka przy wsiadaniu do powozu, pomyślała z niechęcią, że zapewne będzie ją dalej męczył kłopotliwymi pytaniami. Jednak on w ogóle się nie odezwał i całą drogę przebyli w milczeniu.

Już na Callison Crescent, podając jej rękę przy wysiadaniu, oznajmił:

- Zajmę się intensywniej poszukiwaniami pani brata nie tylko z pani powodu, ale i własnego. Mam z nim do omówienia kilka spraw niecierpiących zwłoki. - Zajrzał Emily głęboko w oczy. - Krótko mówiąc, panno Beaumont, wyciągnę go choćby spod ziemi i nie będę niczego żądał za tę przysługę.

Emily zaczęła mamrotać pod nosem słowa podziękowania, lecz nim skończyła, Mark z powrotem wskoczył na kozioł i szybko odjechał.

## Rozdział siódmy

- Powiem panu to, co mówiłam wszystkim innym, sir. Nie widziałam pana Beaumonta już od dłuższego czasu. A gdyby panu przypadkiem się udało dopaść tego łobuza, to może mu pan przekazać ode mnie, że domagam się należnego czynszu. Jeśli go wkrótce nie dostanę, naślę na niego komornika. - Zakończywszy tyradę tą groźbą, pani Dale próbowała zamknąć wicehrabiemu Nicholasowi Devlinowi drzwi przed nosem, ale nie pozwolił jej na to, wsuwając wytwornie obutą stopę za próg.

- Innym? - Nicholas uśmiechnął się szeroko do gospodyni. - Inni także go tu szukali?

Pani Dale uchyliła drzwi nieco szerzej, jednocześnie obrzucając intruza chytrym spojrzeniem. Bez wątplenia miała przed sobą członka londyńskiej elity, chyba więc mogła liczyć na to, że jej zapłaci, gdyby zechciała odpowiedzieć mu na parę pytań. Zapewne był w podobnej sytuacji jak ona: nie wiedział, jak odzyskać gotówkę od tego nicponia Beaumonta.

Z początku sądziła, że pan Beaumont jest solidnym dżentelmenem, jako że nosił się elegancko i używał wyszukanego języka. Bez wahania wynajęła mu mieszkanie.

Dom przy Westbury Avenue był jedną z porządniejszych nieruchomości, znajdujących się w posiadaniu pani Dale, a do tego położony był w ładnej części miasta. Przykre doświadczenie nauczyło ją, że bogacze, zajmujący apartamenty w Chelsea, nie są wcale gorliwsi w płaceniu czynszu niż biedota stłoczona na strychu w Whitechapel.

- Powiedziała pani, że inne osoby szukały pana Beaumonta - przypomniał wicehrabia Devlin, nie kryjąc irytacji przedłużającym się zamyśleniem właścicielki domu.

Kobieta skrzyżowała ramiona na wyschłym biuście, oparła się o framugę i krzywiąc się, wzniosła oczy ku niebu.

- Był tu starszy pan Beaumont. Aha, a wcześniej jakiś typ wyglądający na rzeźmieszka, ze skrzywionym nosem i włosami siwymi jak mgła. Chociaż nie wyglądał wcale staro. A potem był pewien dżentelmen, taki jak pan... w ładnym ubraniu i przystojny. - Pani Dale pokiwała głową. - Tyle że miał ciemne włosy, nie jasne jak pan i mógł być trochę wyższy.

- Dziękuję pani. - Skłoniwszy się zdawkowo, Nicholas zbiegł po schodach do swojego powozu.

Pani Dale, która zajęła już wygodną pozycję do dłuższej pogawędki, sprawiała wrażenie rozczarowanej tym nagłym odejściem. Cmoknęła z niesmakiem i już zamierzała zniknąć w głębi domu, gdy nagle uświadomiła sobie, że nieznajomy nie dał jej nawet pensa za gotowość do współpracy.

- Chytrus! - rzuciła ze złością w stronę ulicy, po czym z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi.

Nicholas, pogwizdując, zajął miejsce w powozie. Użył to, po co przyszedł, a nawet więcej. Pani Dale na tyle dokładnie opisała osobnika ze złamanym nosem, że mógł być pewien, że to Riley odwiedził ją w poszukiwaniu Tarquina. Wicehrabia Devlin podejrzewał, że Mickey Riley może mieć związek ze zniknięciem Tarquina. Drugi z wymienionych przez gospodynię ludzi, ten, którego uznała za dżentelmena, prawdopodobnie był znajomym Tarquina z klubu karcianego, chętnym do odbioru wygranej. Nicholas nie zdziwiło, że starszy pan Beaumont także szukał syna. Rodzina musiała już wiedzieć, że przepadł bez wieści. Zatem Emily również to wiedziała... i pewnie martwiła się, że brat popadł w tarapaty.

Znalazła się na Whiting Street w tym samym czasie, co Mickey Riley. Nicholas odniósł wrażenie, że ich obecność w tym miejscu nie była przypadkowa, choć oboje starali się udawać, że nie dostrzegają się nawzajem. Emily mogła odważyć się na spotkanie się z kimś takim jak Riley tylko z powodu Tarquina. Zapewne Riley wezwał ją, żeby przekazać jakieś wiadomości o bracie. A w zamian, ma się rozumieć, otrzymać pieniądze.

Nicholas z uśmiechem rozparł się na poduszkach siedzenia. Stukaniem w ścianę nakazał woźnicy ruszać. Pewnej nocy, już wkrótce, zamierzał poznać wdzięki tej ślicznej dziewczuszki Mickeya. Jenny, chyba tak miała na imię. Postanowił, że goszcząc u niej, przy okazji porozmawia z Ri-

leyem i wybada, czy istnieje możliwość, by obaj skorzystali na ostatniej wpadce - jaka by ona była - Tarquina Beaumonta...

- Jeśli pani nie ma ochoty tam pójść, to jakoś panią usprawiedliwię.

Do zamyślanej Emily dotarły nie tyle poszczególne słowa, co raczej zbolały ton głosu. Zerknawszy szybko na Stephena, odkryła, że jest purpurowy z zakłopotania. Domyśliła się, że od dłuższego czasu coś do niej mówił, a ona go nie słuchała.

- Bardzo pana przepraszam. O co pan pytał? - Emily umknęła wzrokiem przed karcącym spojrzeniem matki.

Zanim Stephen zdążył cokolwiek odpowiedzieć, do rozmowy włączyła się Penelope.

- Stephen właśnie zapraszał nas na wieczór muzyczny do lady Gerrard. Czyż to nie cudowne? - Znów popatrzyła wymownie na córkę. - Zaproszenie było skierowane do babki Stephena, ale nas także obejmuje. - Po tych słowach gość otrzymał pełen wdzięczności uśmiech.

Emily starała się na poczekaniu wymyślić wiarygodną wymówkę. Musiała przyznać, że ostatnio życie towarzyskie jej nie pociągało. Miała do załatwienia ważną i trudną sprawę, a do tego nieustanna troska o los Tarquina nie najlepiej wpływała na jej nastrój.

Tego ranka otrzymała list od Nicholasa Devlina, w którym rozwodził się nad tym, jak wielką przyjemność sprawiała mu możliwość porozmawiania z nią wreszcie sam na

sam. Na koniec wyraził „wielkie pragnienie”, by taka okazja wkrótce się powtórzyła.

Nadejście listu bardzo zaskoczyło Emily i w pierwszym odruchu miała ochotę wrzucić go w ogień. Kiedyś kochała tego człowieka i była gotowa zostać jego żoną, ale wszystko dawno się rozpadło. Nicholas poślubił inną kobietę, która obecnie spodziewała się dziecka.

List wicehrabiego, podobnie jak jego zachowanie na Whiting Street, były, mówiąc oględnie, co najmniej niestosowne. Emily podejrzewała, że Nicholasowi nie chodziło o zwykłe przyjacielskie stosunki, lecz o bardziej intymną zażyłość. Przecież między nimi wszystko skończone! Jest dojrzalą kobietą, a nie głupiutką dziewczyną, która dopiero co opuściła pensję. Potrafi zapanować nad zmysłami i nie zamierza pozwolić, by żonaty mężczyzna śmiał ją choćby pocałować.

Gdyby po prostu zignorowała list, mógłby zechcieć przysłać następny. Musiała mu dać do zrozumienia, natychmiast i stanowczo, że na próżno zabiega o jej względy, ponieważ już nigdy nie zdoła jej uwieść.

Tuż za tym postanowieniem pojawiła się niepokojąca refleksja: całkiem niedawno inny mężczyzna łatwo rozpałił jej zmysły i doprowadził do chwili zapomnienia. W dodatku nie potrafiła przestać myśleć o tym wydarzeniu.

Wciąż pamiętała, co poczuła, gdy ją pocałował. Zacisnęła gniewnie usta, by pozbyć się powracającego natrętnie wrażenia.

Tarquin... wicehrabia Devlin... Mogła zrozumieć, że ci dwaj zakłócają spokój jej umysłu, ponieważ obaj swym po-

stępowaniem wpłynęli na jej życie. Tymczasem najwięcej rozmyślała o Marku Hunterze i o tym, co między nimi wydarzyło się w tamtej pustej alejce. Bardzo pragnęła uznać ten incydent za nieważny... jakim niewątpliwie był dla Marka.

Uznała, że odzywa się w niej jedynie urażona duma. Żadnej kobiecie by się nie spodobało, gdyby mężczyzna tak lekceważąco wypowiedział się o pocałunku z nią... niezależnie od tego, czy pocałunek był wymuszony, czy nie. Nie mogła też być z siebie zadowolona, bo dała do zrozumienia, że nie jest niewinna. Może Mark już zapomniał, co powiedziała? A może wręcz przeciwnie, zastanawiał się nad tym i uważał ją za kobietę o splamionej reputacji?

Tym razem przeciągłe, syczące westchnienie matki przywołało Emily do rzeczywistości.

- Och... widzę, że jesteś nieobecna duchem. - Penelope parsknęła nienaturalnie piskliwym śmiechem. - Może następna filiżanka herbaty trochę cię otrzeźwi i pomoże ci się skupić.

Emily wymruczała słowa przeprosin. W istocie czuła się winna zaniechania gościa. Stephen był zacnym człowiekiem i nie zasługiwał na to, by go ignorowała, zajęta rozmyślaniami o mężczyznach znacznie mniej wartościowych od niego.

- Musi pani podziękować swojej babce, Stephenie, za to, że o nas pomyślała...

- Cóż, zatem wszystko ustalone - wtrąciła się Penelope Beaumont, zanim Emily zdążyła dokończyć zdanie.

- Zaproszenie obejmuje także pani przyjaciółkę Sarę



Harper. - Nieskrywana radość Stephena z tego, że jednak Emily zgodziła się przyjąć zaproszenie, mówiła sama za siebie. Wiedział przecież, że wcale nie miała ochoty tam pójść.

- Babcia wspomniała Fionie Gerrard, że może pani chcieć zabrać ze sobą drugą młodą damę w pani wieku. Nie znaczy to, że nie będą tam obecne inne młode kobiety, oczywiście. Ale może pani nie znać żadnej z nich na tyle, by wdawać się w pogawędkę - dokończył nieporadnie.

- Skoro pan tam będzie, Stephenie, to będę miała bratnią duszę do rozmowy - zauważyła Emily, uśmiechając się do niego ciepło. Nie mogła wycofać się bez sprawiania mu przykrości, więc z wdziękiem pogodziła się z sytuacją. - Jestem pewna, że Sara chętnie się z nami wybierze. Później do niej wstąpię, żeby się upewnić.

Po wyjściu Stephena Penelope zerwała się na nogi, radośnie klaszcząc w dłonie.

- Pomyśl tylko... wieczorek muzyczny u Fiony Gerrard! Wprawdzie Augusta jest starą zrzędą, ale wygląda na to, że ma wpływowych przyjaciół. Przypuszczam, że załatwiła nam to zaproszenie jako formę przeprosin za nieuprzejme zachowanie podczas tamtej kolacji u nas.

- Być może - odezwała się Emily ze słabym uśmiechem.  
- Nie dalej jak parę dni temu żywiłaś nadzieję, że Augusta jest w drodze powrotnej do Bath.

- Wiem... i przyznaję, przez chwilę miałam też nadzieję, że ta stara jędrza odbędzie tę podróż w karawanie. - Oblicze Penelope przybrało wyraz chytrłości. - A teraz liczę na

to, że droga Augusta zostanie w Londynie na cały sezon. Kto wie, ile razy przyjdzie nam gościć u lady Gerrard? Ten okres może okazać się dla ciebie bardzo szczęśliwy.

Emily rzuciła matce pytające spojrzenie.

- Na czym niby miałyby polegać to szczęście?

- Myślę, że sama dobrze wiesz, moja droga - odparła Penelope, ale chętnie dokładnie wyłuszczyła swój pogląd.

- Powszechnie wiadomo, że u lady Gerrard bywa wielu zamożnych, dobrze urodzonych kawalerów. Musimy się postarać, żebyś wyglądała jak najlepiej, bo możesz wpaść w oko któremuś z nich.

- A co ze Stephenem? - spytała cierpkim tonem Emily.

- Mam go do siebie zniechęcić?

- Broń Boże! Przyda się rezerwowy kandydat. Przed końcem września musi ci się ktoś oświadczyć. Nie możesz zmarnować kolejnego roku. O... twój ojciec wreszcie wrócił do domu. - Penelope wybiegła do holu, by przekazać mężowi radosną wiadomość.

Wysłuchawszy żony cierpliwie, choć bez większego zaangażowania, pan Beaumont dał do zrozumienia, że chce udać się do swojego gabinetu.

Penelope poczuła się urażona brakiem entuzjazmu męża.

- No cóż, uważam, że mógłbyś okazać trochę więcej zainteresowania dla tak obiecującej szansy, jaka otwiera się przed twoją jedyną córką, która, pozwolę sobie dodać, niepokojąco zbliża się do dwudziestych piątych urodzin!

Cecil Beaumont odwrócił się do żony z przepaszającym uśmiechem.

- Wybacz, moja droga, ale ostatnio tak martwię się losem Tarquina, że poza tym niewiele do mnie dociera. Odwiedziłem kilka jego ulubionych miejsc i wszystkie kluby na St. James. Nikt o nim nic nie wie. Upłynęło wiele czasu, odkąd ostatnio nasz pierworodny się do nas odzywał.

Wchodząc za matką do holu, Emily usłyszała, co stropiony ojciec powiedział na temat niepoprawnego, lekkomyślnego Tarquina. Na widok głębokich cieni widocznych na obliczu ojca Emily aż zadrżała ze złości na brata.

Przez moment miała ochotę wyznać ojcu, że wie nieco więcej niż on. Czy jednak było sensowne mówienie mu o tym, że podejrzany typ, który kręci się w pobliżu ich domu, także szuka Tarquina i na dodatek wysuwa groźby pod jego adresem? Rodziców nie ucieszyłaby też wiadomość, że ostatni raz ich najstarszy syn widziany był w towarzystwie prostytutek przy Covent Garden. Emily miała świadomość, że gdyby im to powiedziała, ojciec jeszcze bardziej by się zmartwił, a matka wpadłaby w histerię.

- Wkrótce się odezwie, papo. Wiem, że Mark Hunter również go szuka - rzekła pocieszającym tonem.

- Nasz syn jest wyjątkowo samolubnym niewdzięcznikiem! - wybuchnęła nagle Penelope. - Przez cały czas musimy o nim myśleć... Tylko o nim! Nie pozwolę, by jego wybryki zepsuły nam wieczorek u lady Gerrard. Pójdziemy tam i będziemy dobrze się bawić. - Penelope spojrzała najpierw na męża, potem na córkę. - Do końca tygodnia zabraniam wszelkiego wspomnienia o Tarquinie!

Lśniący lakierem powóz zwolnił, by w końcu się zatrzymać. Po kilkuminutowym rozglądaniu się po okolicy i wyczekiwaniu wicehrabia Devlin dostrzegł wreszcie człowieka, którego miał nadzieję spotkać. Radośnie ożywiony narzucił na ramiona elegancki płaszcz z licznymi pelerynkami. Następnie, wydymając usta w wyrazie niesmaku, ruszył przed siebie, z pomocą laski omijając błoto i śmieci na drodze. Kiedy wszedł w mroczną uliczkę, otoczyły go kobiece postacie; kleiły się do niego, szepcząc sprośne zaczepki. Nie zwracał na nie uwagi; jedną z prostytutek nawet szorstko odepchnął, kiedy nie chciała odzepić się od jego ramienia.

Przeszedł na drugą stronę ulicy do gospody. Umieszczona nad wejściem lampa rzucała krąg światła na oślizły bruk. Gdy podszedł całkiem blisko, dochodzący ze środka zgiełk całkowicie zagłuszył irytujące zagadywania kobiet.

- Riley.

Zagadnięty odwrócił się gwałtownie na dźwięk swego nazwiska i spojrzał na Devlina spode łba.

- Dobry wieczór panu, sir. - Nerwowo zwilżył usta językiem. - Jest pan tu w interesach?

- A po cóż by innego? - zadrwił Nicholas, rozglądając się wymownie po obskurnym otoczeniu.

Mickey skrzywił się, tym samym okazując zrozumienie, ale w jego przymrużonych oczach wciąż czaiła się nieufność. Nie zapomniał, że wicehrabia widział go na Whiting Street w dniu, kiedy miał się tam spotkać z siostrą Beaumonta. To zrodziło w nim podejrzenie, że ten elegancki

mężczyzna zjawił się u niego po to, by zaczerpnąć informacji, a nie przyjemności.

- Mam nową dziewczynę, Lucy, może się panu spodobać. Jest młoda i świeża - powiedział Mickey z nadzieją, że przynęta wybawi go od niewygodnych pytań.

- Wezmę Jenny.

- Jest zajęta... dziś nie może służyć...

- W takim razie może ubijemy inny interes. - Minęli ich dwaj pijani marynarze; szli pod rękę, zanosząc się śmiechem. Nicholas odczekał, aż się oddalą, po czym wycodził przez zęby: - Jest tu jakieś lepsze miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

Mickey zastanowił się, wypychając językiem policzek. Chętnie słuchał o każdej wzmiance o interesach, ale nie ufał wicehrabiemu Devlinowi. Nie ufał mu ani trochę. Prawdę mówiąc, w ogóle nie chciał mieć z nim do czynienia.

Widząc jego wahanie, Nicholas dodał tonem obietnicy:

- Możesz zgarnąć niezłą gotówkę, jeśli sprawy ułożą się po mojej myśli.

To właśnie Mickey chciał usłyszeć. Rzuciwszy pacior-kowatymi oczyma raz w prawo, raz w lewo, kiwnął głową i poprowadził wicehrabiego przez żelazną bramę. Boczna ścieżka wiodła do niewielkich drzwi, które Mickey wskazał Devlinowi, zachęcając go do przestąpienia progu.

W środku słychać było gwar zza ściany, co wskazywało na to, że znajdowali się tuż przy głównej sali gospody. W pomieszczeniu, urządzonym kilkoma zniszczonymi gratami, unosił się nieomylnie rozpoznawalny odór nędzy.

Widząc obrzydzenie malujące się na twarzy wicehrabiego, Mickey rzucił tonem wyjaśnienia:

- Na poczekaniu nie znajdę nic lepszego. Skoro nie zjawił się pan tu dziś, żeby zabawić się z kobietą, to czym mogę panu służyć?

- Możesz mi powiedzieć dlaczego przyszedłeś na Whiting Street, żeby spotkać się z siostrą Beaumonta.

Mickey przejechał językiem po spierzchniętych wargach.

- Z kim? - spytał z udawanym zdziwieniem.

Devlin uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie zgrywaj głupiego i nie próbuj kłamać. Wiem, że byłeś na Whiting Street po to, żeby się z nią spotkać.

- Powiedziała to panu, tak?

Devlin okrzyknął pokój, próbując znaleźć w nim jakieś mniej cuchnące miejsce. W końcu podszedł do Mickeya i spojrzał mu prosto w oczy, jako że byli jednego wzrostu.

- Wiem, że panna Beaumont stara się odnaleźć brata, a ja chciałbym jej w tym pomóc. To by ją zadowoliło. Może w ramach wdzięczności zechciałaby mnie zadowolić.

Mickey odpowiedział chytrym uśmieszkiem.

- Aha... więc chciałby pan zadowolić pannę Beaumont... i zostać przez nią zadowolonym...

- W istocie chciałbym - przyznał Nicholas.

- I sądzi pan, że mogę mu w tym pomóc.

- Owszem.

Mickey zachichotał.

- Dobra myśl, sir. Wręcz doskonała, bo jestem w tym na-

prawdę świetny. Istnieje jednak pewne ryzyko w przypadku damy z klasą, bo trzeba wziąć pod uwagę jej rodzinę.

Wicehrabia Devlin sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął stamtąd jedwabną sakiewkę. Była tak wypchana, że niemal pękała w szwach. Powolnym ruchem rozwiązał tasiemki i wyjął ze środka złotego suwerena. Trzymając w palcach błyszczącą monetę, potrząsnął sakiewką; rozległ się charakterystyczny dźwięk. Oczy Mickeya rozpałała nieskrywana zachłanność.

- Dostaniesz dwa razy tyle, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Mickey przyjrzał się Devlinowi spod opuszczonych powiek.

- Znalazł się pan we właściwym miejscu, sir - rzekł przymilnie. - Jestem pewien, że jeśli panna Beaumont się dowie, że jej brat przebywa w jakimś, powiedzmy... zacisznym i ustronnym miejscu... i miewa się nie najlepiej, to od razu zgodzi się tam pójść, żeby go zobaczyć.

- Ja też tak sądzę - odparł Nicholas Devlin. - Rad jestem, że się rozumiemy.

Mickey pokiwał głową.

- Wyjawiłeś panie Beaumont, gdzie jest jej brat?

Mickey tym razem pokręcił głową, parszkając przy tym urywanym śmiechem.

- Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa, ale ona wie, że siedzę mu na ogonie, bo jej to wprost powiedziałem.

Na pytające spojrzenie wicehrabiego, Mickey szybko wyjaśnił:

- Muszę załatwić pewną sprawę z Beaumontem, ale to nie ma żadnego związku z tym, o czym dopiero co rozmawialiśmy.

- To dobrze - mruknął Nicholas. - Rozumiesz chyba, że w ogóle nie było między nami żadnej rozmowy?

Mickey zarechotał.

- Taki szacowny dżentelmen jak pan rozmawiałby z kimś takim jak ja? Kto by w to uwierzył?

Nicholas odpowiedział powściągliwym skinieniem głowy.

- Zobaczę, co się da zrobić. Jak mam się z panem kontaktować? - przeszedł do rzeczy Mickey.

- Nie możesz się ze mną kontaktować i nawet nie próbuj. Wrócę tu za parę dni. - Devlin skierował się do drzwi, osłaniając nozdrza przed nieznośnym smrodem. - Wypuść mnie z tej nory.

Mickey usłużnie rzucił się do klamki.

- Ta nowa dziewczyna... jest młoda i świeża, powiadasz?

- O, tak. Mam ją przyprowadzić? - Mickey wykonał ruch, jakby z powrotem chciał zamknąć drzwi.

- Nie tutaj, głupcze - warknął wicehrabia z pogardą. - Mój powóz stoi niedaleko przy Houndsditch. Tam ją przyślij.





## Rozdział ósmy

Mark Hunter szybko ukrył się w cieniu, żeby samemu będąc niewidocznym, obserwować odzianego na czarno mężczyznę, który przemierzał zabłocony bruk. Rozpoznał w nim Nicholasa Devlina. Dotarłszy do swojego powozu, wicehrabia wsiadł do środka i zamknął drzwiczki.

To, że Nick Devlin był na tyle niewybredny, by szukać przyjemności w tak obskurnym miejscu, bynajmniej Marka nie zdziwiło. Widywał go nieraz, dogadującego się z prostytutkami w londyńskich zaułkach. Przyszło mu jednak do głowy, że tego wieczoru Devlin mógł się tu pojawić z innych powodów. Czy możliwe, że wicehrabia, porzuciwszy wygody Mayfair, odszukał Rileya, żeby zadać mu parę pytań?

Z tego, co Mark wiedział, Tarquina z Devlinem łączyła jedynie głęboka wzajemna niechęć. Zaśmiał się ironicznie z samego siebie. Stanowczo zbyt dużo sobie wyobrażał. Co wicehrabiego Devlina mogły obchodzić kłopoty młodego Beaumonta? Na zdrowy rozum wydawało się znacznie bar-

dziej prawdopodobne, że to raczej żądza, a nie inne względy, zwabiła Nicholasa w te zakazane rejony miasta.

Mark już miał wyjść z ukrycia, by udać się do baru, gdy nagle jego uszu dobiegł odgłos cichych kroków. Pośpiesznie znów schronił się w cieniu muru. Z mroku wychyłała młoda kobieta i wyraźnie kierowała się w jego stronę. Kiedy go mijala, ich spojrzenia na moment się spotkały, ale nieznajoma nie odezwała się ani słowem. Szybko poszła dalej, zawijając szczerzej szal na jasnych kręconych włosach.

Mark odwrócił się, by odprowadzić ją wzrokiem. Ku jego zaskoczeniu, emanowała wdziękiem i świeżością, a jej oczy nie miały martwego wyrazu, tak typowego dla wielu kobiet lekkiego prowadzenia się. Dziewczyna wyglądała na nie więcej niż piętnaście lat, więc nic dziwnego, że nie straciła jeszcze młodzieńczego optymizmu. Zatrzymała się przy powozie Devlina i zastukała pięścią w drzwi. Zaraz potem bezceremonialnie zadarła spódnicę i zniknęła w środku. Powóz pozostał w miejscu, jednak po chwili zawieszona na nim lampa zaczęła rytmicznie się kołysać.

Mark skrzywił się z niesmakiem, zdając sobie sprawę, że Devlin nie zadał sobie nawet tyle trudu, by zabrać dziewczynę w bardziej ustronne miejsce. Oczywiście nie miał pojęcia, że ktoś ze znajomych był świadkiem jego spotkania z prostytutką na Houndsditch. Kręcący się w pobliżu mieszkańcy tej okolicy mogli znać wicehrabiego z widzenia i wiedzieć, jakich rozrywek szuka, ale to z pewnością nic nie obchodziło Devlina. Co innego, gdyby wiadomość o jego rozpuście przedostała się do salonów socjety.

Mark nie lubił Nicka Devlina. Jeszcze przed tym, nim wicehrabia ożenił się z siostrą jednego ze swych przyjaciół, wyłącznie ze względu na jej majątek. Mark pogardzał tym człowiekiem za jego interesowność.

Słyszał o tym, że Emily przed czterema laty była zaręczona z Devlinem. Wówczas jej nie znał. Wcześniej właściwie nie zastanawiał się, co było powodem zerwania zaręczyn panny Beaumont i wicehrabiego i co wywołało gwałtowną wrogość pomiędzy Tarquinem a Devlinem. Teraz jednak inaczej patrzył na tę sprawę. Ostatnio Emily Beaumont wzbudziła jego ciekawość, a także, nie ma co ukrywać, pożądanie. Chciał wiedzieć więcej o jej życiu, obecnym i przeszłym. Interesowało go także to, dlaczego zgodziła się kiedyś poślubić takiego nieciekawego typu jak Nicholas Devlin.

Mickey Riley zaklął siarczyście pod nosem. Czyżby miał w ogóle nie zaznać spokoju tego wieczoru? Łypnął taksująco na mężczyznę, który ośmielił się zawracać mu głowę. Z pewnością nie był to żaden z jego klientów, ale ostatecznie zawsze musiał być ten pierwszy krok na drodze występku nawet dla elegantów, którzy wyglądali, jakby nigdy nie wyściubili nosa poza Mayfair i stać ich było na wszystko w pierwszym gatunku.

Mickey poczuł się nieswojo, a jego niepokój brał się stąd, że dwukrotnie widział tego mężczyznę rozmawiającego z panną Beaumont i wydało mu się dziwnym zbiegiem okoliczności, że pojawił się on zaraz po odwiedzinach

wicehrabiego, który czynił niedwuznaczne uwagi na temat tej właśnie damy.

Widząc, że nieznajomy się zbliża, Mickey zaklął jeszcze raz, zły na siebie, że w ogóle zadawał się z Tarquinem Beaumontem. Był bliski przyznania racji Jenny: powinni dać sobie z nim spokój i zająć się jakimś innym, bogatszym osobnikiem. Beaumont pochodził wprawdzie z dobrej rodziny i sprawiał wrażenie zamożnego, ale Mickey zaczynał poważnie się obawiać, że ten nicpoń może nie mieć żadnego osobistego majątku.

Wicehrabia należał do znaczenie lepszej kategorii, a dowód tego przyjemnie brzęczał w jedwabnej sakiewce. Łatwo się było dostać do jego pieniędzy starym, sprawdzonym sposobem. Gdyby Tarquin Beaumont okazał się niewypłacalny, Mickey zamierzał dopilnować, by jego siostra wyrównała mu stratę.

Jednak na razie musiał uporać się z nieznajomym dżentelmenem, podejrzenie krążącym wokół gospody. Mickey doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby cichcem wymknąć się, nie ryzykując spotkania. Istniała bowiem możliwość, że ten człowiek odkrył knowania wicehrabiego i przyszedł walczyć o honor damy.

Widząc, jak krzywonosy obwieś chyłkiem zmierza ku bramie, Mark bezwiednie się uśmiechnął. Wyglądało na to, że Riley domyślił się celu jego wizyty i najwyraźniej nie miał ochoty odpowiadać na jakiegokolwiek pytania. Przyspieszając kroku, ruszył za Rileyem w ciemną uliczkę.

- Potrzebujesz nas, Mickey?

Wyrażona chrapliwym głosem propozycja pomocy padła z głębi zaułka, gdzie stało rządkiem kilku młodych mężczyzn; z wojowniczymi minami obserwowali sytuację.

Mickey obejrzał się nerwowo przez ramię. Idący za nim mężczyzna wydawał mu się groźniejszy od wicehrabiego Devlina. Był wyższy i bardziej barczysty, ale też biła od niego siła, biorąca się nie tylko z tężyzny fizycznej.

- Będę ich potrzebował? Czy ma pan po prostu do mnie sprawę, sir? - zwrócił się do nieznanego.

- Chodzi mi o informację. Jestem gotów zapłacić za pański czas. - Mark uśmiechnął się półgębkiem. - Zatem... chyba można powiedzieć, że chodzi o pewną sprawę.

Mickey zmrużył oczy, co miało wyrażać uznanie i podziw. Musiał przyznać, że nieznanemu wykazał się odwagą. Najwyraźniej zupełnie się nie przejął, że wystarczy jedno pstryknięcie palcami, by otoczyła go sfora rzezimieszków, kompanów Mickeya.

- Wystarczy, że krzyknę, a zaraz tu wrócą - uprzedził Mickey, odsyłając kompanów machnięciem ręki.

Nic nie wskazywało na to, by przybysz zamierzał wdać się w bójkę. Otwarcie wyjawiał, co go sprowadziło, a do tego miał na sobie wytworne ubranie, którego z pewnością nie chciał zniszczyć podczas szamotaniny. Poza tym obietnica zapłaty zawsze usposabiała Mickeya przychylniej. Odwrócił się więc i otwierając drzwi, z ironicznie przesadnym ukłonem zaprosił gościa do środka.

Rozejrzawszy się po niechlujnym wnętrzu, oświetlonym pojedynczą lampą naftową, Mark zachował nieporuszony

wyraz twarzy. Jedynie nieznaczne uniesienie brwi zdradzało, że nie podoba mu się to miejsce. Bez zbędnych wstępów przystąpił do rzeczy.

- Powiniennem się przedstawić. Nazywam się Mark Hunter, a Tarquin Beaumont jest moim dobrym znajomym. Dlaczego niepokoi pan siostrę pana Beaumonta, wypytując ją o brata?

Mickey przechylił głowę na bok.

- Wcale jej nie niepokoiłem, tylko próbuję pomóc - oburzył się.

- W jaki sposób?

Mickey obrzucił gościa chytrym spojrzeniem.

- Cóż... to osobista sprawa i do tego poufna... tylko pomiędzy mną a Beaumontami.

Mark sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot.

- Nikt z nich nie chce być niepokojony w tej sprawie. - Pomachał trzymanymi w palcach pieniędzmi. - Powiedziałem, że zapłacę panu za czas i informacje.

Mickey wyciągnął rękę, nie spuszczać oczu z banknotu o wysokim nominale.

Mark powoli zmiął cenny papier w potężnej dłoni.

- Najpierw niech mi pan powie... ale tylko prawdę, bo inaczej nic pan nie dostanie.

- Beaumont zachował się jak głupiec, więc jeśli uda mi się go znaleźć i zmusić, żeby zapłacił tyle, ile się należy, to oszczędzę całej rodzinie pośmiewiska. Tylko dlatego chciałem spotkać się z panną Beaumont. Może ją pan zresztą sam zapytać.

- Nie muszę. Już mi powiedziała, o czym pan z nią rozmawiał. Nie wyjawiał mi pan niczego, czego ja i wszyscy inni byśmy nie wiedzieli o Tarquinie Beaumoncie. Reputacja rodziny wytrzyma kolejną opowieść o tym, jak zgrał się w karty do samej koszuli.

- Nie chodzi o grę w karty. - W głosie Mickeya zabrzmiała nuta urazy.

- Więc o co? - wycedził Mark. - Zadawał się z pańskimi podopiecznymi i nie płacił za ich usługi?

Mickey wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu.

- No cóż, panie Hunter, trochę się pan zbliżył, ale to jeszcze nie to.

- Powiem szczerze: nie mam ochoty bawić się w zagadki.

- Dłoń zaciśnięta na banknocie została niecierpliwym gestem wciśnięta do kieszeni. - Nasłał pan na niego swoich osiłeków i zmusił do ucieczki?

Mickey skrzyżował ramiona na piersi.

- Bynajmniej tego nie zrobiłem - odrzekł wyniośle. - Ale on i tak uciekł, a wszystko z powodu kobiety.

- Niech pan mówi dalej.

- Dopiero jak pan zapłaci, a chcę dwa razy tyle, ile pan pokazał.

Kiwnięciem głowy Mickey wskazał na kieszeń, w której zniknął banknot. Pomyślał z radością, że jednak istnieje sposób, żeby dobrze zarobić na Beaumontach. W istocie mógł w dwójnasób odrobić swoje straty. Devlin zapłaci za igraszki z panną Beaumont, a Hunter wyłoży sporą sumkę za wiadomość o poczynaniach jej brata.

Mark podał Rileyowi gotówkę, jednak miał przy tym taką minę, że natychmiast uzyskał żadaną odpowiedź.

- Ona ma na imię Jenny i od samego początku wpadła mu w oko...

Piętnaście minut później Mark wyszedł z gospody z twarzą równie mroczną i posępną, jak okolica, w której się znajdował. „Tarquin, ty skończony durniu!” tłukło mu się w głowie, kiedy wsiadał do powozu, by kazać zawieźć się do domu.

- Wygląda pani jak anioł.

Emily uśmiechem podziękowała za komplement i od-ruchowo wygładziła palcami jedwabną spódnicę o barwie kości słoniowej. To był pomysł Penelope, by córka włożyła jasną zwiewną suknię. Emily wolałaby błękitny atłas, uważając, że lepiej pasuje do jej włosów i karnacji i że wygląda w nim mniej... dziewiczo. Nie miała jednak ochoty spierać się o nieistotne drobiazgi, podczas gdy znacznie ważniejsze troski zajmowały jej umysł.

W jednym musiała przyznać matce rację: rzadko zapraszano ich pod tak znakomity adres.

Nadal nie było żadnych wiadomości od Tarquina. Tego wieczoru przed opuszczeniem domu Emily skreśliła krótki liścik do Nicholasa i poleciła Millie zanieść go na pocztę. Samo pisanie poszło jej bardzo szybko, z czego była zadowolona, i od razu zrobiło się jej trochę lżej na sercu.

Rozejrzawszy się po olśniewającym otoczeniu, doszła



do wniosku, że zarówno jej, jak i rodzicom potrzebna jest odrobina rozrywki w miłym towarzystwie, by choć na parę godzin zapomnieć o zgryzotach.

Stephen uprzejmie podał jedno ramię Emily, a drugie jej przyjaciółce Sarze.

- Musimy znaleźć miejsca w pokoju muzycznym, zanim zespół zacznie grać. Później z pewnością zrobi się tłok.

Sara, oszołomiona wytwornością wnętrza, nachyliła się do Emily.

- Tak się cieszę, że zabrałaś mnie z sobą - szepnęła. - Jeszcze nigdy nie byłam w tak wspaniałym domu.

Emily wolno pokiwała głową, wodząc oczyma po bogato urządzonej salonie lady Gerrard.

- Rzeczywiście, bardzo tu pięknie.

- Mąż Fiony zmarł pięć lat temu, zostawiając jej ogromną fortunę - włączył się do rozmowy Stephen. - Gromada wpływowych przyjaciół skutecznie pomaga jej znieść ból żałoby. - Skłonił się sir Jasonowi Hunterowi, który akurat wszedł w towarzystwie żony. - Oto właśnie przybył jeden z najznakomitszych.

- O, Helen tu jest - ucieszyła się Emily na widok przyjaciółki. - Podejźmy się przywitać.

Zaraz po tym, jak dołączyli do lorda i lady Hunter, wzrok Emily przyciągnęła inna postać, którą natychmiast rozpoznała. Mark Hunter stał w progu, wysoki, ciemnowłosey, w ciemnoszarym fraku. Nie mogła zaprzeczyć, że wyglądał doprawdy wspaniale. Szybko odwróciła głowę, zaskoczona i zawstydzona nie tyle faktem, że nowo przybyły gość in-

tenywnie się w nią wpatruje, lecz tym, że na jego widok nie wiecie czemu oblała ją fala gorąca.

Helen dostrzegła nagły rumieniec na policzkach przyjaciółki.

- Przyszedł twój brat - zwróciła się obojętnym tonem do męża, jednocześnie posyłając Emily znaczące spojrzenie.

Emily próbowała pokryć nagłe skrepowanie, zachęcając towarzystwo, by przeszli do pokoju muzycznego, gdy Mark zbliżył się do nich swobodnym krokiem.

- Właśnie mieliśmy zająć miejsca, żeby posłuchać koncertu - wyjaśnił bratu Jason, gładząc delikatne palce żony, spoczywające na jego rękawie.

Sara energicznie wzięła Stephena pod łokieć i nie zważając na jego zdziwienie, pociągnęła go za Jasonem i Helen Hunterami.

Kiedy obie pary nieco się oddaliły, Mark spojrzał z góry na czubek rudej głowy Emily.

- Uzyskałem już pani przebaczenie? - spytał.

- Obawiam się, że nie, panie Hunter - odparła sztywno Emily. Wygładzając długą rękawiczkę na smukłym przedramieniu, odwróciła się, by dołączyć do przyjaciół.

- Może kiedy pani powiem, że przyszedłem tu tylko ze względu na panią i mam pewne wiadomości o Tarquinie, potraktuje mnie pani trochę łaskawiej.

Emily natychmiast z powrotem stanęła twarzą do niego. Zadarła dumnie podbródek, jednocześnie splatając dłonie, by ukryć ich drżenie.

- Naprawdę? Czy to tylko pretekst, by zatrzymać mnie dłużej w pańskim towarzystwie?

- Dlaczego boi się pani zostać chwilę w moim towarzystwie? - spytał cicho Mark. - Wyobraża sobie pani, że mógłbym próbować ją pocałować w salonie lady Gerard?

Emily tym razem zarumieniła się aż po cebulki włosów, ale zdołała powiedzieć w miarę swobodnym tonem.

- Bynajmniej. Jestem pewna, że w towarzystwie zachowuje pan nieskazitelne maniery, jak przystało na wzór dżentelmena. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Poza tym, czemu miałby się pan fatygować, skoro czekałoby pana niechybne rozczarowanie?

Mark zaśmiał się cicho, spoglądając ponad jej głową.

- Aha... zatem wciąż czuje się pani urażona - rzekł jakby do siebie. - Wyjaśniłem pani wtedy od razu, dlaczego to powiedziałem, i w dodatku panią skomplementowałem. To mi przypomina, że pani jest mi winna wyjaśnienie, co złego znalazła w moim komplementcie.

Emily poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Wiedziała doskonale, co Mark ma na myśli, i nie zamierzała wracać do tamtej rozmowy. Szybko zmieniła temat.

- Nie miałam pojęcia, że pan tu dziś będzie. - W jej głosie pobrzmiwała nuta przygany.

- Domyślam się, że wolałaby pani, żeby mnie nie było.

- Przecenia pan znaczenie tej sprawy, sir - stwierdziła chłodno. - Może pan zostać lub wyjść, jest mi to najzupełniej obojętne.

Spojrzał jej prosto w oczy; nie wytrzymała i uciekła wzrokiem.

- Czyżby? - rzekł przeciągle. - Cóż, skoro przyszedłem tu tylko dla pani, to chyba wyjdę. - Skinawszy szybko ciemną głową, zaczął się oddalać w stronę drzwi.

Emily z bólem w sercu patrzyła na jego szerokie plecy. Wszystko wskazywało na to, że naprawdę zamierza wyjść, a ona nie zdążyła dowiedzieć się niczego o Tarquinie. Kusiło ją, żeby przywołać go z powrotem, aż musiała przygryźć wargę, by się opanować. Do tego stopnia poddała się dziwnym emocjom, jakie wzbudzała w niej bliska obecność tego mężczyzny, że nawet nie zapytała o brata. Lada moment miała stracić ku temu okazję.

Kątem oka widziała, że coraz więcej osób przemieszcza się w stronę pokoju muzycznego. Do jej uszu docierały tony jakiejś melodii, ale wzrok miała skupiony na atletycznej sylwetce, która zaraz zniknie w progu.

Zaczerpnawszy tchu, zacisnęła usta i pobiegła za nim, lawirując zwinnie w coraz gęstszym tłumie gości, zmierzających w przeciwnym kierunku.

- Panie Hunter! - Była pewna, że słyszał jej wołanie, ale się nie zatrzymał.

Czuąc pod powiekami łzy, drżąc z bezsilnej złości, pociągnęła go za łokieć, potem szybko się cofnęła, kiedy odwrócił się do niej przodem.

- Nie mogę uwierzyć, że chciał pan wyjść, nie mówiąc, co pan odkrył na temat mojego brata - powiedziała. - Zbyt łatwo można urazić pana dumę, sir.

- Czy to przeprosiny?

Mogła się spodziewać, że Mark będzie triumfował, zmuszając ją do tej upokarzającej pogoni, ale w wyrazie jego twarzy dostrzegła jedynie powagę.

- Skoro pan się domaga... to niech będzie. - Emily spojrzała mu w oczy.

Usta Marka wygięły się w nieznacznym uśmiechu; rozejrzał się po prawie opustoszałym salonie.

- Nie domagam się od pani niczego, co byłoby wbrew pani woli.

Emily poczuła, że znowu robi jej się gorąco. Nie mógł przepuścić okazji, by jej nie przypomnieć, że dobrowolnie dała mu się pocałować.

- Wygląda pani na trochę zgrzaną. Może wyprowadzę panią na taras dla zaczerpnięcia świeżego powietrza?  
- Ruchem głowy wskazał na znajdujące się nieopodal przeszklone drzwi.

Emily spojrzała na prawo, a potem na lewo. W salonie poza nimi nie było prawie nikogo.

- Myślę, że tutaj może mi pan powiedzieć, czego zdołał pan dowiedzieć się na temat Tarquina.

- A ja sądzę, że taras będzie ku temu odpowiedniejszym miejscem. Mam pani do przekazania raczej złe wiadomości, a ściany zdumiewająco często miewają uszy. - Jakby na dowód słuszności jego słów, jakaś młoda kobieta wyłoniła się zza marmurowej kolumny, gdzie ukryła się, żeby poprawić wstążkę przy dekolcie. Rzuciwszy im otwarcie zaciekawione spojrzenie, odeszła w stronę, skąd dobiegały dźwięki muzyki.

- Nie musi pani niczego obawiać się z mojej strony. - Głos Marka brzmiał szczerze i rzeczowo, ale w jego oczach na moment zamigotał kpiący błysk. - Nie zrobię niczego, co by się pani nie spodobało.

Emily umknęła wzrokiem. Mark dobrze wiedział, że mogłaby wcale nie bronić się przed kolejnym pocałunkiem. Już prawie udobruchana, kątem oka dostrzegła osobę, której obecność ponownie ją zmroziła.

Kochanka Marka zajmowała miejsce w pokoju muzycznym, tuż przy drzwiach. Wyglądało na to, że Barbara nie zauważyła, że jej partner rozmawia na osobności z inną uczestniczką przyjęcia. A może widziała ich razem, tylko wcale jej to nie obchodziło? Ta dystygowana brunetka bez wątpienia mocno wierzyła w swą szczególną pozycję w życiu partnera i mogła sobie pozwolić na ignorowanie niemądrych kobiet, takich jak Emily, w tajemnicy podziwiających Marka Huntera.

Jeśli Mark spostrzegł kochankę, to nie dał tego po sobie poznać. Bez reszty skupiony na Emily, cierpliwie czekał, by pozwoliła mu się wyprowadzić na taras.

A w niej nagle wezbrała złość. Miał czelność twierdzić, że przyszedł tylko ze względu na nią, podczas gdy był tu z kochanką! Bezcelnie przypominał jej o skradzionym pocałunku. .. żeby z nią flirtować, i do tego chciał ją wywabić w ciemność, chociaż obok znajdowała się kobieta, którą kochał!

Mark wyczuł, że choć jeszcze przed chwilą atmosfera pomiędzy nim a Emily znacznie się ociepliła, teraz znów

powiało chłodem. Rozejrzał się, chcąc sprawdzić, co mogło tak gwałtownie zepsuć Emily humor, i dostrzegł Barbarę, która spoglądała w ich stronę. W tym samym momencie lokaj zamknął drzwi pokoju muzycznego. Markowi nie przyszło do głowy, że jego kochanka zechce wziąć udział w wieczorze muzycznym lady Gerrard, jako że obie panie raczej za sobą nie przepadały. Był przekonany, że uda mu się spędzić ten wieczór bez Barbary. Od kilku miesięcy jej zaborczość i mało subtelne aluzje na temat małżeństwa mocno go irytowały.

- Chyba lepiej, żebyśmy teraz nie rozmawiali - oznajmiła lodowatym tonem Emily. - Mogę zaproponować, żebyśmy spotkali się jutro? Będę nad wodą w Hyde Parku około czwartej po południu. Wtedy może mi pan powiedzieć wszystko, czego się dowiedział. - Nie czekając na odpowiedź, zaczęła się oddalać.

- Jeśli pani się spodziewa, że będę stawiał się na każde jej skinienie, to czeka panią rozczarowanie. Nie przyjdę do Hyde Parku.

Emily odwróciła się gwałtownie.

- W takim razie proszę mi teraz szybko przekazać, co pan wie o moim bracie - wyrzuciła z siebie ze złością.

- Wyjdźmy na taras, to powiem.

Emily stanęła naprzeciw niego z uniesioną głową.

- Myślę, że pan doskonale wie, że nie powinnam tego robić. Dziwi mnie, że proponuje pan coś takiego, kiedy nasi znajomi i rodziny są tuż obok. Może panu nie zależy na reputacji, ale mnie owszem! - Czuła, że policzki zaczynają

ją piec od rumieńca, i wprawiało ją to w tym większą złość. Była pewna, że w tym momencie oboje myśleli o tamtej rozmowie, kiedy zasugerowała, że wcale nie jest niewinna.

- Pani Emerson wkrótce zacznie się zastanawiać, gdzie się pan podziewa - dodała bez zastanowienia.

- Nie wiedziałem, że pani Emerson dziś tu będzie.

Emily wydeła usta w pogardliwym uśmiechu. Starła się zachowywać pozory swobody, ale w środku aż ją skręcało ze wstydu, że pozwoliła sobie na tak naganne zlekceważenie dobrych manier. Młode damy nie powinny dawać do zrozumienia, że wiedzą o męskich romansach, a już na pewno nie przystoi im czynić uwag mężczyźnie na temat jego kochanki.

- Przed chwilą miałem pójść do domu. Może uważa mnie pani za gbura, ale zapewniam, że gdyby pani Emerson przyszła tu ze mną, uznałbym za stosowne powiadomić ją, że wychodzę.

Po tych wypowiedzianych szorstkim tonem słowach kiwnął głową i skierował się do wyjścia. Już przy drzwiach zawahał się i obejrzał przez ramię, by stwierdzić, że Emily stoi nieruchomo tam, gdzie ją zostawił.

Czując się, jakby była w transie, Emily zrobiła krok, potem drugi i kolejny, aż w końcu znalazła się przy szklanych drzwiach wychodzących na taras.



## Rozdział dziewiąty

Kiedy Emily wyszła na granitowe płyty tarasu, w nozdrza uderzył jej zapach wczesnowiosennego kwiecia. Wyteżała wzrok, by rozróżnić w ciemności poszczególne kształty, jako że czarne niebo rozświetlał jedynie skrawek srebrnego księżyca. Dopiero po chwili, gdy jej oczy przywykły do mroku, zobaczyła, że taras jest otoczony kamienną balustradą, a z jednej strony, pod obrośniętym bluszczem trejażem, stoi niewielka ławeczka. Słysząc było niewyraźne ciurkanie wody, lecz Emily nie potrafiła zlokalizować fontanny. Zadarłszy głowę, popatrzyła na nieliczne mrugające gwiazdy.

Otoczenie było niezaprzeczalnie romantyczne i gdyby mogła ufać mężczyźnie, który jej towarzyszył, może pozwoliłaby mu skraść całusa, a nawet dwa...

Zganiła się w myślach za niedorzeczne fantazje i skupiła uwagę na rozmowie.

- Dowiedział się pan, gdzie przebywa Tarquin, panie Hunter? - spytała rzeczowo.

- Odszukanie go nie przedstawia większej trudno-

ści. Mógłbym go znaleźć bardzo szybko, gdybym chciał. - Mark podszedł do kamiennej poręczy i opierając się na niej obiema rękami, w milczeniu patrzył na ogród.

- To czemu, do licha, pan tego nie zrobił? - zdumiała się Emily.

- Nie zrobiłem tego, ponieważ na razie chyba byłoby rozsądniej zostawić go tam, gdzie jest. Po jego powrocie do domu mógłby wybuchnąć skandal.

Emily ogarnął lęk. Surowy ton głosu Marka zapowiadał, że ta najgorsza wiadomość jeszcze nie padła.

- Ma poważne kłopoty, tak? - wykrztusiła Emily przez ściśnięte gardło.

- Myślę, że mogłoby być gorzej. O ile wiem, żyje i nie jest ranny...

Nuta ironii, przebijająca z głosu Marka, jeszcze pogłębiła niepokój Emily i przywiodła jej na myśl różne okropne możliwości.

- Znowu pojedykował się i tym razem zabił przeciwnika? I jego rodzina domaga się krwi Tarquina?

- Nic z tych rzeczy - uspokoił ją Mark. Jego ostre rysy nieco złagodniały. - Pani brat bez wątpienia zachował się głupio, ale nie jest przestępcą.

Emily przytaknęła szybko, dając do zrozumienia, że jest gotowa wysłuchać wszystkiego, niezależnie od tego, co to będzie.

Mark wsunął ręce do kieszeni i stanął naprzeciw niej. Odwrócił wzrok, szukając w głowie najodpowiedniejszych słów, w jakie mógłby ubrać niewesołą opowieść. Wielu

młodych mężczyzn po pijanemu dopuszczano się nagan-nych występków, których przyszło im żałować przez resztę życia. Mark nie był wyjątkiem. Większość jednak starała się w miarę możliwości zachować dyskrecję i chronić rodzinę przed konsekwencjami swoich ekscesów. On sam w każdym razie zadbał o to, by grzeszna przeszłość nie zrujnowała mu życia.

- Mówiłem pani, że Tarquina nie widziano od czasu, kiedy mój brat zauważył go włóczącego się w pobliżu Covent Garden - ostrożnie zaczął wyjaśnienia.

- Tak - szepnęła Emily. - Wiem też, że tamtego wieczoru zadawał się z prostytutkami. - Starła się nie okazywać zażenowania niezręcznością sytuacji. - Rozumiem, czemu pan mi tego nie wyjawiał. Ostatecznie to niezbyt wdzięczny temat do rozmowy dżentelmena z damą. - Odchrząknęła. - Chyba oboje mamy świadomość, że w tym momencie etykieta nie jest najważniejsza.

- Kto pani o tym powiedział? - spytał Mark podejrzliwie.

Przypomniał sobie natychmiast, że ostatnio widział Nicka Devlina w towarzystwie Rileya. Wicehrabia jest człowiekiem o paskudnym charakterze i z pewnością nienawidził Tarquina. Ale chyba nawet on nie byłby aż tak podły, by donosić Emily o tego rodzaju poczynaniach jej brata?

- Helen powiedziała mi, że widziała wtedy Tarquina przy Covent Garden. Jesteśmy bliskimi przyjaciółkami i rozmawiamy o wszystkim... dobrym i złym... - odparła Emily tonem wytłumaczenia.

- Skoro pani wie tyle, to powinna pani też wiedzieć, że Mickey Riley jest stręczycielem. Wyśledziłem Riley'a na Houndsditch i zmusiłem do wyjawienia, dlaczego Tarquin się ukrył.

Mark próbował oderwać uwagę od pięknego widoku, jaki miał przed sobą, i skupić ją na tym, co chciał zakomunikować Emily. Wpatrywała się w niego błyszczącymi srebrzyście oczami, ale chciała od niego jedynie informacji, podczas gdy on... Odruchowo wyciągnął rękę w jej stronę, lecz nim zdołał poczuć pod palcami ciepło miękkiego kobiecego policzka, jego dłoń powróciła na zimny kamienny parapet balustrady.

Czuł, że chęć dotknięcia Emily świadczy o tym, że jest samolubny. Chciał jej dodać otuchy, ale przede wszystkim powodowało nim pożądanie. Odsunął się o parę kroków, żeby łatwiej mu było zwalczyć pokusę.

- Pani bratu spodobała się jedna z podopiecznych Riley'a - zaczął z lekkim wahaniem. - Ma na imię Jenny. Tarquin odwiedzał ją wielokrotnie. Ostatnim razem, kiedy się spotkali, był bardzo pijany i nad wyraz skłonny do cielesnych uciech.

Emily poczuła się skrępowana. Nietrudno było się domyślić, że Markowi niezręcznie jest mówić o szczegółach, bo najwyraźniej musiały być mocno wulgarne. Nagle w jej głowie zrodziło się okropne podejrzenie. Musiała się upewnić.

- Chce mi pan powiedzieć, że mój brat spędził bękarta?

Mark zmarszczył czoło.

- Mickey Riley nie wspomniał o dziecku, ale jeśli pojawi się dziecko, teraz lub w przyszłości, to nie będzie bękartem. Pani brat ożenił się z Jenny.

- Ożenił się? Tarquin ożenił się z prostytutką? - Głos Emily brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu. Zbladła tak, że jej twarz była biała jak ściana. Nieoczekiwanie wybuchnęła urywanym śmiechem. - Ten łobuz kłamie! Riley prawdopodobnie chce wyłudzić od nas pieniądze z pomocą tej nedorzecznej, zmyślonej historii. Tarquin jest wprawdzie niepoprawnym hazardzistą, ale nie kobieciarzem. Jestem pewna, że nigdy nie brał pod uwagę małżeństwa nawet z odpowiednią dla siebie kobietą.

- A ja nie mam wątpliwości, że Jenny dołożyła wyjątkowych starań, żeby go namówić - powiedział Mark ironicznie. - Riley, niestety, nie kłamie. Wyciągnąłem od niego dane pastora, który odprawił ceremonię, i dziś złożyłem wizytę wielbnemu Jeremiahowi Plumbowi. Nie jest to szczególnie kryształowa postać, niemniej jednak rzeczywiście jest duchownym i pamięta tę parę. Wygląda na to, że małżeństwo zostało zawarte zgodnie z prawem.

Emily zamrugała powiekami, chcąc rozgonić mgłę, która nagle zasnuła jej oczy. Przez chwilę nerwowo dreptała to w jedną, to w drugą stronę, aż w końcu stanęła w miejscu zwrócona twarzą w kierunku ciemnego ogrodu. Zaciśnęła dłonie na balustradzie, zwieszając głowę w geście rozpaczki.

Mark stanął tuż za nią, opierając ręce na jej napiętych, drżących ramionach. Ośmielony tym, że nie próbowała mu się od razu wyrwać, zaczął delikatnie, uspokajająco gładzić jej barki.

- Przykro mi, że to ja przyniosłem pani takie złe wieści. Chciała pani wiedzieć...

Emily posepnie pokiwała głową.

- Samolubny... głupi... łobuz! - wycodziła przez zęby. Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na Marka oczyma szklistymi od łez. - Ani przez chwilę nie pomyślał, jak to zrani naszych rodziców. Ani jak może wpłynąć na Roberta. Chłopiec go idealizuje, a on nie daje mu odpowiedniego przykładu, jak przystało na starszego brata. Gdyby Robert zszedł na złą drogę, podobnie jak Tarquin, rodzicom chyba pękłyby serca!

- Jej stłumiony wybuch zakończył się rozpaczliwym łkaniem. Sprawiała wrażenie, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, że znajduje się w objęciach Marka. W głowie miała gonitwę myśli. - Teraz rozumiem, o co chodzi Rileyowi. Pilnie poszukuje Tarquina, żeby go szantażować. Chce pieniędzy za milczenie. Nawet jeśli zapłacimy, ile chce, co to da? Prędzej czy później i tak wszystko wyjdzie na jaw. - Głos jej drżał coraz mocniej, aż wreszcie zamilkła.

Mark wolno przesunął rękę na jej kark i leciutko gładził skórę pod jedwabistymi lokami. Pochylając głowę, muskał wargami pachnące włosy.

- Ciiii... Rileyę można łatwo uciszyć. Można też załatwić rozwód. Jestem pewien, że uda się zachować w tajemnicy najgorsze.

- Naprawdę pan tak uważa? - Emily uczepliła się jego rękawa w nadziei, że usłyszy dalsze słowa pocieszenia.

- Naprawdę tak uważam - zapewnił Mark z powagą, jednocześnie mocniej ją do siebie przyciągając. Lekko dotknął wargami jej ust. Pocałunek był miękki, niemal pozbawiony namiętności.

Niepokój trawiący Emily powoli przechodził w nieskończenie przyjemniejsze odczucie. Po jej ciele stopniowo rozchodziło się miłe ciepło, napięte mięśnie zaczęły się rozluźniać. To, czego się właśnie dowiedziała, wyparło z jej umysłu myśl o kochance Marka. Zapomniała też o tym, że przysięgła sobie nie ulegać jego urokowi. Pragnęła jedynie ulgi od strachu przed nadciągającą katastrofą.

Zamknęła oczy, udzielając mu milczącego przyzwolenia.

Mark skwapliwie z niego skorzystał. Napał na jej usta mocniej, zachęcając ją do rozchylenia warg, by mógł sięgnąć głębiej językiem.

Emily wtuliła się w niego, instynktownie szukając siły, która mogłaby ją chronić. Kiedy zaczął wodzić rękami po jej ciele, przywarła do niego jeszcze mocniej, odpowiadając rozmarzonym westchnieniem na pieszczotę.

Nagły hałas sprawił, że czar prysł.

Mark zauważył, że jedna z niższych gałęzi drzewa ociera się o drzwi tarasu.

- Nikogo tam nie ma, to tylko wiatr - mruknął, nie pozwalając Emily się odsunąć.

Odpnęła się ponownie, korzystając z osłony, jaką dawały jej silne męskie ramiona. W naturalnym odruchu złożyła głowę na jego piersi. Jednak choć pragnęła znów poczuć dotyk jego ust, powróciły natarczywe pytania dotyczące rodzinnego skandalu.

- A jeśli... jeśli pojawi się dziecko? - odezwała się tonem bliskim hysterii. - Co wówczas będzie można zrobić?

Przykładając dłoń do ust, by stłumić okrzyk przestרחu, Barbara Emerson wycofała się spod przeszklonych drzwi, gdzie stała, podsłuchując prowadzoną na tarasie rozmowę. Od chwili, gdy ujrzała Marka w towarzystwie Emily Beaumont w salonie, instynkt ostrzegł ją, że dzieje się coś niedobrego, i nakazał jej być czujną. Od tamtego popołudnia, kiedy spotkali się przypadkowo przed sklepem modniarki, podejrzewała, że Emily podoba się Markowi.

Po śmierci męża Barbara musiała dołożyć wielu starań, żeby przywiązać do siebie Marka. Była pewna, że uda jej się zmienić jego niesłabnące pożądanie w miłość, a potem, po odbyciu stosownego okresu żałoby, zaciągnie go do ołtarza.

Jednak od tamtego czasu minęło kilka lat i choć Barbara była pewna, że jest najważniejszą kobietą w życiu Marka, pogodziła się z myślą, że już nigdy nie będzie tą jedyną. Wiedziała o jego przelotnych romansach to z pięknosciami z towarzystwa, to z jakąś aktoreczką. Parę miesięcy temu zadurzył się we włoskiej sopranistce. Barbara nigdy nie dała po sobie poznać, że przejmuje się tymi krótkimi okresami niewierności, ale odczuła wielką ulgę, kiedy urodziwa śpiewaczka wreszcie odjechała do domu. Cudowna signora Carlotti była doprawdy godną rywalką.

Potem jednostki posledniejszego formatu usiłowały zająć miejsce po artystce o słowicznym głósie. Lady Goodrich wzbudzała zażenowanie, ścigając Marka po Vauxhall, a Verity Marchant przy każdej okazji ocierała się o niego bujnym biustem.



W odwecie Barbara zainteresowała się bliżej paroma przystojnymi bawidamkami, którzy zabiegali o jej względy. Prowadziła te flirty z wielką dyskrecją, ponieważ wiedziała, że Mark nie darowałby jej, gdyby go ośmieszyła. A on, jeśli nawet był zazdrosny o jej młodych adoratorów, starannie to ukrywał.

Tak czy inaczej, Barbara zawsze była przekonana, że ma klucz do serca Marka, pomimo drobnych grzeszków po obu stronach. Mógł sobie szukać wrażeń na boku, ale to ona zajmowała stałą pozycję w jego życiu i wierzyła, że w końcu zostanie jego żoną. Teraz jednak nabrała obaw, że mężczyzna, którego zamierzała poślubić, wymyka jej się z rąk.

Oparła się plecami o ścianę, wstrząśnięta do głębi i wściekła. Nie była świadkiem wszystkiego, co zaszło pomiędzy Markiem a Emily Beaumont na tarasie, ale zobaczyła i usłyszała wystarczająco dużo, by zrozumieć, że go traci. Widziała na własne oczy ich pocałunki i czułość, jaką jej kochanek okazywał innej kobiecie. A potem ta mała flądra wspomniała o dziecku! Emily Beaumont musiała widocznie sądzić, że spodziewa się Markowego bękarta! A sądząc po tym, jak Mark traktował tę podstępna ladacznicę, Barbara mogła się domyślić, że jej kochanek może poprosić pannę Beaumont o rękę!

Barbarę ogarnęła bezsilna złość. Miała nadzieję, że to ona zajdzie w ciążę. Znała Marka dostatecznie dobrze, by oczekiwać, że będzie kochał i chronił swoje dziecko i jego matkę. Jednak on zawsze dbał o to, by jego nasienie wpływało na jej

brzuch lub na prześcieradło, odmawiając jej tym samym praw do nazwiska i założenia wspólnej rodziny.

A teraz tamta sprytna lisica zajmie jej miejsce u jego boku jako żona. Barbara wyprostowała się, szybkim ruchem ocierając spływające po policzkach łzy. Nie zamierzała zmarnować lat poświęconych Markowi Hunterowi. Należał do niej i była gotowa zatrzymać go przy sobie za wszelką cenę.

Rozejrzawszy się po opustoszałym salonie, dostrzegła młodego człowieka, który krążył w pobliżu, jakby kogoś szukał. Wydawało jej się, że go rozpoznaje; kiedy odwrócił się w jej stronę twarzą, uśmiechnęła się pod nosem złośliwie. Tak, to był oddany wielbiciel panny Beaumont. Przyprowadził ją do lady Gerrard i raz po raz popatrywał na nią z zachwytem. Bez wątplenia zależało mu na niej tak samo, jak Barbarze na Marku. Wyteżywszy umysł, przypomniała sobie, że ów młodzieniec nazywa się Stephen Bond, a jego babka Augusta jest przyjaciółką gospodyni wieczoru.

Barbara podeszła do Stephena z promiennym uśmiechem, energicznie poruszając wachlarzem dla ochłodzenia zaróżowionych gniewem policzków.

- Okropnie tu gorąco, prawda? Przypuszczam, że wymknął się pan z koncertu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, podobnie jak ja.

W odpowiedzi uśmiechnął się nieznacznie i uprzejmie przytaknął skinieniem głowy, po czym zamierzał oddalić się w poszukiwaniu Emily.

- Mogę pana prosić, by wyszedł pan ze mną na taras,

panie Bond? - Nie czekając, jak zareaguje na propozycję, wzięła go pod rękę. - Chyba obojgu dobrze nam zrobi odrobina wieczornego chłodu.

Stephen skrzywił się, z trudem skrywając irytację; już po raz drugi tego wieczoru był zmuszany towarzyszyć kobiecie wbrew swojej woli. Jednakże dobre wychowanie nie pozwoliło mu odmówić. Zgodził się więc i posłusznie pozwolił, by Barbara poprowadziła go w stronę wyjścia na taras. Już przy drzwiach nabrał złych przeczuc, kiedy Barbara bez żadnego widocznego powodu nagle wybuchnęła piskliwym śmiechem.

Nie mógł wiedzieć, że miała powody, by zachowywać się hałaśliwie. Specjalnie chciała zaniepokoić niewiernego kochanka swoją obecnością. Nie życzyła sobie, by ktokolwiek był świadkiem, jak Mark okazuje względy innej kobiecie. A już na pewno nie Stephen Bond. Gdyby Stephen był zazdrosny i miał gwałtowne usposobienie - Barbara aż się uśmiechnęła, tak dalece wydało jej się to nieprawdopodobne - mogłoby dojść do awantury, a wówczas wszyscy by się dowiedzieli o jej upokorzeniu.

Głośny chichot spowodował pożądany skutek. Mark, wyraźnie zirytowany, delikatnie odsunął od siebie Emily, podał jej ramię i wspólnie podeszli w stronę drzwi do salonu. Znajdowali się parę kroków od kręgu światła, kiedy Stephen z Barbarą wyszli na taras.

- Emily! Wreszcie panią znalazłem. Źle się pani czuje? - spytał z troską Stephen, natychmiast odsuwając się od Barbary.

- Było mi... po prostu trochę gorąco - wyjaśniła Emily z nieco wymuszonym uśmiechem - ale już czuję się lepiej.

- To dobrze - zaszczębiotała Barbara. - Mogę pani pożyczyć moje sole trzeźwiące, jeśli pani potrzebuje.

Emily podziękowała, odmawiając ruchem głowy.

- Jeśli ma pani gorączkę, powinna pani szybko wrócić do środka, panno Beaumont, żeby się nie przeziębic - poradziła Barbara. - Poza tym wydaje mi się, że pani matka zaczęła się o panią niepokoić. Pewnie wyobrażała sobie nie stworzone rzeczy w związku z pani nieobecnością.

Unikając wzroku Marka, Emily dołączyła do Stephena. Zgodziła się wyjść z Markiem na taras, obiecując sobie solennie, że nigdy więcej nie ulegnie jego podstępным zalotom. Tymczasem bardzo łatwo udało mu się sprawić, że zapomniała o przyrzeczeniach i mógł bez przeszkód ją uwodzić.

Zaledwie chwilę wcześniej krytykowała Tarquina za narażanie reputacji rodziny. Czyż sama nie postępowała podobnie, tak samo lekceważąc zasady przyzwoitości? Dobrze wiedziała, że Mark jest związany z inną kobietą. Co więcej, miała świadomość, że jego kochanka znajduje się w pobliżu, a mimo to pozwoliła mu całować się i pieścić.

A był związany zaiste mocno! Emily kątem oka widziała, jak Barbara przykleja się do boku Marka i zaborczo zaciska białe palce na jego ramieniu.

- Dziękuję, panie Hunter, że zechciał mi pan towarzyszyć - odezwała się Emily sztywno, pełna wstydu i poczucia winy.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Beaumont  
- odparł swobodnie Mark.

Popatrzył uważnie na Stephena, który pod jego wzrokiem niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

Kiedy Emily lekko pociągnęła Stephena za ramię, dając mu znak, że pora wejść do środka, jego ulga była tak oczywista, że Mark z trudem opanował rozbawienie.

- Gdzie się pani ukrywała, panno Beaumont? - Augusta Bond uniosła lorgnon i wbiła w Emily przenikliwe spojrzenie. - Przegapiła pani całkiem niezły występ.

- Emily zażywała świeżego powietrza na tarasie w towarzystwie pana Huntera, babciu - wyjaśnił Stephen, jako że Emily sprawiała wrażenie tak zamyślanej, że na jej czole pomiędzy ładnie zarysowanymi brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

- Aha... - mruknęła Augusta, kiwając przy tym znacząco głową.

Następnie skierowała lorgnon w stronę osób wchodzących w tym momencie do pokoju. Barbara Emerson ze słodkim uśmiechem, jakby przyklejonym do twarzy, wpatrywała się w swego kochanka. Augusta nie dała się oszukać. Nie chodziło tylko o to, że jej towarzysz wydawał się obojętny na jej umizgi i patrzył na Emily. Augusta potrafiła rozpoznać niepokój kobiety, która obawia się porzucenia. Sama bywała porzucana przez różnych mężczyzn, zanim pan Bond zaprowadził ją do ołtarza.

- Przepraszam, pani Bond... wspomniała pani, że kon-

cert był udany? - odezwała się Emily z nienaturalnymżywieniem, skrępowana obecnością Marka i jego uporczywym spojrzeniem.

- Owszem. Powiem też, że stać panią na kogoś lepszego niż Nicholas Devlin - dodała ściszym głosem. Uśmiechnęła się do Emily. - Mam ochotę na kieliszek szampana i sądzę, że pani też się przyda. - Odwróciła się do wnuka. - Idziemy z panną Beaumont pogawędzić z Fiona, zanim muzycy znowu zaczną grać. Fiona zna wszystkie najświeższe plotki, a przecież muszę mieć co opowiadać po powrocie do Bath.

- Wraca pani wkrótce do domu? - zagadnęła Emily, rozpaczliwie próbując skupić się na czymkolwiek, byle nie myśleć o tym, co wydarzyło się na tarasie.

- Nie jestem pewna, kiedy powinnam wyjechać - odparła Augusta - a to dlatego, że przed wyjazdem chciałabym zobaczyć, iż Stephen jest szczęśliwy.

- Tak, oczywiście. - Emily zmarszczyła czoło, zerkając ukradkiem na profil starszej pani. - Uważa pani, że jest nieszczęśliwy?

- W istocie tak sądzę. I zawsze taki będzie, jeśli się od pani nie odczepi - oznajmiła Augusta z zapierającą dech szczerością. - Jest pani miłą dziewczyną, panno Beaumont, ale nieodpowiednią dla mojego wnuka.

- To był doprawdy cudowny wieczór. Nawet obecność Violet Pearson z jak zwykle kwaśną miną nie była w stanie zepsuć mi przyjemności. - Zrzuciwszy z ramion szal, Pe-

nelope zawirowwała na środku dywanu. - Gospodyni rozmawiała z nami znacznie dłużej niż z Pearsonami. - Przebiegły uśmiech ożywił jej rysy. - Musimy podziękować Auguście za to, że tak nas doceniono i za to, że Violet dostała nauczkę i była wściekła.

Emily skwitowała uwagę matki pobłażliwym uśmiechem. Niedawno wróciły do domu i pragnęła tylko jednego: położyć się spać. Głowa jej pękała od zmagania się z najróżniejszymi, w większości niewesołymi myślami. Nie potrafiła ich ani uporządkować, ani od siebie odsunąć. Była zmęczona i piekły ją oczy. Jednak matka chciała rozmawiać, ponieważ świetnie bawiła się u lady Gerrard i liczyła na miłą pogawędkę o strojach, nowych plotkach i gościach. Emily nie miała sumienia odmawiać jej tej drobnej radości.

- Cóż, chyba mogłabyś okazać trochę więcej entuzjazmu. - Penelope domyśliła się, że córka najchętniej udałaby się na spoczynek. - Odniosłam wrażenie, że bardzo przypadłaś do gustu lady Gerrard. Podobnie jak jej siostrzeńcowi. Widziałam, z jaką miną Stephen na niego spojrział, kiedy po raz drugi poprosił cię do tańca. - Penelope zachichotała. - Niech Stephen wie, że ma rywala. To nie zaszkodzi. Choć nie jestem pewna, czy Brettlesowie są aż tak zamożni, jak można by się spodziewać po ludziach spokrewnionych z klanem Gerrardów.

- Było rzeczywiście bardzo miło - powiedziała Emily ze słabym uśmiechem. - Jestem dość zmęczona, mam. Chyba pójdę na górę, bo ledwie patrzę na oczy.

Penelope wzruszyła ramionami, wydymając usta w wyrazie rozczarowania.

- Och, a tak nawiasem mówiąc, gdzie podziewałaś się w czasie koncertu?

- Byłam na tarasie... odetchnąć świeżym powietrzem... już ci mówiłam - odpowiedziała cicho Emily.

- Ach tak, rzeczywiście. Byłaś tam z przyjacielem Tarquina, panem Hunterem. - Penelope westchnęła ciężko. - Pewnie próbowałaś dowiedzieć się, czy odkrył coś na temat twojego brata. Masz mi coś do przekazania? - spytała tonem męczennicy. - O ile mi wiadomo, twój ojciec nadal nie zdobył żadnych wieści na temat Tarquina.

Emily zrobiło się ciężko na sercu. Miała nadzieję, że uda się w ogóle nie wspominać o Tarquinie, ponieważ nie chciała kłamać. Uporczywie próbowała się łudzić, że zaszła pomyłka. Może sytuacja nie przedstawiała się aż tak dramatycznie, jak mogło się wydawać, a za nic w świecie nie chciała niepokoić rodziców z powodu fałszywego alarmu.

- Pan Hunter nie zakończył jeszcze swojego śledztwa, mamó. Z pewnością wkrótce dowiemy się czegoś więcej.

Po wygłoszeniu tego zapewnienia, życząc matce dobrej nocy, Emily szybko wymknęła się z pokoju.



## Rozdział dziesiąty

- Myślę, że należą mi się z twojej strony gorące podziękowania, ale zadowolę się szczegółową relacją z przebiegu wydarzeń.

Sara wypowiedziała te słowa zaczepnym tonem, gdy tylko Penelope Beaumont zamknęła za sobą drzwi salonu. Chwilę wcześniej wszystkie trzy przy herbacie i placku imbirowym żywo omawiały niemal każdy moment z przebiegu wspólnego przyjęcia u lady Gerrard. Potem Penelope zostawiła dziewczęta same, żeby mogły swobodnie porozmawiać.

Emily zganiła przyjaciółkę surowym spojrzeniem i odłożyła na bok serwetkę.

Niezrażona tym Sara nadal uśmiechała się szelmowsko, zbierając z talerzyka okruchy ciasta.

- Nie mogę już wytrzymać... pocałował cię? - Wetknęła lepki palec do ust.

Emily nie potrafiła powstrzymać rumieńca, ale udało jej się beztrząsco zachichotać.

- Rozumiem, że masz na myśli moje wyjście na taras z panem Hunterem?

- Oczywiście! Dobrze, że odciągnęłam Stephena, prawda? - Sara porozumiewawczo uniosła brwi. - Wyglądało na to, że nie przeszkadza ci pozostanie sam na sam z Markiem. Nie sądzę, żebyś naprawdę aż tak go nie lubiła, jak próbujesz mi wmówić - dodała domyślnie.

Emily miała w tej kwestii sprzeczne odczucia. Rzeczywiście, winna była Sarze podziękowania za to, że zajęła się Stephenem. Natychmiast jednak zaświtała jej w głowie inna myśl: że jest tchórzem. Prawda bowiem wyglądała tak, że wolałaby nie wiedzieć o katastrofalnym w skutkach mezaliansie popełnionym przez brata, a także o własnej słabości.

- Co się stało? - naciskała Sara. - Już po raz drugi zauważyłam, że Mark Hunter okazuje ci nadzwyczajne zainteresowanie. Patrzy na ciebie jak na bóstwo. Chciałabym, żeby jakiś bogaty, przystojny kawaler tak się we mnie wpatrywał.

- Nie chciałabyś, gdybyś znała powody, które nim kierują - odparła z zadumą Emily i natychmiast pożałowała, że tym wyznaniem jeszcze bardziej podsyciła ciekawość przyjaciółki.

- Czyżby dopuścił się wobec ciebie zuchwałych gestów? Słyszałam, że niezłe z niego ziółko. - Usadowiona wygodnie na sofie Sara wpatrywała się w Emily oczyma wielkimi jak spodki. Rozmasowała gęsią skórkę, która pojawiła się na jej ramionach z nadmiaru emocji. - No, mów... co zro-

bił? - nie ustępowała Sara. - Jak myślisz, będzie się o ciebie starał?

- Nie bądź niemądra! Dobrze wiesz, że pan Hunter jest zajęty - ofuknęła ją Emily. - Spędził więcej czasu u boku kochanki niż ze mną.

- Może tak, ale prawie cały czas patrzył na ciebie. Jestem pewna, że ona to dostrzegła - powiedziała Sara ze złośliwym chichotem. - Wątpię, żebyś dostała zaproszenie na przyjęcie u pani Emerson.

- Co za ulga! - Emily westchnęła ostentacyjnie. Na myśl o wizycie w salonie kochanki Marka zrobiło jej się niedobrze.

- Jesteśmy przyjaciółkami. Musisz zdradzić mi coś na prawdę ciekawego.

- Jeśli już, to na temat Tarquina. - Emily spojrzała na Sarę ze smutkiem. - Jedynym powodem, dla którego pan Hunter i ja rozmawiamy na osobności, są kłopoty mojego niepoprawnego brata. Są przyjaciółmi i Mark zgodził się dowiedzieć, w jakie nowe tarapaty popadł ten nicpoń.

Sara sprawiała wrażenie szczerze rozczarowanej wyjaśnieniami przyjaciółki.

- Nie sądzisz, że może być bardziej zainteresowany tobą niż twoim bratem?

Emily machnęła ręką, co miało oznaczać, że uważa taką możliwość za całkowicie nieprawdopodobną. Odwróciła jednak przy tym głowę, żeby ukryć wyraz twarzy. Choć Mark zapewniał, że nie oczekuje od niej niczego w zamian za detektywistyczne usługi, tak się dziwnie składało, że za-

wsze spotykała go zmysłowa nagroda, o którą nawet nie musiał specjalnie zabiegać...

Sara wcisnęła się głębiej w oparcie sofy; spoglądając na splecione dłonie, nagle posmutniała.

Emily wykorzystała okazję, by skierować rozmowę na inne tory.

- Dziękuję ci, że dotrzymałaś wczoraj towarzystwa Stephenowi.

- Och, nie miałam nic przeciwko temu. - Sara uniosła wzrok. - Prawdę mówiąc... - Marszcząc nos, wzruszyła ramionami.

- No powiedz.... - zachęciła łagodnie Emily.

Wcześniej nigdy nie przyszło jej na myśl, że Sara może podkochać się w Stephenie.

- Nieważne - mruknęła Sara.

- Według mnie ważne - upierała się Emily.

- Po prostu uważam, że Stephen jest bardzo miły - wyjawiała ostrożnie Sara, nakręcając na palec kosmyk kasztanowych włosów. - Gdybym wiedziała, że przestaniesz na próżno do mnie wdychać... Zdaję sobie sprawę, że ty go nigdy nie zechcesz. Mogłabym mu to powiedzieć i zobaczyć, co będzie. - Pokiwała głową. - Ależ jestem żałosna! Ty jesteś złocistorudą pięknoscią, a ja mam ciemne włosy i jestem nijaka.

- Co ty opowiadasz! Dobrze wiesz, że jesteś śliczna -zapewniła Emily. - Jesteś ode mnie młodsza o trzy lata i masz piękną cerę. Nie rumienisz się tak okropnie jak ja. Poza tym w tym sezonie brunetki są modne - dodała z przekonaniem.

Sara wydawała się głucha na komplementy przyjaciółki.

- Poza tym, jeśli Stephen zbyt łatwo zrezygnuje ze starań o ciebie, podczas gdy najwyraźniej jest w tobie zakochany, to wcale nie okaże się taki miły, prawda? - podsunęła.

- Ależ tak! - Emily rozpaczliwie starała się przekonać przyjaciółkę.

- To będzie znaczyło, że ma chwiejny charakter i nie można mu ufać.

- Nie sądzę, by Stephen mnie kochał. To tylko zauroczenie. A do tego wszyscy mamy prawo, przynajmniej raz. - Emily mrugnęła porozumiewawczo do Sary.

- Sugerujesz, że jestem zauroczona Stephenem? - obruszyła się Sara.

- Nie! Chciałam tylko powiedzieć, że rozumiem, jak łatwo można pomylić te dwa uczucia, ponieważ to mi się przydarzyło. Przez długi czas sądziłam, że kocham wicehrabiego Devlina. A teraz nie jestem pewna, czy to była miłość, czy tylko zauroczenie. Uświadomiłam sobie, że podobała mi się sama myśl o byciu zakochaną, może za bardzo...

- Nie wiesz, jak to jest być zakochaną?

Emily już miała odpowiedzieć przecząco, lecz w ostatniej chwili się zawahała, przypomniawszy sobie, jak się czuła wtulona w opiekuńcze ramiona Marka. Po tym wspomnieniu natychmiast przyszło następne: dotyku jego ciepłych warg i pieczyoty zręcznych palców gładzących jej ciało.

- Nie jestem pewna - wydukała, oblewając się rumieńcem.

Czyż nie było absurdem, że natychmiast skojarzyła z mi-

łością mężczyzną, którego nawet dobrze nie znała i do tego nie bardzo lubiła? Wewnętrzny głos podpowiedział jej, że zaczynała poznawać Marka i dlatego nie żywiła już do niego niechęci, tak jak kiedyś. Musiała przyznać, że do-  
tąd bardzo jej pomagał w rozwiązywaniu zagadki nagłego zniknięcia Tarquina. Byłoby niewdzięcznością wyrażać się z dezaprobatą o człowieku, który zadał sobie tyle trudu dla jej rodziny.

- W takim razie może Stephen jednak nie marnuje czasu, czekając na ciebie - rzuciła sztywno Sara. Nie mogła się zorientować, kogo przyjaciółka właściwie ma na myśli. - Proszę, zapomnij o tym, co ci wyznałam. Rzeczywiście go lubię, ale nie w taki sposób. Nie chcę, byś pomyślała, że masz we mnie rywalkę albo że jestem zbyt pewna siebie.

- Nie chodziło mi o Stephena. To nie on... to znaczy... Och! Nie bądź taka, Saro - poprosiła Emily, widząc, że przyjaciółka nagle zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Muszę iść - oznajmiła Sara sztywno. - Powiedziałam mamie, że pójdę z nią do Baldwina, by pomóc jej wybrać odpowiedni aksamit. - Nie wdając się w dalsze tłumaczenia, pośpiesznie opuściła salon.

Ogarnięta nagłą melancholią, Emily odprowadziła przyjaciółkę do holu. Między nią a Sarą zapanowało nieprzyjemne napięcie, choć przecież o nic się nie pokłóciły, jedynie rozmawiały o mężczyznach. Patrząc, jak Sara schodzi ze schodów, a potem kieruje się w stronę domu, nie obejrawszy się za siebie ani razu, Emily westchnęła. Zaczęła

się zastanawiać, czy znajdowanie sobie męża jest naprawdę takie korzystne, jak wmawiały im matki.

Sara Harper nie była jedyną młodą kobietą, którą tego ranka przygnębiała świadomość, że wybrany mężczyzna nie odwzajemnia jej uczuć.

Pokojówka właśnie przekazała Barbarze Emerson, że przybył pan Hunter i czeka na dole. Mark nigdy dotąd tak się nie zachował. Odwiedzał ją w tym domu od wielu lat, o dowolnych godzinach, i zawsze czuł się na tyle swobodnie, że zmierzał od razu do jej buduaru. Niezależnie od tego, czy przychodził porozmawiać, czy się kochać, nigdy wcześniej nie dbał o konwenanse. Nagle to się zmieniło i Barbara obawiała się, że zna przyczynę.

Już od jakiegoś czasu miała świadomość, że zapal Marka stygnie. Poprzedniego wieczoru odwiózł ją do domu i choć bardzo starała się zwabić go do środka, odjechał, nawet jej porządnie nie całując.

Nim Claudine odwróciła wzrok, Barbara dostrzegła w jej oczach litość i zażenowanie. Nawet jej francuska pokojówka wiedziała, że Barbara wkrótce straci swą pozycję u boku Marka Huntera. Wierzyła w lojalność i dyskrecję Claudine, ale to nie zmieniało faktu, że w krótkim czasie rozniesie się po mieście, że nie jest już kochanką Marka ani jego przyszłą żoną. Po tym nieuchronnie wszyscy zaczną spekulować, komu musiała ustąpić miejsca. Nie domyśla się. Tylko ona wiedziała, kim jest przebiegła dziwka, która ukradła jej ukochanego.

Barbara przechadzała się tam i z powrotem po pokoju; koronkowy peniuar opływał jej bujne kształty przy każdym ruchu. Mogła się wymówić od spotkania niedyspozycją. Oczywiście Mark nie uwierzy, bo jeszcze nigdy go nie odprawiła. Albo odejdzie, albo przyjdzie na górę. Wówczas mogłaby wykorzystać sprawdzone sposoby, żeby go powstrzymać przed wypowiedzeniem tych tak bardzo niepożądanych słów.

- Madame jest niedysponowana, sir - oznajmiła drobna pokojówka i na widok jego surowej miny wbiła wzrok w podłogę.

- W takim razie przekaż madame ode mnie wyrazy współczucia - odrzekł spokojnie Mark. - Powiedz jej, że wrócę jutro.

Jeśli nawet Mark wiedział, że jest obserwowany zza firanki w oknie na piętrze, nie dał niczego po sobie poznać. Wskoczył do powozu i od razu ruszył, zmuszając konie do kłusa. Podły nastrój, w jaki popadł, był spowodowany jednak nie przez kobietę, która - czego mógł się spodziewać - nie przyjmie zbyt dobrze faktu, że on już jej nie chce, lecz przez przyjaciela, który nierozumnym postępowaniem zatruwał życie wielu ludziom.

Z trudem zaniechał myślenia o Tarquinie i jego cudownej, pociągającej siostrze i skupił się na tym, jak uczynić zerwanie z Barbarą możliwie najmniej bolesnym. Jeśli nadal będzie opóźniała to, co nieuniknione, odmawiając mu spotkania, wyśle jej wiadomość pocztą. Takie rozwiązanie



nosiło jednak znamiona tchórzostwa, wolał więc załatwić sprawę honorowo. Nie chciał jej ranić, ale też nie mógł dłużej godzić się na to, by snuła plany o czekającej ich wspólnej przyszłości.

Po śmierci męża Barbary, kiedy podjęli romans, powiedział jej otwarcie, że nie może znów liczyć na jego wierność i miłość. Istniała między nimi niepisana umowa, że Mark zachowa wolność i od czasu do czasu będzie zadawał się z innymi kobietami. Doceniał to, że Barbara była zbyt dumna, by ganić go za te związki. Sam natomiast nigdy nie wypowiadał się na temat młodych mężczyzn, którzy odwozili ją do domu i wymykali się dyskretnie po paru godzinach.

Mimo przelotnych zdrad po obu stronach było im razem dobrze, Mark więc początkowo nie zamierzał kończyć tego, co obojgu odpowiadało. Ostatnio jednak aluzje Barbary do małżeństwa stawały coraz mniej subtelne i zaczynały działać mu na nerwy. Ponadto robiła się nieznośnie zaborcza i nie spuszczała z niego oka, kiedy znajdowali się poza domem. Wiedział, że nieprzypadkowo weszła na taras podczas przyjęcia u lady Gerrard. Prawdopodobnie śledziła go przez jakiś czas, zanim się pokazała. Cierpliwość Marka w końcu się wyczerpała; uświadomił sobie, że namiętność, która łączyła go z Barbarą także.

Chcąc zachować miłe wspomnienia, nie naruszając przy tym poczucia godności Barbary, miał nadzieję, że uda się zakończyć ich związek spokojnie, bez wzajemnych oskarżeń i pretensji. Mark spojrzył ze smutkiem na niebo.

Chwalebna wrażliwość, pomyślał z ironią skierowaną pod własnym adresem. Czy byłby równie stanowczy i nieprzejednany, gdyby w jego życiu nie pojawiła się panna Emily Beaumont?

Emily wiedziała o jego długotrwałym związku z Barbarą. Musiała uważać go za niewiernego łajdaka. Mimo to przyjmowała jego czułości z rozbijającą słodyczą, co pozwalało mu wierzyć, że istnieje szansa, by kiedyś szczerze go polubiła.

Skradzione pocałunki to jedno, a znajomość na poważnie - drugie. Mark nie mógł liczyć na to, że Emily przyjmie jego oficjalne zaloty, dopóki definitywnie nie rozstanie się z Barbarą. Emily, nie do końca świadomie, dała mu do zrozumienia, że uważa Barbarę za rywalkę. Uśmiechnął się pod nosem na tę myśl. Wyraźnie dostrzegł wrogi błysk w jej srebrzystych oczach, kiedy Barbara pojawiła się na tarasie ze Stephenem Bondem. No tak... ale istniała też możliwość, że zdenerwował ją widok własnego adoratora, eskortującego inną kobietę.

Rozmyślając ponuro o tym młodym człowieku, który ostatecznie w żaden sposób mu się nie naraził, Mark zdał sobie sprawę z tego, że jest zazdrosny. Stephen Bond kochał się w Emily. Tarquin powiedział mu o tym przed kilkoma miesiącami. Przyjaciel zdradził mu także w zaufaniu, że Emily lubi Stephena, ale raczej nie przyjmie jego oświadczyn, gdyby w końcu pan Bond zebrał się na odwagę i z nimi wystąpił. Stephen był pod pantoflem swojej babki, która mocno dzierżyła sznurki od sakiewki; całe dziedzictwo wnuka spoczywało w jej rękach.

Pokrzepiony tą myślą Mark smagnał lejcami grzbiety siwków, zmuszając je do przyspieszenia kroku. Ponownie skupił się na bracie Emily. Nadszedł czas, by zamienić kilka mocnych słów z Tarquinem, a wydawało mu się, że wie, gdzie go znaleźć.

Emily niespokojnie krążyła po swoim pokoju. Od czasu wyjścia Sary czuła się nieswojo. Mimo że nie mogła sobie przypomnieć, by powiedziała lub zrobiła coś niewłaściwego, co mogłoby zdenerwować przyjaciółkę, nie opuszczało jej poczucie winy. Przeciagnąwszy po raz ostatni szczotką po gęstych włosach, odrzuciła ją na łóżko. Następnie, nie myśląc o tym, co robi, podeszła do toaletki i przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze.

Ujrzała lśniące srebrzyście oczy, zgrabny, lekko zadarty nos, szerokie usta i wyraźnie zarysowany podbródek. Zmarszczyła czoło, jakby w swej twarzy mogła wyczytać odpowiedź na dręczące ją pytania. Czy była okrutna dla Stephena? Lubiła go, oczywiście, ale jedynie jako przyjaciela. Czy kiedykolwiek mogłaby zostać jego żoną? Rodzić mu dzieci? Możliwe, że gdyby znał jej uczucia, wziąłby ją za oszustkę, a ich przyjaźń za zwykłe pozory.

Augusta Bond odkryła prawdę. Od samego początku była pewna, że Emily nie nadaje się na życiową partnerkę jej wnuka. Czyżby Augusta uważała ją za trzpiotkę bez serca? Emily nie chciała zranić Stephena, podobnie jak nie chciała sprawiać przykrości Sarze.

Z westchnieniem odwróciła się od lustra i podeszła do

drzwi. Tak, uznała, jest samolubna, trzymając Stephena przy sobie, powiedzmy to sobie szczerze, jako rezerwę, jak by powiedziała matka, na wypadek, gdyby nie znalazł się lepszy kandydat na męża. Nadszedł czas, żeby go uwolnić, by mógł związać się z kimś innym... kimś takim jak Sara.

- Miałem nadzieję, że znów na panią wpadnę.

Emily odwróciła się gwałtownie, słysząc głos skierowany najwyraźniej do niej, i ujrzała Mickeya Riley, który spoglądał w jej stronę z drzwi pobliskiego sklepu. Upewniwszy się, że go dostrzegła, nonszalanckim krokiem, który, jak podejrzewała Emily, wielokrotnie przećwiczył, przeszedł kawałek chodnikiem, po czym skręcił w boczną uliczkę.

Po momencie wahania Emily dołączyła do Riley.

Wprawdzie chciała szybko doręczyć Stephenowi list, który spoczywał w jej kieszeni, ale uznała spotkanie z Rileyem za korzystny traf. Miała wielką ochotę wygarnąć mu, co sądzi o całej sytuacji. Podejrzewała, że małżeństwo Tarquina nie było niefortunnym wybrykiem, lecz wynikiem zawczasu uknutego spisku. Prawdopodobnie nigdy by nie doszło do skutku, gdyby nie przebiegłość tego chciwego łajdaka o zniekształconej twarzy.

- Powinniśmy przestać się spotykać w taki sposób! - odezwała się ostrym tonem.

Riley rozciągnął wargi w kpiącym uśmiešku.

- Czuję się zaszczycony, że zadała sobie pani trud, by poznać moje nazwisko.

- Niesłusznie. Nie wymagało to żadnego trudu. Wiem, kim pan jest i czym pan się zajmuje.

Riley przechylił głowę z udawanym zaciekawieniem, jakby ją prowokował do bardziej szczegółowych wynurzeń.

- Niech pan idzie przodem, i to szybko. - Splotła ramiona na piersiach, dając tym gestem wyraz zniecierpliwieniu.

- Nie zamierzam poświęcić panu więcej niż paru minut.

- Cóż, miło pani traktuje człowieka, który czekał na panią po to, by przekazać wiadomości o bracie - rzekł z przekąsem.

- Dowiedziałam się już co nieco o moim bracie, panie Riley - odparła Emily, nie zwracając uwagi na jego uszczypliwość. - Niech pan mi wierzy, wolałabym tego nie wiedzieć. Jeśli chce mi pan powiedzieć, że został wmanipulowany w małżeństwo z jedną z pańskich... - Urwała. Wulgarnie słowo nie chciało jej przejść przez usta. - Jedną z pańskich podopiecznych - wydukała - to może pan oszczędzić sobie fatygi.

- Znaczy, że dowiedziała się pani o Jenny, tak?

Riley poskrobał się po szczęce porośniętej krótką szczeciną, popatrując na Emily spod na wpół opuszczonych powiek. Gorączkowo przebiegał w myślach ostatnie wydarzenia. W końcu doszedł do wniosku, że to Mark Hunter przekazał panie Beaumont szokującą nowinę. A to musiało oznaczać, że ci dwoje byli sobie bardzo bliscy, bo trudno uznać taką sprawę za przedmiot zwykłej towarzyskiej rozmowy.

Riley sądził, że jeśli Mark Hunter uzna za stosowne po-

dzielić się z kimś swoim odkryciem, to wybierze raczej głowę rodu Beaumontów. Jeszcze raz podrapał się po brodzie. Musiał zachować wyjątkową ostrożność, jeśli jego gra miała zakończyć się sukcesem i przynieść mu profit, na który liczył.

- Teraz pani już wie, dlaczego szukałem Tarquina - powiedział z niedbałym machnięciem ręki. - Proszę się nie bać. Jest sposób, żeby załatwić tę sprawę, zanim wszystko się wyda. - Uśmiechnął się do Emily współczująco. - Z pewnością nie chce pani martwić rodziców. Zachowanie tajemnicy i zrobienie porządku musi kosztować. - Riley przesunął językiem po wargach.

- A jak dokładnie zamierza pan zrobić ten porządek?

- No cóż... To moja sprawa, pani ma zapłacić.

Emily parsknęła ironicznym śmiechem.

- Jest pan głupcem! Chce pan ode mnie pieniędzy za udawanie, że nie doszło do małżeństwa? Jeremia Plumb odprawił ceremonię, a jak rozumiem, jest prawdziwym duchownym. Co pan zamierza zrobić? Przekupić go, żeby usunął zapis z ksiąg, i w ten sposób wpędzić mojego brata w dalsze kłopoty?

Mickey popatrzył na Emily z osłupieniem.

- Zatem właśnie to planował pan zrobić, tak? - spytała z niedowierzaniem.

- Myśli pani, że jest taka mądra, co? - syknął Riley. - Nie o tym chciałem z panią mówić, choć to też dotyczy pani brata.

Mickey poczuł się oszukany. Uważał swój plan za bar-

dzo sprytny, tymczasem ta paniusia przejrzała go w ciągu zaledwie paru minut.

Jeszcze tego ranka miał wątpliwości, czy wziąć udział w knowaniach wicehrabiego, który chciał wykorzystać tę śliczną młodą kobietę do niecznych celów. Teraz doszedł do wniosku, że to jej się należy. Zasłużyła na porządną nauczkę.

- Proszę mi szybko przekazać, co pan ma do powiedzenia - zażądała Emily. - Nie mam wiele czasu, muszę doręczyć ważny list.

- Mam dla pani wiadomość od brata. - Mickey z zadowoleniem dostrzegł, że wzbudził żywe zainteresowanie swej rozmówczyni. Wyciągnął rękę. - Pięć szylingów wystarczy. - Poczł coś w rodzaju triumfu, że ta przemądrzała damulka płaci mu za własną ruinę. Szybko zacisnął palce na monecie, którą Emily z rezygnacją położyła na jego dłoni. - Pani brat przysłał Jenny wiadomość, więc poszliśmy do jego kryjówki, żeby się z nim spotkać. Jest bez grosza. Nie było sensu oczekiwać od niego, że przekupi Plumba i zapłaci mi za moje starania. - Mickey pogardliwie wyduł usta. Tym razem mówił prawdę; tylko stracił czas przez tego nieudacznika. - Odkąd się ukrywa, dużo pije i mieszka w marnych warunkach. Przeziębł się i teraz jest poważnie chory. - Mickey łypnął na Emily, by sprawdzić, jakie wrażenie robi na niej opowieść. Dostrzegł jej niepokój i niecierpliwość, by dowiedzieć się więcej. - Jenny uważa, że potrzeba mu trochę pieniędzy i ciepłego posiłku, żeby całkiem wydobrzał. - Mickey pokręcił głową z udawanym współczuciem. - Pani brat boi się, że może nie przeżyć, i dlatego

chce się z panią widzieć. Na razie nie chce spotkać się z pani ojcem, bo się wstydzi... naturalnie.

- Dlaczego Jenny nie zwróciła się do mnie wcześniej? - spytała Emily.

- Ja zajmuję się wszystkim, co dotyczy Jenny - oświadczył Riley tonem pogroźki. - Zresztą dowiedzieliśmy się o jego chorobie dopiero dwa dni temu. Pani brat powiedział wyraźnie, że chce się widzieć tylko z panią. Jeśli nie przyjdzie pani sama, to się nie pokaże - zakończył z naciskiem.

Twarz Emily przybrała barwę popiołu.

- Czy to kłamstwo? Podstęp, żeby wyłudzić ode mnie więcej pieniędzy?

- Mogłem od razu zażądać więcej, panienko - przypomniał jej Riley z pobłażliwym uśmiechem. - Tak samo jak pani nie chce, żeby wyciągnął kopyta.

- Wtedy na nic panu by się nie przydał, prawda? - rzuciła ze złością Emily.

Riley wyraził ubolewanie z powodu fatalnej sytuacji finansowej Tarquina, ale Emily była pewna, że nie wyzbył się nadziei na wyciągnięcie korzyści z nieszczęsnego małżeństwa jej brata.

- Proszę natychmiast powiedzieć mi, gdzie on jest.

- Mam bryczkę. Dorożkarz nie będzie chciał jechać tak daleko. Będzie szybciej i taniej, jak sam panią podwiozę. No i pani rodzice nie nabiorą podejrzeń, jeśli szybko obróci pani w obie strony.

Emily spojrzała na swoje stopy; w głowie jej się kręci-



ło od nadmiaru wrażeń i trosk. Riley w jednym miał rację: wynajęcie pojazdu z woźnicą byłoby nie tylko kosztowne, ale też zajęłoby dużo czasu. Jeśli mówił prawdę i Tarquin rzeczywiście jest chory, musi zobaczyć się z nim jak najszybciej, żeby mu przemówić do rozumu. Powinien wrócić do domu i stawić czoło sytuacji, choćby nie wiem jak się wstydził. Tylko w ten sposób dojdzie do siebie. Emily wolno pokiwała głową, że się zgadza.

- Nie mogę jechać tak od razu - zastrzegła. - Muszę kupić w aptece lekarstwo dla Tarquina. Jest taki napar, który uśmierza gorączkę. Spotkam się z panem po południu.

Emily ani przez chwilę nie wierzyła Rileyowi i bała się jechać z nim dokądkolwiek sam na sam. Pilnie potrzebowała pomocy, a była tylko jedna osoba, do której mogła się zwrócić - Mark Hunter.

## Rozdział jedenasty

- Pana Huntera nie ma w domu, panno Beaumont. - Tak brzmiała uprzejma odpowiedź lokaja, kiedy Emily podała swoje nazwisko, chcąc jak najszybciej zobaczyć się z gospodarzem domu przy Belgrave Crescent.

Geoffrey Lomax dyskretnie przyjrzał się ślicznej młodej kobiecie. Było oczywiste, że musiała należeć do wyższych sfer. Tym dziwniejsze wydawało się jej zachowanie. Nie mieściło się bowiem w ramach dobrego tonu, by panna, w dodatku bez przyzwoitki, składała niezapowiedzianą wizytę kawalerowi. Surowe rysy lokaja nieco złagodniały na widok troski malującej się na twarzy gościa. Domyślił się, że niestosowna wizyta musiała wiązać się z ważną sprawą.

- Jeśli zechce pani zostawić wiadomość dla pana Huntera, dopilnuję, by otrzymał ją zaraz po powrocie - obiecał.

Chaotyczne myśli do tego stopnia wytrąciły z równowagi Emily, że stała przed służącym w milczeniu, z szeroko otwartymi oczyma. Co powinna zrobić? Wkrótce miała spotkać się z Rileyem, który jasno dał do zrozumienia,

że nie będzie na nią czekał, gdyby się spóźniła. Pragnęła jednak rozpaczliwie, by Mark udzielił jej wsparcia w tym, co zamierzała zrobić. Okazując zaufanie Rileyowi, narażała własne bezpieczeństwo. Sprawa była zbyt poufna, by zostawić wiadomość lokajowi, ale koniecznie musiała w jakiś sposób porozumieć się z Markiem.

- Mogę prosić o pióro i papier, żeby napisać wiadomość dla pana Huntera?

Lomax z przytakującym skinieniem i uśmiechem zaprosił ją, by weszła do środka.

Emily przestąpiła próg i przystanęła w obszernym holu. Nie mogła nie dostrzec, że prezentował się niezwykle dostatnio i elegancko; gładka kamienna posadzka wykonana była z tego samego najwyższej jakości marmuru, co sięgające piętra strzeliste kolumny.

Podczas gdy lokaj udał się po przybory do pisania, Emily podziwiała nieco surową wytworność domu Marka Huntera. Przechadzała się przy tym nerwowo po holu, całkowicie nieświadoma, że jest bacznie obserwowana z zewnątrz.

Kiedy ekwipaż Barbary zatrzymał się parę minut wcześniej przy krawężniku przed domem Marka, aż zatrzęsła się z oburzenia, widząc, jak Emily wstępuje po szerokich kamiennych schodach. Dopiero co sama zamierzała się na nich znaleźć!

Dużo ją kosztowało powściągnięcie dumy, a także pokonanie obawy, że przybywając do Marka, może przyspieszyć własny upadek. Miała nadzieję, że zastanie go w dobrym nastroju i zdoła nakłonić do miłych wspomnień z ich

wspólnej młodości. Zmarszczyła posępnie czoło. Widok Emily Beaumont mocno nadwerężył jej optymizm, kazał zwątpić, czy zdoła coś wskórać, odwołując się do pamięci Marka czy też jego niedawnej silnej namiętności.

Lokaj zamknął szerokie drzwi wejściowe, tym samym odcinając jej widok na to, co dzieje się w środku. Rzuciwszy pod nosem kilka niewyszukanych inwektyw, Barbara ze złością opadła na miękko wyściełane siedzenie powozu. Wyglądało na to, że panna Beaumont ma czelność odwiedzać Marka samotnie, nie mając nawet tyle przyzwoitości, by zabrać kogoś ze sobą w charakterze przyzwoitki. Jednakże świadomość, że jej rywalka jest bezwstydną rozpustnicą, stanowiła niewielką pociechę.

Wciąż z niewesołą miną, Barbara próbowała odgadnąć, dlaczego panna Beaumont postępuje z tak niesłychaną zachwałością. Nie zdążyła dojść do żadnych konkretnych wniosków, gdy usłyszała, że drzwi znowu się otwierają. Szybko pochyliła się do okna, ostrożnie uchylając zasłonkę. Patrzyła, jak Emily schodzi ze schodów, a potem szybkim krokiem się oddala.

Zauważywszy zatroskanie na twarzy Emily, Barbara wygięła w uśmiechu uszminkowane wargi. Może Markowi nie spodobało się to niespodziewane najście i odprawił ją, nie przebierając w słowach? Ostatecznie nie spędziła w tym domu więcej niż dziesięć minut.

Nie czekając dłużej, Barbara w asyście stangreta weszła na kamienne stopnie.

- Pana Huntera nie ma w domu, pani Emerson.

Tym razem Lomax przekazał wiadomość z kwaśną miną. Nigdy nie nabrał sympatii dla tej kobiety, mimo iż wiedział, że od wielu lat utrzymuje pozycję ulubionej przyjaciółki jego pana. Opuściwszy nieco powieki, zmierzył wzrokiem powabną sylwetkę Barbary, spowitą w muślin i jedwabną pelerynę. Bez wątpienia umiała się podobać... i najwyraźniej nie dbała o to, by ubranie chroniło ją przed chłodem w zimny dzień. A panu Hunterowi trzeba było przyznać, że ma gorącą krew.

Wyminąwszy lokaja, Barbara weszła do domu z miną kobiety, która jest przekonana o swych prawach. Obróciwszy się na pięcie, posłała Lomaksowi spojrzenie pełne wyższości.

- Szkoda, że go nie zastałam. Nie byłam zapowiedziana, więc nie mogę mu mieć tego za złe.

Rozglądając się z udawaną beztroską, dostrzegła złożoną kartkę papieru na blacie hebanowego stolika. Niby mimochodem przeszła w tamtą stronę, żeby przejrzeć się w oprawionym w złotą ramę lustrze, wiszącym nad stolikiem. Rozluźniła wstążki czepka, by zaraz potem ponownie je związać, przez cały czas nie spuszczać oka z intrygującego kawałka papieru, który okazał się listem. Na wierzchu widniało nazwisko Marka, wypisane kobiecym charakterem pisma. Barbarze serce podskoczyło, gdy odkryła coś, co świadczyło, że list mógł pochodzić od jednej tylko kobiety: atrament jeszcze nie wyschł! Szybko odwróciła się plecami do lustra, jednocześnie zaciskając palce na krawędzi stolika.

W głowie zadźwięczały jej nagle znamienne słowa, które podsłuchiwała na tarasie lady Gerrard: „Jeśli pojawi się dziec-

ko... co wtedy zrobimy?". Czyżby Emily Beaumont była już pewna, że spodziewa się dziecka Marka? Taka nowina z pewnością mogła ją skłonić do tego, by zlekceważyć wymogi etykiety i próbować jak najszybciej się z nim zobaczyć. Przecież kiedy całkiem niedawno opuszczała ten dom, sprawiała wrażenie rzeczywiście mocno zmartwionej.

- Nie będę zostawiać wiadomości... i nie musisz mówić panu Hunterowi, że tu byłam.

Lomax uniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

- Jak pani sobie życzy, proszę pani.

Barbara ukradkiem zabrała papier i zacisnęła na nim palce. Ruszyła do drzwi, stukając obcasami o marmur, sprawiając wrażenie, że nagle zaczęło jej się śpieszyć

- To chyba wszystko - rzuciła. Mijając lokaja, wyniosłym skinieniem poleciła mu otworzyć drzwi.

- Czy twoja żona wie, w co się wpakowałeś?

Pełen ironii głos poderwał Tarquina z fotela. Ładna młoda kobieta, siedząca mu dotąd okrakiem na kolanach, niezdarnie zsunęła się na bok. Pozbierawszy się szybko, wygładziła spódnicę i trzepnęła Tarquina w ramię, karząc go za nieprzyjemne potraktowanie.

- Co, u diabła... - Nieogolony Tarquin, patrząc na Marka z osłupieniem, przejechał palcami po niechlujnych włosach. - Śmiertelnie mnie przestraszyłeś, Hunter. Co tu robisz?! - rzucił ostro, pośpiesznie zapinając spodnie, czerwony z zażenowania.

- Co ja tu robię? - powtórzył Mark drwiąco. Rozejrzał

się po wygodnym, choć po spartańsku urządzonego pokoju. - O ile mi wiadomo, jestem właścicielem tego mieszkania, więc czuję się w prawie z niego korzystać. Należałoby raczej spytać, Beaumont, co ty tu robisz. Poza tym, że przygotowujesz o zgryzotę swoją rodzinę, ma się rozumieć. To chyba niewiele cię obchodzi, prawda?

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz mi prawić kazań - odparł niezadowolony Tarquin. - Sam też nie jesteś święty.

- Istotnie, niemniej jednak przyda ci się nauczka. - Mark zaczął się zbliżać, lecz nagle przystanął, zatrzymany przez towarzyszkę Tarquina, która rzuciła się, żeby go osłonić własnym, skapo odzianym ciałem. Kończąc zapinać guziki stanika, zadarła podbródek i wyzywająco popatrzyła Markowi w oczy.

Mark rzucił Tarquinowi pogardliwe spojrzenie ponad jej głową, po czym skupił uwagę na resztkach jedzenia, zalegających na stole. Wziąwszy do ręki widelec, podniósł na nim kawałek niedojedzonego sera. Obok stała butelka z resztkami czerwonego wina. Mark poznał, że trunek - wyjątkowo dobrego rocznika - pochodzi z jego piwnicy i z cierpkim uśmiechem zaczął się zastanawiać, czy w ogóle zostały mu jeszcze jakieś zapasy. Przelawszy resztkę wina do kieliszka, wypił je jednym haustem.

- Widzę, że nie możesz się obejść... - Popatrzył znacząco na rozchełstaną kobietę. - Twoja żona nie ma nic przeciwko temu, że ją porzuciłeś? A może miesiąc miodowy już dobiegł końca?

- To jest moja żona - oświadczył Tarquin z nadąsaną mi-

na, po czym rzucił się na fotel, z którego przed chwilą się zerwał.

- Aha... W takim razie rozumiem, że miesiąc miodowy trwa w najlepsze.

Mark przyjrzał się kobiecie uważniej i wydało mu się, że ją rozpoznaje. Jeśli pamięć go nie zawodziła, widział ją w towarzystwie Riley'a; kręcili się w pobliżu sklepu francuskiej modniarki na Regent Street. Miała wówczas na głowie kapelusz z szerokim rondem, osłaniający twarz.

- Twoje maniery bardzo podupadły, Tarquin. Nie zamierzasz nas sobie przedstawić?

Beaumont niechętnie dopełnił obowiązku. Z westchnieniem podniósł się z fotela i chwiejnie stanął u boku żony. Jenny skwapliwie wzięła go pod rękę i odwdzieczyła mu się za tę demonstrację lojalności czułym uszczypnięciem w policzek. Marka natomiast obrzuciła spojrzeniem tyleż niechętnym, co wyzywającym.

- Przypuszczam, że wszyscy już wiedzą o moim ożenku, skoro się tu zjawiasz. Bez wątpienia ojciec wychodzi z siebie, a matka leży jak nieżywa na sofie, obstawiona solami trzeźwiącymi.

- Niezupełnie. - Mark ostro przerwał wywody Tarquina, wypowiedane tonem uzalania się nad sobą. - Lepiej, żebyś się poważnie zastanowił, jak zamierzasz wypić piwo, które nawarzyłeś.

- Ojciec zostawi mnie bez pensa.

- Masz mu to za złe? Musiałeś sobie zdawać sprawę z ryzyka, jakie podejmujesz.



- W ogóle niewiele rozumiałem! Byłem tak pijany, że ledwie ustałem na nogach podczas tego całego ślubu.

Tarquin, nie kryjąc zniecierpliwienia, wyswobodził się z zaborczego uścisku Jenny i wyjrzał przez okno myśliwskiego domku. Przez dłuższą chwilę patrzył niewidzącym wzrokiem na murawę, prześwitującą zza rzędów brązowych pni. Wreszcie odezwał się z westchnieniem:

- Rzeczywiście nie wiem, co począć.

- Masz pół godziny na podjęcie decyzji, a potem, czy jesteś na to gotowy, czy nie, wracasz ze mną - oznajmił Mark tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Obawiam się, że wasze radosne domowe bytowanie na mój koszt właśnie dobiegło końca. Zabiorę zapasowe klucze, żeby nie było wątpliwości, iż dobrze mnie rozumiecie.

Tarquin odwrócił się plecami do sielankowego widoku Enfield Chase. Niechętnie sięgnął do kieszeni; rzucone na stół klucze wydały metaliczny brzęk. Wydukawszy nieskładne podziękowanie za gościnę, spytał, już z pewnym ożywieniem.

- Skoro moje małżeństwo nie wyszło na jaw, to skąd ty się o nim dowiedziałeś?

- Riley mi powiedział. Próbował wykorzystać popełniony przez ciebie megalomania, żeby wyłudzić pieniądze od Emili. Nie wątpię, że szantażowałby ciebie, gdyby tylko wiedział, gdzie się ukrywasz. - Mark przeniósł wzrok na Jenny. - Rozumiem, że twojej żonie zależy na tobie, a nie na Rileyu?

Tarquin zachnął się, urażony szorstką uwagą Marka, niemniej zerknął pytająco w stronę Jenny.

Zarumieniła się gwałtownie, co dodało jej nieco wdzięku.

- Próbowałam go przekonać, żeby dał spokój twojej siostrze - oznajmiła z naciskiem. - Mówiłam, żeby w ogóle zapomniał o Beaumontach i znalazł innego kandydata, z którego łatwo da się wycisnąć gotówkę. Ale on jest uparty. Nie chciał odpuścić. - Spojrzała na męża wzrokiem łani.  
- Mogłam powiedzieć Mickeyowi, gdzie się ukrywasz, ale tego nie zrobiłam... naprawdę...

- Emily jest w to zamieszana? - Tarquin bezceremonialnie przerwał zapewnienia żony.

Sprawił wrażenie, jakby nagle odzyskał trzeźwość umysłu. Usłyszawszy potwierdzenie swoich obaw, ukrył twarz w dłoniach i zaczął kręcić głową, wyraźnie zdjęty wyrzutami sumienia.

Jenny wtuliła się w niego przymilnie.

- Przyszłam tu dziś, żeby ci powiedzieć o Rileyu i o tym, co on knuje, bo to nie w porządku i nie chcę w tym brać udziału. Powiadomiłabym cię wcześniej o siostrze, ale... - Zarumieniła się jeszcze mocniej. - Od razu zaczęłaś... i jakoś wyleciało mi to z głowy...

Tarquin nadal stał bez ruchu, z rękami przy twarzy. Nie mógł zaprzeczyć, że nie dał Jenny okazji do rozpoczęcia rozmowy od czasu, gdy zjawiała się przed dwudziestoma minutami. Odchrząknął z zakłopotaniem.

- Co masz mi do powiedzenia na temat Emily? - spytał szeptem.

Jenny zniecierpliwiona jakby zaniemówiła. Onieśmiała ją nie tyle nagła szorstkość męża, co przenikliwy wzrok je-

go przyjaciela. Kiedy Mark wykonał gwałtowny gest zniecierpliwienia, aż podskoczyła ze strachu i schowała się za plecami Tarquina.

- Jeśli ci wiadomo, że Riley planuje dalsze podstępny, żeby wyciągnąć pieniądze od panny Beaumont... - zaczął Mark groźnie.

- To nie tak - powiedziała cicho. - Mickey dostaje zapłatę, ale nie od niej. - Zerknęła przepaszająco na męża. - Ubił interes z pewnym człowiekiem, któremu podoba się twoja siostra i chce, żeby mu stworzyć okazję do spotkania z nią sam na sam. Ten łobuz Mickey zgodził się za pieniądze mu to umożliwić. - Jenny uciekła wzrokiem na widok morderczego błysku w oczach Marka Huntera.

- Cóż to za bzdury? - parsknął Tarquin. - Wiem, że Stephen Bond podkochuje się w Emily, ale to porządny facet. To do niego niepodobne, żeby planował ją uwieść, jestem tego pewien. - Spojrzał na Marka i zbladł, widząc kamienny wyraz jego twarzy.

- Jak Riley ma to zorganizować? Jak ma ją tam zwabić? Czy to ma nastąpić już wkrótce? - Mark zasypał Jenny gradem pytań.

Zamrugnęła gwałtownie, żeby powstrzymać łzy cisnące się do oczu.

- Wkrótce - potwierdziła. - Wiem, że Mickey chce jak najszybciej dostać gotówkę. Ale tylko tyle mi zdradził. Domyślam się, że użyje Tarquina jako przynęty.

- Kto poprosił Mickeya o tę przysługę? - spytał Mark groźnym tonem. - Nie próbuj mnie okłamywać.

Jenny błagalnym spojrzeniem próbowała szukać wsparcia u męża, ale Tarquin wydawał się nieobecny duchem. Nerwowo obgryzał paznokcie.

- Podaj mi nazwisko tego łajdaka, bo przysięgam, że i tak je z ciebie wyduszę! - wycodził Mark przez zęby.

- Uspokój się, Hunter... - Tarquin nagle się ocknął i uznał za stosowne wstawić się za żoną.

- To Devlin! - wykrzyknęła przestraszona Jenny, z coraz większym trudem powstrzymując łzy. Miała świadomość, że właśnie spaliła za sobą mosty, zdradzając Mickeya. Jeśli kiedyś się dowie, że przez nią stracił źródło zarobku, nie zawaha się przed szukaniem zemsty. Odetchnąwszy głęboko, powtórzyła drżącym głosem: - To Devlin... to on... ten brutal...

Emily popatrzyła na fasadę domu i ściągnęła brwi. Przed chwilą wysiadła z bryczki Rileya i teraz stała z nim na żwirowym podjeździe, wiodącym do eleganckiej rezydencji. Rozejrzała się wokół siebie. Posiadłość leżała na uboczu, skutecznie odizolowana od sąsiadów. Tarquin z pewnością nie mógłby sobie pozwolić na zamieszkanie w tak wystawnym domu, nawet gdyby nie przepuścił pieniędzy.

Podczas drogi na obrzeża miasta zastanawiała się nad ciężkim położeniem brata i trudami, jakie niewątpliwie musiał znosić. Wyobrażała go sobie koczującego w jakiejś wiejskiej chacie z przeciągami gwizdzącymi z nieszczelnych okien i drzwi. Bała się wręcz, że może go znaleźć drżącego w łachmanach, przy wygasłym piecu. Spojrzawszy w górę, zobaczyła smugi dymu, unoszące się leniwie z podwójnych kominów.

Riley powiedział jej, że Tarquin rozchorował się z powodu marnych warunków do spania. Jeśli miała go znaleźć za drzwiami tego domu, to wydawało się bardziej prawdopodobne, że nie brakuje mu wygod, a na noc kładzie się w puchowej pościeli.

Odwróciła się do Riley'a z pytającym spojrzeniem; zaczynała uświadamiać sobie, że została oszukana. Ogarnął ją niepokój.

- Tarquina nigdy by nie było stać na wynajęcie takiego luksusowego domu. Z tego, co wiem, nie ma w tej okolicy przyjaciół, którzy mogliby użyzyć mu gościny. Jest pan pewien, że to tutaj?

- Jak najbardziej - zapewnił Mickey ze śmiechem podobnym do szczeknięcia.

Zauważyła, że unika jej wzroku. Znienacka pochylił się i zabrał jej z ręki niewielką torbę z zapasami jedzenia i lekarstw, którą z sobą przywiozła.

- Chodźmy, nie ma co marnować czasu, bo nie zdążymy wrócić do miasta przed zmrokiem. - Ruchem głowy wskazał gromadzące się na zachodzie chmury, jakby na poparcie tej groźby

Emily ruszyła za nim mimo rodzących się w jej głowie podejrzeń. Jednak nim zdołała wyrazić choćby jedną z obaw, lokaj otworzył przed nimi drzwi. Emily zawahała się; ciarki przebiegły jej po plecach na widok schludnej liberii służącego. Wydało jej się, że już kiedyś widziała ten oryginalny brązowo-złoty wzór, i to całkiem niedawno. Instyngt kazał jej się zatrzymać, a potem cofnąć.

Riley zauważył jej wahanie; chwyciwszy ją mocno za ło-

kieć, pociągnął za sobą po schodach do holu. Lokaj natychmiast zamknął za nimi drzwi i bezszelestnie zniknął.

Emily odwróciła się gwałtownie do Riley'a, ale on skupił uwagę na czym innym.

.- Proszę... wszystko gotowe czeka - powiedział z chytym uśmiechem, ale to nie do niej się zwracał.

Powoli dotarł do jej uszu odgłos zbliżających się kroków. Na jej twarzy odmalował się wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

- Nicholas? - upewniła się, choć nie było wątpliwości, że ma przed sobą byłego narzeczonego. Parsknęła urywanym, niemal histerycznym śmiechem. - Och, nie mów, że udzieliłeś schronienia mojemu bratu. Myślałam, że wy dwaj wciąż nie jesteście w dobrych stosunkach. Wiesz wszystko o zniknięciu Tarquina?

- Obawiam się, że nie, moja droga, i wcale nie chcę wiedzieć - odparł wicehrabia obojętnie. - Przy kolacji możesz mi o tym opowiedzieć, jeśli zechcesz. Jestem gotów okazać wyrozumiałość, choć zupełnie nie obchodzi mnie, co się z nim dzieje. To ty budzisz moje zainteresowanie - zakończył chrapliwym głosem.

Emily zacisnęła usta. Niedorzeczna myśl, że ci dwaj mogli działać w zмовie, żeby ją zwabić do tego domu, zakiełkowała jej w głowie i szybko zaczęła się rozrastać.

- Rozumiem, że to dla mnie? - odezwał się Riley, zabierając coś ze stolika w holu.

Emily szybko na niego spojrzała, ale nie zorientowała się, o czym mówi. Zrozumiała dopiero wtedy, gdy usłyszała charakterystyczny brzęk wrzucanych do kieszeni monet.

Wicehrabia Devlin zapłacił Mickeyowi Rileyowi za to, że ją tu przywiózł! Podeszła do Nicholasa i zajrzała mu w oczy.

- Spiskowałeś z tym... tym kundlem, żeby mnie oszukać? Sprowadziłeś mnie tu bez powodu?

Nicholas wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej twarzy.

- Ależ istnieje bardzo dobry powód, żebyś tu była, skarbie. Wiem, że pamiętasz, iż kiedyś byliśmy razem... sami... i obojgu bardzo nam się to podobało. Wkrótce będziesz zadowolona, że zachowałem się jak despota.

Emily ze złością odepchnęła palce gładzące jej policzek.

- Ty podła bestio!

Nim się zastanowiła, co robi, jej dłoń z kłaśnięciem wyśladowała na szczęce Devlina. Jak przez mgłę usłyszała rechot Riley'a.

Nicholas chwycił się za miejsce, w którym wykwitła czerwona plama.

- Jeśli chcesz, żebym cię dzisiejszej nocy poskromił, możesz na mnie liczyć - powiedział głosem, w którym obok złości pobrzmiwała nuta podniecenia.

Emily ogarnął strach, ale wykrzesła w sobie resztki odwagi; nie mogła sobie pozwolić na popadanie w panikę.

- Nie wystarczy ci, że już raz mnie uwiodłeś? - syknęła nienawistnie.

- Oczywiście, że nie. Gdyby było inaczej, czyż narażałbym się na takie trudy i wydatki?

Oderwawszy lubieżny wzrok od wzburzonej twarzy Emily, wicehrabia rzucił Rileyowi wymowne spojrzenie.

Riley posłusznie się oddalił, ale jego sprośny rechot jeszcze przez chwilę odbijał się echem po holu, sprawiając, że Emily poczuła się podwójnie upokorzona. W przebłytku opamiętania rzuciła się do drzwi, żeby uciec z tego przeklętego domu, ale niespodziewanie z cienia wynurzył się lokaj. Bez słowa zamknął drzwi i zabrał klucz.

Patrząc bezradnie, jak milczący sługa znów znika w cieniu, przypomniała sobie, gdzie wcześniej widziała tę brązowo-złotą liberię: to było na Whiting Street. Tak samo ubrany był stangret Devlina. Ledwie mogła oddychać, a co dopiero mówić. W końcu jednak z jej drżących ust wydoły się słowa:

- Jesteś potworem. Wstydzę się, że kiedyś tak słabo cię znałam, że chciałam za ciebie wyjść.

- Cicho... - Devlin wolno podążał za nią, kiedy cofała się w popłochu, aż wreszcie stanęła przyparta do ściany. - Nie musisz się z mojej strony niczego obawiać, Emily. Rozumiem, jesteś zła, że spiskowałem z tym rzezimieszkiem. Ale co innego mogłem zrobić? - Wzruszył ramionami. - Nie chciałaś się ze mną spotkać... przysyłałaś mi okrutne listy, odrzucające moją miłość. Dlaczego? Chcę od ciebie tylko tego samego, co kiedyś dałaś mi dobrowolnie.





## Rozdział dwunasty

-W końcu będę wisiął za Devlina! Powinienem być z nim skończyć poprzednim razem! - zawołał Tarquin, kiedy powóz Marka zatrzymał się przed rezydencją Beaumontów przy Callison Crescent.

Podczas szybkiego przejazdu przez północne przedmieścia Londynu Marka nie opuszczały podobne mordercze myśli. Starał się jednak trzymać emocje na wodzy, ponieważ obecnie jedynym celem, jaki go obchodził, było wyrwanie Emily z łap Devlina. Gdy będzie bezpieczna, wtedy przyjdzie czas, żeby zastanowić się nad zemstą...

- Devlin drogo zapłaci za swój niegodziwy uczynek. - Groźba została wypowiedziana zimnym i ostrym tonem. - Możesz być tego pewien. Na razie musimy za wszelką cenę ostrzec Emily przed niebezpieczeństwem.

Tarquin zeskoczył na ziemię, twarz miał ściągniętą niepokojem i poczuciem winy. Mark wiedział, że przyjaciel obawia się nie tylko o bezpieczeństwo siostry, ale też o los żony.

Pół godziny wcześniej rozstali się z Jenny; wysiadając, przyznała się do lęku o to, że Mickey zemści się na niej, jeśli odkryje, że przez nią nie ubije interesu z Devlinem. Jenny wykazała się przy tym godną podziwu dzielnością, zapewniając Tarquina, że schroni się u ciotki mieszkającej w Hackney, dopóki cała sprawa nie zostanie wyjaśniona. I tam właśnie, na Brewer Street, ją zostawili.

- Co do jednego twoja żona ma rację - odezwał się Mark. - Riley jeszcze nie wie, że wróciłeś na łono rodziny. Jeśli będzie próbował wykorzystać twoją nieobecność, żeby wywabić Emily z domu, podstęp sam się wyda.

Bruzdy wokół ust Tarquina pogłębiły się, zdradzając stan jego ducha. Bezmyślnym postępowaniem wywołał całą serię katastrofalnych zdarzeń, których konsekwencje dotyczyły całej jego rodziny. Mark kątem oka widział posępną twarz Tarquina, zdawał sobie sprawę z jego udręki, ale był jak najdalszy od współczucia. Martwił się jedynie o Emily. Najpierw musiał się upewnić, że nic jej nie grozi, a dopiero potem mógł wyładować złość na Tarquinie.

- Chyba byłoby rozsądniej zachować najgorsze wiadomości w tajemnicy przed twoimi rodzicami - zasugerował.  
- Ich skądinąd całkiem zrozumiały gniew może spowodować sporo zamieszania i tym samym dać temu łajdakowi czas, by wziął nogi za pas, lub, co gorsza, znaleźć jakiś sposób, żeby się z tego wykręcić.

- Nie ma takiego miejsca, gdzie ten drań mógłby się przede mną ukryć, tak żebym go nie znalazł.

- Ja zajmę się wicehrabią.

Tarquin wytarł nos rękawem i zaczął się przechadzać tam i z powrotem po chodniku.

- Możesz mu złożyć skórę, jeśli masz ochotę, ale potem ja i tak go zabiję! Miałem go za skończonego libertyna, ale nie sądziłem, że jest tak podły, by próbować zniszczyć kobietę, którą kiedyś rzekomo wielbił. - Nagle ruszył w stronę domu, ale Mark zawołał za nim, by się zatrzymał.

- Dlaczego wtedy, przed laty, się pobiliście? Czyżby powodem waszej wzajemnej nienawiści były zerwane zaręczyny pomiędzy Emily a Devlinem?

Tarquin pokręcił głową, zapatrzony gdzieś w dal; w jego oczach płonęła niepokohamowana wściekłość.

- Zaręczyny zostały zerwane po tym, jak go pobiłem. - Urwał, Przeszłując z nogi na nogę. - Nigdy o tym nie mówiłem Emily ani rodzicom. Zwłaszcza Emily byłaby zdruzgotana, gdyby się dowiedziała, jakiego niegodziwca pokochała. Przez długie miesiące po zerwaniu zaręczyn nie mogła dojść do siebie. - Przeszył Marka świdrującym spojrzeniem. - Gdyby mój ojciec się dowiedział, wyzwabiłby go na pojedynek. Wierzę, że zachowasz to dla siebie. - Przesunął dłonią po nieogolonym podbródku. - Według mnie wicehrabia był zadowolony, że z małżeństwa nic nie wyszło. Polował na fortunę, a posag Emily nie był na tyle duży, by zaspokoić jego chciwość i spłacić długi. - Tarquin nagle wyraźnie się zmieszał. - Pewnie sobie myślisz, że kto jak kto, ale ja nie powinienem krytykować cudzych długów, lecz ja nigdy bym nie zaprzedał duszy ani nie zdradził ukochanej kobiety za gotówkę. - Wcisnął ręce do kiesze-

ni. - W każdym razie pewnego wieczoru w klubie White'a, kiedy już od paru godzin *graliśmy w faraona*, odszedłem na chwilę od stolika. Devlin nie wiedział, że wróciłem i stałem tuż za nim. Usłyszałem, jak przechwalał się na temat Emily do jednego ze swoich kompanów... Gadał obrzydliwe rzeczy o tym, jakie ma szczęście, że jego narzeczona ma temperament, jakby już z nią sypiał. - Tarquin odetchnął głęboko. - Fakt, że był pijany, ale nic nie usprawiedliwiało takich oszczerstw. Devlin to szczur. Powinienem być go wtedy wykończyć, skoro nadarzyła się okazja.

Mark zacisnął zęby tak mocno, że aż rozboleły go szczęki.

- Cieszę się, że mi powiedziałeś - rzekł spokojnie. - A teraz *idź. Zrób co trzeba, przepróż rodzinę*.

Nie dodając ani słowa więcej, ruszył w dalszą drogę. Kiedy zmierzał ulicami w stronę Belgrave Crescent, po głowie uporczywie tłukła mu się tylko jedna myśl. Czy to, co mówił wicehrabia Devlin, było oszczerstwem, czy też on i Emily rzeczywiście w czasach narzeczeństwa zostali kochankami?

Własne gorzko-słodkie wspomnienia związane z Emily kazały mu się obawiać, że odpowiedź na to pytanie może nie być taka, jakiej by sobie życzył. Kiedy Emily zakończyła ich pocałunek zbyt szybko, rozczarowany pozwolił sobie na niefortunną uwagę. Próbował od razu zatrzeć złe wrażenie, ale dość ostro go zbyła, a ponadto niejasno dała mu do zrozumienia, że nie powinien uważać jej za niewinną. Teraz zrozumiał, co mogła mieć na myśli: że kiedyś była nie tyl-

ko narzeczoną Devlina, ale też jego kochanką. Może wicehrabia uważał, że ma prawo znów w taki sposób się do niej zbliżyć, niezależnie od tego, czy ona ma na to ochotę.

- Każ zaprząć świeże konie. Natychmiast!

Geoffrey Lomax patrzył zaskoczony na szerokie plecy swego pana, który jak burza przemknął przez hol i wbiegł na górę, biorąc po dwa stopnie naraz. Takie zachowanie było co najmniej nietypowe dla pana Huntera. Ocknąwszy się z osłupienia, lokaj pośpiesznie udał się gdzie trzeba, by wypełnić polecenie.

Po paru minutach Mark z powrotem pojawił się na dole, ze sztyletem w jednej kieszeni płaszcza i pistoletem w drugiej. Nie był z natury porywczy i miał nadzieję, że nie będzie musiał użyć broni, ale musiał być przygotowany na każdą ewentualność.

Jeśli nie zastanie Devlina w domu, następnym jego celem tego wieczoru będzie obskurna nora Rileya. Mark zakładał, że może dojść do walki, jeśli w pobliżu znajdzie się tych dwóch osiłków, których widział poprzednio. Bójki go nie przerażały, nawet jeśli przeciwnik dysponował większą siłą. Bez fałszywej skromności przyjmował wyrazy uznania, jako jeden z najlepszych adeptów sztuki bokserskiej z klubu Jacksona. Nie chciał jednak, by jego odwaga i sprawność zostały poddane próbie, wołał zachować wszystkie siły na ratowanie Emily.

Widząc, że jego pan zamierza wyjść bez słowa, Lomax sam zatrzymał go w drodze do drzwi.

- Hm... pod pańską nieobecność mieliśmy gościa, sir. Obiecałem tej damie, że przekażę panu wiadomość, gdy tylko pan wróci.

Mark przystanął gwałtownie i spojrzał na lokaja spod surowo ściągniętych brwi.

- Jakaś kobieta chciała się ze mną widzieć?

- Była tu niejaka panna Beaumont. Sprawiała wrażenie zmartwionej, że pana nie zastała. Zostawiła wiadomość.

- Daj mi ją, na co czekasz - rzucił niecierpliwie Mark, wyciągając rękę.

Lomax podszedł do stolika pod lustrem i zmarszczył czoło na widok pustego blatu. Następnie przykucnął na patykowatych nogach, żeby sprawdzić, czy list przypadkiem nie spadł na podłogę. Omiótł wzrokiem marmurową posadzkę w pobliżu w nadziei, że przeciąg mógł popchnąć złożony papier gdzieś dalej.

Mark zbliżył się do niego, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Nic z tego nie rozumiem, sir. Sam położyłem list na stoliku, jestem tego pewien.

- Może ktoś ze służby go zabrał?

- Nikt by się nie ośmielił... poza tym nikogo tu nie było... poza...

- Poza kim? - ponaglił Mark z miną niewróżącą niczego dobrego.

Twarz lokaja wykrzywił wyraz przerażenia połączonego z niedowierzaniem; podejrzenie, które zrodziło się w jego głowie i którego bał się wyrazić, było doprawdy niesłychane.

- Kilka minut po wyjściu panny Beaumont zjawiła się pani Emerson. Przeglądała się w lustrze, ale prosiła, żeby nie wspominać o jej wizycie, więc dlatego...

Nim Lomax zdążył wydukać resztę wyjaśnień, Mark odprawił go szorstko i zaciskając usta, rzucił się do drzwi.

List leżał na lśniącym mahoniowym blacie toaletki, pomiędzy kryształowymi buteleczkami perfum i srebrnymi przyborami do pielęgnacji włosów. Barbara siedziała na wyściełanym aksamitem taborecie, wpatrując się z napięciem w biały prostokąt papieru.

W końcu wzięła go do ręki i zbiełałymi palcami przesuwała po woskowej pieczęci. Przez chwilę zbierała się na odwagę, żeby złamać pieczęć i zajrzeć do środka. Gdyby Mark kiedykolwiek się dowiedział, co zrobiła, nie byłaby w stanie w żaden przekonujący sposób wytłumaczyć się ze swego niewybaczalnego postępu. Skoro już jednak ukradła list, byłoby głupotą poprzestać na wyobrażaniu sobie, co może zawierać. Oglądanie listu pod światło, przy oknie czy nad świecą, nie przyniosło żadnych rezultatów. W końcu wzięła głęboki wdech, złamała pieczęć, rozłożyła kartkę i szybko przebiegła wzrokiem niedługą treść.

*Riley odkrył, gdzie Tarquin się znajduje, wie, że jest chory i pragnie mnie widzieć. Riley nie chce podać dokładnego adresu tego miejsca poza tym, że znajduje się na obrzeżach miasta. Nie może być zbyt daleko, ponieważ obiecał, że wrócimy przed zmrokiem. Nie całkiem mu ufam, ale też nie*

*wiem, co mógłby zyskać, okłamując mnie. Dlatego pojedę z nim i postaram się przekonać Tarquina, by wrócił i stawiał czoło sytuacji. Mam nadzieję, że wrócę bezpiecznie razem z bratem i że udzieli pan Tarquinowi swej rady i wsparcia. Żałuję, że nie zastałam pana w domu, by panu to wszystko osobiście powiedzieć...*

Barbara przeczytała list powtórnie, a potem z niechęcią odrzuciła na bok. Niepotrzebnie zadała sobie tyle trudu! Miała nadzieję - a właściwie się bała - że przechwyciła list miłosny z wiadomością, że ta mała ladacznica spodziewa się dziecka Marka. A tymczasem co wpadło jej w ręce? Jakież bzdury na temat brata Emily i człowieka o nazwisku Riley, który wiedział, gdzie znaleźć tego nicponia. Co ją to wszystko obchodzi?

Może zbyt pochopnie założyła, że Marka łączy z Emily Beaumont sekretny romans? Jeszcze raz przeczytała list, szukając w nim ukrytych znaczeń. Emily wyrażała wprawdzie żal, że nie zastała Marka w domu, ale trudno się w tym było doszukać śladów jakiegokolwiek namiętności.

Na odgłos pośpiesznych kroków Barbara odwróciła się na taborecie. W progu stanęła pokojówka; jej drobna pierś falowała, jakby nie mogła złapać tchu po wbiegnięciu na schody.

- Monsieur tu jest, madame, ale powiedziałam, że musi zaczekać na dole, bo wygląda na bardzo rozgniewanego...
- Mała Francuzka zamilkła gwałtownie, czując za plecami obecność Marka.



- Możesz nas zostawić, Claudine - odezwała się Barbara nienaturalnie piskliwym głosem, próbując drżącymi palcami ukryć list między przedmiotami na toalecie.

Na widok jej oczywistego zdenerwowania Mark rozciągnął wargi w cynicznym uśmiechu.

Barbara podniosła się z taboretu kocim ruchem i szybko stanęła mu naprzeciw, żeby go powstrzymać przed zbliżeniem się do toaletki.

- Cóż za miła niespodzianka - wymruczała, stając na palcach i przechylając głowę, jakby chciała go pocałować.

Usiłowała rzucić mu rękę na szyję, ale Mark złapał ją za nadgarstki i pociągnął za sobą do zastawionego perfumami blatu. Kiedy niecierpliwie sięgał po list, jedna z buteleczek przewróciła się, wypełniając pokój piżmowym, duszącym zapachem. Mark przeczytał wiadomość od Emily z nieporuszoną wyrazem twarzy, nie licząc ledwie widocznego drżenia mięśni na szczęcie.

-Wcześniej... byłam u ciebie - odezwała się niepewnie Barbara, przestraszona jego milczeniem. - Nie było cię w domu. Powiedziałam, że być może zobaczę się z tobą niedługo w Hyde Parku i Lomax dał mi ten list, żebym ci przekazała... - Coraz ciszej wypowiedane słowa w końcu zamarły i zapanowała cisza.

Barbara skurczyła się w sobie pod lodowatym spojrzeniem niebieskich oczu Marka.

- Czyżby? - rzucił z pozorną obojętnością. - Pomińmy fakt, że takie spotkanie było mało prawdopodobne. Jak możesz mi wyjaśnić to, że otwarłaś list adresowany do mnie?

Policzki Barbary przybrały odcień purpury.

- Mogło chodzić o jakąś bardzo pilną sprawę - odparła, starając się nadać głosowi przekonujące brzmienie. - Musiała być ważna, bo twojemu lokajowi bardzo zależało, żeby list został szybko doręczony - brnęła dalej, coraz odważniej, bliska uwierzenia w to, co mówi. - Nie znalazłam cię w Hyde Parku, więc uznałam, że powinnam otworzyć list i sprawdzić, czy przypadkiem nie ma potrzeby, bym dalej cię szukała.

Mark zaśmiał się ironicznie, uwalniając dłoń, której Barbara uczepiła się w nadziei, że zdoła go przekonać do swych rzekomo szlachetnych intencji.

- Jesteś intrygantką, Barbaro, poza tym, że masz inne wady. - Już w drzwiach, dodał: - Szkoda, że do tego doszło. Nie mam teraz czasu, żeby zostać dłużej, ale chyba już wiesz, co czuję. W każdym razie wiedz jedno: gardzę kłamcami i złodziejami.

Kiedy Mark wyskoczył z powozu przed domem Beaumontów, Tarquin zbiegł po schodach, jakby czekał na pojawienie się przyjaciela.

- Dzięki Bogu, że wróciłeś! Emily nie ma w domu, i to już od wczesnego popołudnia - wyrzucił z siebie, nie kryjąc zdenerwowania.

Mark poczuł strach. Spodziewał się, że właśnie to usłyszy i jednocześnie się tego obawiał.

- Rodzice jeszcze specjalnie się nie martwią, sądzą, że wybrała się do miasta ze swoją przyjaciółką Sarą Harper.

Często spędzają razem całe godziny. Sprawdźmy, czy nie ma jej u Sary. To niedaleko...

- Nie ma jej tam.

Mark bez namysłu rozwiązał nadzieje Beaumonta. Przejechał palcami po włosach, po czym wyjął z kieszeni list od Emily i podał Tarquinowi, który przesunął się pod blade światło gazowej lampy, żeby lepiej widzieć drobne litery.

- Niech to wszyscy diabli! Jenny miała rację! Użył właśnie takiego podstępu, o jakim wspominała. Spóźniliśmy się. Devlin ją dopadł - zakończył z pełnym grozy niedowierzaniem.

- Ale gdzie? Dokąd ją zwiabił? - W głosie Marka dało się wyczuć rozpacz.

Z całych sił starał się zachować spokój, ale nie przychodziło mu to łatwo. Wiedział jednak, że gniew mąci jasność myślenia, że zaślepiony złością nie zdoła pomóc Emily. List był dowodem, że mu zaufała. Między liniami powściągliwych słów wyczytał błaganie o pomoc w przypadku, gdyby się okazało, że Riley wcale nie miał dobrych zamiarów.

Zadzierając głowę, Mark posłał w stronę gwiazd wiązanek najgorszych przekleństw. Że też nie było go w domu, kiedy Emily się pojawiła! Przebywał w tym czasie w Enfield, zabierając jej brata z domku myśliwskiego. W udręce bezsilności zacisnął powieki, ale to nic nie pomogło; wciąż miał przed oczyma obraz cierpiącej Emily.

- Riley na pewno gdzieś się ukrył - powiedział Mark, z najwyższym trudem zmuszając się do trzeźwego myślenia. - Musiał podejrzewać, że Emily nigdzie z nim nie po-

jedzie, nie zostawiwszy wiadomości zaufanej osobie. Ma dość rozumu, by wiedzieć, że ta osoba rozpocznie poszukiwania, jeśli Emily nie wróci. - Mark zaczął przechadzać się tam i z powrotem, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie. - Devlin pewnie zadbał o to, żeby Emily została wywieziona do jakiegoś miejsca na uboczu. Bez Riley'a nie uda nam się go znaleźć.

- Jenny może mieć jaki pomysł co do kryjówki Riley'a - rzucił Tarquin z nagłym ożywieniem. - Możemy go tak przycisnąć, że powie, dokąd wywiózł Emily. - Jego chwilowy entuzjazm nagle się ulotnił. Obejrzał się za siebie, na rezydencję Beaumontów. - Do tej pory zbywałem pytania rodziców różnymi wykrętami. Ojciec zbyt mną pogardza, by w ogóle chcieć przebywać w mojej obecności, ale matka nie spuszcza mnie z oka. Trudno mi się będzie teraz wymknąć. Kiedy wychodziłem do ciebie przed dom, chwyciła mnie za surdut i próbowała wciągnąć z powrotem do środka. - Pokręcił bezradnie głową, wyobrażając sobie reakcję rodziców na wieść o grożącym ich córce niebezpieczeństwie. - Musimy sprowadzić Emily z powrotem, niezależnie od tego, co ten drań jej zrobił. Jeśli splamił jej honor, dopilnujemy, by nikt poza nami o tym się nie dowiedział.

- Nie dojdzie do tego! - wycodził Mark, spoglądając na Tarquina z posępną miną. - Musimy dopilnować, żeby do tego nie doszło.

Tarquin skwapliwie przytaknął, chcąc uspokoić przyjaciela. Już od jakiegoś czasu wiedział, że Mark ma słabość do jego siostry. Skupienie całej uwagi i energii na odkryciu

miejsca pobytu Emily wydawało się jedynym sensownym rozwiązaniem. Nie wiedząc, gdzie jej szukać, pozostawali całkowicie bezradni. Jednak, żeby przedsięwziąć jakiegokolwiek kroki zmierzające do celu, obaj musieli najpierw zapamiętać nad kipiącymi w nich gniewem i nienawiścią.

- Jeśli uda nam się wyrwać Emily z jego szponów, Devlin może z zemsty rozpuścić paskudne plotki - stwierdził Mark. - On wie, że to Emily ucierpi najbardziej w wyniku skandalu.

- Jeśli to zrobi, obetnę mu język! - zagroził Tarquin. - A potem wyrwę mu serce.

- Trzeba zachować opanowanie, dopóki Emily nie będzie bezpieczna - zauważył Mark.

Tarquin wskoczył do powozu i rozparł się na siedzeniu, jakby bojąc się, że Mark może nie chcieć, by mu towarzyszył.

- Nie mamy czasu do stracenia. Jedźmy do Jenny. Założę się, że wie coś na temat kryjówek Rileya. - Obejrzawszy się z lękiem na dom, dostrzegł matkę obserwującą ich zza firanki. - Ojciec mnie zabije, jeśli Emily stanie się krzywdą! - jęknął.

- On cię nie zabije. Ja to zrobię - oznajmił Mark, wsiadając do powozu.



## Rozdział trzynasty

- Zaplanowałeś wszystko bardzo drobiazgowo.

Emily uniosła kieliszek z czerwonym winem, ale jedynie nieznacznie zwilżyła wargi. Zamierzała za wszelką cenę zachować całkowitą trzeźwość umysłu. Uznała przy tym za korzystne, że Nicholas pije, ponieważ wprawiało go to w dobry humor i pozwalało jej udawać, że jest zadowolona z jego towarzystwa i gościnności. Zależało jej na tym, by nie zrodziły się w nim podejrzenia, że mogłaby uciec, a właśnie to planowała.

Po pierwszym szoku wywołanym faktem, że została porwana, Emily doszła do wniosku, że marnowanie energii na próżne narzekania byłoby co najmniej nierozsądne. Należało skupić się na szukaniu wyjścia z tej fatalnej sytuacji. Nie pozostawało jej nic innego, jak uciec się do podstępu, takiego, jaki zastosowano wobec niej.

Domyślała się, że musiało minąć kilka godzin, odkąd przybyła do domu wicehrabiego, ale nie potrafiła dokładnie określić czasu. Odniosła wrażenie, że poza nią i Ni-

cholasem w rezydencji przebywa jedynie dwoje służących: lokaj, który otworzył drzwi, i młoda pokojówka, która zaprowadziła Emily do pokoju, gdzie miała przygotować się do kolacji.

Mimo lęku i złości Emily była zadowolona, że może przez chwilę pobyc sama. Czuła się zmęczona i nieświeża po podróży bryczką Rileya, a musiała się zastanowić, zebrać w sobie cały spryt i odwagę, żeby obmyślić jakiś sposób obrony przed zakusami porywacza.

Pokój był dobrze ogrzany, a ciepła, przyjemnie perfumowana woda pomogła jej się odprężyć. Emily odprawiła pokojówkę, choć dziewczyna upierała się, by wyprasować jej pomiętą suknię i ułożyć włosy. Emily wcale nie miała ochoty dokładać starań, żeby się spodobać temu podstęp-nemu uwodzicielowi, który czekał na nią na dole.

Chciała pozbyć się służącej również dlatego, by móc rozzejrzeć się za ewentualną drogą ucieczki. Jednakże szybkie oględziny pokoju pozbawiły ją złudzeń: wszystkie okna były zaryglowane, a drzwi zamknięte na klucz od zewnątrz. Wraz z rozczarowaniem ogarnęła ją nowa fala lęku; gorące łzy zapiekły pod powiekami.

Od momentu, gdy Riley odjechał, zostawiając ją samą w wicehrabią Devlinem, nie traciła nadziei, że uda jej się wymknąć. Wyglądało jednak na to, że Nicholas dobrze wyszkolił służbę, jako że zarówno lokaj, jak i pokojówka najwyraźniej w pełni z nim współdziałali.

Nim dziewczyna wróciła, Emily zdołała poskromić w sobie odruch, który kazał jej szlochać i błagać o uwol-

nienie, poczuła się nawet trochę pewniej. Zachęcona przez pokojówkę umyła się wodą o zapachu lawendy i rozczesała włosy, związując je w luźny węzeł. Postanowiła zaprezentować się godnie, by jej prześladowca nie wyobrażał sobie, że udało mu się ją zastraszyć. Choć w środku cała się trzęsała, przysięgła sobie nie okazywać otwarcie lęku. Nie zamierzała spełniać jego życzeń. Kiedyś wierzyła, że Nicholas ją kocha, i okazała mu zaufanie, oddając mu swe ciało. Teraz gotowa była raczej walczyć do ostatniego tchu, niż pozwolić mu się choćby pocałować.

Schodząc za pokojówką na dół po wyłożonych miękkim dywanem schodach, Emily nie zwracała uwagi na otaczający ją zewsząd przepych. Myślami była przy rodzicach. Pocięszała ją myśl, że w ten wieczór wybierali się do opery. Jeśli wrócą późno, mogą pójść spać, nawet nie zauważysz, że łóżko ich córki jest puste. Istniała jeszcze szansa, że uda się oszczędzić im zmartwienia... i uniknąć skandalu. Musiała tylko wrócić do domu. Będzie to możliwe jedynie wtedy, gdy Mark odkryje, gdzie Devlin ją przetrzymuje i przybędzie na ratunek.

Postanowiła nie tracić ducha i wierzyć, że wszystko dobrze się skończy. Do tej pory Mark dostał jej wiadomość i z pewnością zaczął podejrzewać Rileyę, że wywiózł ją z miasta, kierując się niecznymi motywami. Mark pojedzie na Callison Crescent i nie wzbudzając niepotrzebnie czujności rodziców, dowie się, że nie wróciła do domu. Potem odszuka Rileyę i zmusi tego podłego sutenera, żeby się przyznał, dokąd ją wywiózł.



Nieco podniesiona na duchu, starała się zagłuszyć cichy wewnętrzny głos, uporczywie podsuwający jej jedno pytanie: „A co będzie, jeśli Mark nie odnajdzie Riley’a?”. Poza tym Mark mógł ucieść w starciu z tym łotrem. Istniała też możliwość, że jeszcze nie wrócił do domu i tym samym nie odebrał wiadomości. Prowadził bogate życie towarzyskie, a do tego miał rodzinę, przyjaciół i kochankę. Mógł w ogóle nie wrócić do domu na noc...

Emily, zapominając o postanowieniu zachowania wstrzeźliwości w picciu, przełknęła potężny łyk wina. Że też nie zastała Marka, kiedy do niego poszła! Szybko odstawiła kieliszek na stół, bojąc się, że kruche szkło rozprysnie jej się w palcach. Odetchnęła głęboko, starając się nie poddawać panice.

Zerknęła spod rzes na mężczyznę, siedzącego po przeciwnej stronie stołu. Najlepszym sposobem na powstrzymanie jego zakusów wydało jej się wciągnięcie go w rozmowę. Przyszło jej do głowy, że jeśli uda jej się wzbudzić w nim wyrzuty sumienia, może zdoła go nakłonić, by wrócił do żony.

- Sprawiasz wrażenie głęboko zadumanej, kochanie. Czyżbyś obmyślała plany ucieczki? - odezwał się Nicholas, skupiając wzrok na jej piersiach poruszanych przyspieszonym oddechem.

Emily aż się wzdrgnęła; brakowało tylko tego, żeby Nicholas czytał w jej myślach.

- Ucieczki? - Zaśmiała się, niedbale machając dłonią.  
- Wyobrażasz sobie, że miałabym biegać bez celu w chło-

dzie i ciemności? - Zdobyła się na drwiący ton, choć prawdę mówiąc, wolałaby błąkać się po nocy po obcym terenie, niż spędzać czas w towarzystwie wicehrabiego. - Ten dom należy do ciebie czy tylko wynająłeś go po to, żeby mnie uwieść? - Była z siebie dumna, że zachowuje spokój. Popatrzyła najpierw w jedną stronę, potem w drugą, udając, że podziwia stylowe urządzenie wnętrza skapanego w łagodnym świetle, bijącym od kominka. - Bardzo tu ładnie. Może powinno mi pochlebiać, że aż tak się dla mnie postarałeś?

Devlin zachichotał.

- Cieszę się, że pozostałaś dumna, nieustraszoną Emily. Żadnych łez, ataków hysterii... W głębi serca wiesz, kochanie, że my dwoje jesteśmy sobie przeznaczeni, prawda?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Nicholasie - przypomniała mu łagodnie, lecz stanowczo.

- Ta posiadłość jest jedną z wielu, jakie zyskałem przez małżeństwo. Stanowi część posagu mojej żony. Ale co to ma do rzeczy? Cieszę się, że ci się podoba, ponieważ będziemy z niej korzystać regularnie. Będzie naszym specjalnym miejscem schadzek. Być może, jeśli mnie zadowolisz, kiedyś ci ją podaruję. Skany Anula43, przerobienie pona.

- Jakże miło z twojej strony... Ale nie jestem pewna, czy aż tak mi się podoba - odparła sucho Emily. - Wątpię, czy twoja żona będzie zachwycona przeznaczeniem, jakie planujesz dla tego domu.

- Ten dom nie należy już do niej i nie będziemy więcej o niej mówić.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Emily. Czuła, że im dłużej będą rozmawiać o jego obowiązkach wobec rodziny, tym łatwiej uda jej się zniechęcić go do tego, co zamierzał zrobić. - Chyba nie zaprzeczysz, że masz żonę? I że wkrótce przyjdzie na świat wasze dziecko?

Nicholas ze złością odepchnął od siebie talerz tak gwałtownie, że Emily z przestachu upuściła widelec. Niestety, wyglądało na to, że ani trochę nie udało jej się go zmiękczyć.

- Domyślam się, że zamierzasz moralizować, a oboje wiemy, że akurat ty nie bardzo się do tego nadajesz.

- A ty nie bardzo nadajesz się do tego, żeby mi o tym przypominać.

Spodziewała się aluzji do tamtej jedynej nocy, gdy połączyła ich namiętność, i była przygotowana, by ją odparować. Mimo to zrobiło jej się niedobrze ze wstydu. Obmyślona wcześniej śmiała riposta utknęła jej w gardle.

- Przecież wiesz, że nie mam ci za złe twojej namiętnej natury, moja droga. - Nicholas zachichotał lubieżnie na widok jej ciemniejącego rumieńca.

- Byłam przekonana, że cię kocham, Nicholasie. Źle o tobie świadczy, że kpisz z moich najszczerzych uczuć. Gdybym wówczas nie była taka młoda i naiwna, wiedziałabym, że dla ciebie to była tylko zmysłowa przygoda. Kiedy szłam z tobą do łóżka, wierzyłam, że wkrótce będziemy małżeństwem.

- A ja szczerze żałuję, że nie mogliśmy nim zostać - przyznał otwarcie Nicholas. - Niestety, moja droga, wprawdzie skusiłaś mnie ciałem, ale nie miałaś odpowiedniego posta-

gu. - Uśmiechnął się krzywo. - Muszę ci powiedzieć, że za kilka tysięcy więcej mógłbym zrezygnować z dziedziczki...

- Wątpię - mruknęła z pogardą Emily. Jego nonszalancja tak ją rozzłościła, że zapomniała o strachu.

- Ja też - przyznał z beczelnym uśmiechem. - Kobieta warta trzydzieści tysięcy w gotówce i drugie tyle w nieruchomościach ma nieodparty powab dla mężczyzny o pustych kieszeniach.

- Oszukałeś mnie kłamstwami i fałszywymi obietnicami. Wcale nie zamierzałeś się ze mną żenić, prawda? - rzuciła mu w twarz.

W odpowiedzi Nicholas wzruszył ramionami, rozkładając przy tym ręce, co w jego pojęciu zapewne miało wystarczyć za przeprosiny.

- Nasze zaręczyny były fikcją. Oświadczyłeś mi się tylko po to, żeby mnie uwieść.

Nicholas westchnął z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Nie rób ze mnie drania pozbawionego wszelkich skrupułów. - Popatrzył na Emily. - Dojrzałaś do miłości, niewinna i jednocześnie namiętna, nie musiałem cię długo namawiać tamtej nocy.

Emily oniemiała z oburzenia, słysząc to brutalnie szczere wyznanie. Cóż, powinna wiedzieć, że Nicholas nie ma zwyczaju przejmować się tym, że może zranić czyjąś godność. Musiała w głębi duszy przyznać, że była nie tylko młoda, ale też wyjątkowo głupia, skoro nie poznała się na jego charakterze. Wątpliwą pociechę stanowiła świadomość, że nie tylko ona dała się nabrać na

kłamstwa Nicholasa. Gładką mową o miłości i honorze oszukał także jej rodziców.

- Przekonasz się, że teraz jestem zupełnie inna - oznajmiła chłodno. - Nie lubię cię, nie mówiąc już o jakichkolwiek mocniejszych uczuciach...

- Dosyć! - przerwał jej ostro. - Zamierzałem traktować cię czule, Emily... dzielić z tobą rozkosz...

- Jesteś głupcem, jeśli sądzisz, że ujdzie ci to na sucho - powiedziała spokojnie, choć dłonie zaciśnięte na kolanach spocły jej się ze zdenerwowania. - Jak chcesz wytłumaczyć się z tego, że porwałś kobietę i zmusiłeś ją do uległości? Rodzice na pewno niepokoją się o mój los. Przypuszczalnie zawiadomili odpowiednie władze. Zostaniesz aresztowany, gdy wszystko się wyda.

Nicholas parsknął lekceważącym śmiechem.

- A niby kto powie prawdę? Ty? Twoi rodzice? Z pewnością nie chcieliby, żeby nasz romans... obecny, lub ten z przeszłości... wyszedł na jaw. Twoja reputacja byłaby bezpowrotnie zrujnowana, a twój wstyd padłby cieniem na całą rodzinę. Kiedyś byłaś chętna. Któż by uwierzył, że teraz też się nie opierałaś? - Uśmiechnął się niemal współczująco. - Nie skłamiesz pod przysięgą, Emily, nie zaprzeczysz, że byliśmy kochankami. Musisz pogodzić się z tym, co nieuniknione. Los i szaleństwo twojego brata znów nas szczęśliwie połączyły.

- Który to dom? - Głos Marka Huntera brzmiał spokojnie, kiedy zwracał się do Jenny, ale w jego oczach ukazał się złowrogi błysk.

Rozejrzał się uważnie po najbliższej okolicy. W słabym świetle zdołał dostrzec tylko tyle, że Jenny sprowadziła ich do samego środka najpodlejszej dzielnicy Londynu.

Jenny siedziała wciśnięta w kanapę powozu pomiędzy Markiem a Tarquinem. Ruchem głowy wskazała na budynek, nieco mniej zapuszczony niż sąsiednie. W oknie na parterze paliła się lampa.

- Według mnie może tam. Gdy ma pieniądze, lubi zagrać w kości o wysokie stawki. Kiedyś już tu z nim byłam.  
- Popatrzyła na towarzyszących jej mężczyzn z widocznym niepokojem w dużych ciemnych oczach. - Uważajcie na siebie. Zwykle ma przy sobie oprychów gotowych na jego polecenie rozłupać człowiekowi czaszkę.

- Czyżby Riley sam nie umiał się bić? - rzucił drwiąco Tarquin.

Możliwość, że zostaną wciągnięci w bójkę, najwyraźniej nie zrobiła na nim większego wrażenia.

Jenny skrzywiła się z niesmakiem.

- Riley to tchórz. Bije tylko dziewczyny, które dla niego pracują. Ten złamany nos to pamiątka po laniu, jakie dostał od ojca w dzieciństwie za pyskowanie.

Tarquin uśmiechnął się pod nosem. Wyswobodził ramię z kurczowego uścisku Jenny i nakazując jej pozostać w powozie dopóty, dopóki nie wrócą, ruszył za Markiem w stronę wskazanego przez nią budynku.

- Jak wyskoczę, to będziesz miał problem.

- Ty też - odparł niedbale Mark, nawet nie patrząc na miotającego pogróżki mężczyznę.

Riley szarpnął oplatające go więzy.

- Jak mi się coś stanie, to nigdy jej nie znajdziecie.
- Jak jej nie znajdziemy, to stanie ci się dużo różnych rzeczy. Obiecuję - wycedził Mark przez zęby.

Z coraz większym trudem udawało mu się zachowywać zimną krew, jako że z każdą minutą wzbierał w nim coraz większy lęk o Emily. Od dawna znał Devlina jako bezwstydnego rozpustnika, ale nie przypuszczał, że jest zdolny do jeszcze gorszych postępków. Porywając Emily, wicehrabia dowiódł, że jest też bezwzględny przestępcą.

Jak daleko mógł posunąć się w zaspokajaniu żądz? Czy ośmieli się użyć przemocy, jeśli Emily odmówi pójścia z nim do łóżka dobrowolnie? A może ją upije, a potem bezradną i nieprzytomną zgwałci? Emily została więźniem Devlina, całkowicie zdany na jego łaskę, i mógł z nią zrobić, co zechce! Na myśl o torturach, jakie Emily musi przeżywać, Mark się wzdrygnął.

Kochał Emily Beaumont i chciał ją poprosić o rękę. Gdyby już byli zaręczeni, chroniłoby ją jego nazwisko. Devlin nie odważyłby się zażądać od niej nawet pocałunku, nie mówiąc już o czymś więcej.

Mark wiedział, że nigdy nie wybaczy sobie, jeżeli Emily coś się stanie. Ponaglił konie do szybszego biegu. Musiał ją odnaleźć, a tylko jeden człowiek mógł go do niej zaprowadzić. Był gotów użyć wszelkich sposobów, żeby go do tego zmusić. Zaczął od słownej perswazji, ale miał świadomość, że nie zawaha się przed niczym, gdyby to nie wystarczyło.

Ten łajdak zasługiwał na porządne lanie już za to, co zrobił Jenny, nie mówiąc o podłym spisku wymierzonym przeciwko Emily.

Gwałtownie odwrócił głowę i spojrział na swego pasażera z taką nienawiścią w oczach, że Riley aż skulił się w kącie powozu.

- Masz poważne kłopoty - powiedział Mark lodowatym tonem. - Będzie dla ciebie najlepiej, jak pomożesz naprawić zło, które wyrządziłeś panie Beaumont. Sędzia może uznać to za okoliczność łagodzącą i wymierzyć ci mniej surową karę.

- I tak zawisnę, jeśli Jenny zacznie gadać.

Rysy Marka stężyły na wspomnienie tego, co niedawno się *wydarzyło*.

Jenny nie usłuchała polecenia Tarquina i nie została w powozie. Wśliznęła się do tamtego domu prawdopodobnie po to, by wspomóc Tarquina i nie dopuścić do tego, by coś mu się stało. I wtedy wywiązała się bójka. Riley miał ze sobą dwóch osiłeków i kiedy Tarquin z Markiem z nimi walczyli, Mickey Riley dostrzegł Jenny, skradającą się w korytarzu. Domyśliwszy się, że to ona go wydała, dotkliwie ją pobił. Jenny padła na ziemię nieprzytomna, zanim Tarquin z Markiem w ogóle się zorientowali, że weszła za nimi do domu.

Podjąwszy błyskawiczną decyzję, Mark zostawił Tarquina przy krwawiącej żonie, a sam wrzucił związanego Rileya do powozu i ruszył w stronę granicy Surrey. Pozbawiony wsparcia ze strony rzezimieszków, Riley spuścił z tonu,



ale Mark wiedział, że ten przebiegły łotr zastanawia się, jak uciec.

- Jeśli chcesz skakać, to śmiało - odezwał się Mark. - Raczej od tego nie zginiesz, w każdym razie, nie od razu. Nie będę przejmował się twoimi połamanyimi kośćmi. Wystarczy mi, że będziesz w stanie mówić.

Riley dał upust wściekłości, kopiąc z całych sił w ścianę powozu, a potem z grobową miną wcisnął się w poduszki siedzenia.

Na rozstaju dróg Mark wstrzymał konie.

- Którędy?

Riley się nie odezwał. Kiedy Mark przysunął się do niego i powtórzył pytanie groźnym głosem, Riley tylko odwrócił głowę w prawo. Mark natychmiast znów pochwycił lejce, smagnął batem końskie grzbiety i powóz z wielką prędkością potoczył się dalej w ciemność.

Posiłek dobiegał końca, a wraz z nim możliwość przedłużania rozmowy. Emily czuła się wyczerpana i była spięta. Przyszło jej do głowy, że ugościwszy ją kolacją i winem, Nicholas przystąpi do tego, po co ją sprowadził do swojego domu na odludziu. Zacisnęła drżące palce na nożu, który ukryła w fałdach spódnicy. Miała nadzieję, że nie będzie musiała go użyć, ale też nie zamierzała potulnie pójść z nim na górę!

Och, gdzie się podziewał Mark? Dlaczego nie przybył jej na ratunek? Kiedyś wzbraniała się przed jego dotykiem, a teraz oddałaby wiele, by znaleźć się w jego mocnych, opiekuńczych ramionach.

Upuściła łyżkę, którą, nie myśląc o tym, co robi, mieszała w pucharku z deserem. Wykorzystując zadumę Emily, Nicholas wykonał pierwszy krok. Okrążył stół i stanął przed nią z miną drapieżnika. Nim zdążyła się podnieść z krzesła, pochylił się nad nią, uniemożliwiając jej jakikolwiek swobodny ruch.

Z gardłowym chichotem wyjął jej nóż z zaciśniętych palców; najwyraźniej przewidział jej taktykę obronną. Cmoknął kpiąco, odrzucając srebrny sztuciec na mahoniowy blat. Następnie chwytając Emily żelaznym uściskiem za nadgarstki, przysunął twarz do jej twarzy.

Odchyliła się, próbując uniknąć dotyku jego warg na szyi. Pocałunki nieprzyjemnie parzyły jej skórę. W końcu naparł na jej usta, zmuszając ją do rozchylenia warg, żeby mógł głębiej sięgnąć językiem.

Wiła się i wyrывała, ale jej wysiłki nie przyniosły żadnego skutku, wzbudziły jedynie kpiący śmiech Nicholasa. Uświadomiła sobie, że jej opór jeszcze bardziej go podnieca, a nie chciała dostarczać mu przyjemności.

Znieruchomiała, pozwalając mu pieścić szyję, i gorączkowo rozejrzała się po stole, szukając przedmiotu, który mógłby jej posłużyć za broń. Zatrzymała wzrok na wielkim srebrnym świeczniku. Stał wprawdzie w pewnej odległości, ale dzięki swemu ciężarowi mógł okazać się o wiele bardziej skuteczny niż naczynia z porcelany, znajdujące się w zasięgu jej ręki. Nóż, odrzucony przez Nicholasa, potoczył się dość daleko po gładkim blacie, za to tuż przy jej palcach wspartych na krawędzi stołu leżał widelec.

Starając się ukryć obrzydzenie, wytrzymała kolejny pocałunek, a kiedy Devlin zaczął dobierać się do zapięcia przy staniku jej sukni, przechyliła głowę z udawaną kokieterią.

- Naprawdę żałujesz, że nie ożeniłeś się ze mną, Nicholasie? - spytała zalotnie, jednocześnie nieznacznie przesuwając się w bok. - Chciałabym myśleć, że przynajmniej to jest prawdą.

- Oczywiście, że jest - rzucił niecierpliwie, przywierając gorącymi wargami do zagłębienia u nasady jej szyi.

Emily wykorzystała jego ruch, by przesunąć się jeszcze bliżej widelca.

- Nie mówisz tego tylko po to, żeby mnie łatwiej uwieść? - zapytała, starając się zyskać na czasie.

Nicholas uniósł głowę i spojrzał na Emily rozognionym wzrokiem.

- Powiedziałem, że wolałbym dzielić rozkosz z tobą, Emily - odparł zduszonym głosem. - Nie jestem z natury gwałtownym człowiekiem, ale... w razie potrzeby potrafię taki być. - Chwyił ją mocno za podbródek. - Pragnę cię... Muszę cię mieć. Dlaczego jesteś taka okrutna?

Pytanie zabrzmiało tak zaskakująco i niedorzecznie szczerze, że Emily z trudem powstrzymała pogardliwe parsknięcie.

- Bądź dla mnie miła, kochanie - wydyszał jej w twarz. - Wtedy ja będę miły dla ciebie. - Jakby na poparcie swych słów, delikatnie uszczypnął ją zębami w szyję.

- Obawiam się, że nie mogę, bo wzbudzasz we mnie

wstręt! - wykrzyknęła, chwytając ze stołu widelec i z całej siły wbijając mu go w udo.

Nicholas zawył i chwiejnie zrobił krok do tyłu. Zaczął gwałtownie masować udo. Tymczasem, wykorzystując chwilową swobodę ruchów, Emily podbiegła do świecznika i ujęła go obiema rękami.

- Trzymaj się z daleka, ty podły draniu, bo przysięgam, że cię nim zdzielię! - zawołała.

Nicholas natychmiast zapomniał o skaleczeniu.

- Ty mała dziwko - wycodził przez zęby. - Zapłacisz mi za to. - Wykrzywił usta w okrutnym grymasie. - Jeśli sądzisz, że świecznik cię uratuje, to jesteś po prostu głupia. - Zaczął się do niej powoli zbliżać; przy każdym jego kroku, Emily się cofała. - Przechodzisz wszelkie moje oczekiwania, moja droga. Możesz pokazywać pazurki, jeśli chcesz. Chętnie cię poskromię. Powinienem był cię uprzedzić, że właśnie to, pościg i zwycięstwo, lubię najbardziej ze wszystkiego.

Emily zbierała w sobie odwagę, by cisnąć w niego lichterzem, kiedy niespodziewany hałas kazał jej zawahać się i odwrócić głowę z nadzieją. Niestety, szybko się przekonała, że to tylko chwilowe odroczenie kary, nie wybawienie. W progu jadalni stanął lokaj; obojętny wyraz jego grubo *ciosanej* twarzy dowodził, że widok młodej kobiety, broniącej się za pomocą świecznika przed zalotami gospodarza, nie był w tym domu niczym wyjątkowym.

Nicholas, nie kryjąc wściekłości, rzucił kilka soczystych przekleństw, po czym niechętnie podszedł do służącego.

Lokaj z przeproszającą miną szeptem przekazał swemu

panu jakąś wiadomość. Nicholas kiwnął głową i udzielił mu ściszym głosem stosownych instrukcji.

- Wygląda na to, że pan Riley wrócił do nas z jakiegoś sobie tylko znanego powodu - odezwał się już głośno, z wyraźną irytacją. - Zechcesz mi wybaczyć, że cię opuszczę, moja droga, ale muszę wytłumaczyć temu durniowi, że nie jest tu mile widziany. - Uśmiechnął się do Emily wymownie. - Nie zostawię cię na długo, obiecuję, ale usiądź. - Znow sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego. Teatralnym gestem strzepnął jakiś pyłek z nieskazitelnie czystego rękawa. - Nie ma stąd ucieczki. Służba jest mi bardzo oddana. Dlatego może się odprężysz i dokończysz deser, czekając na mój powrót?

Nicholas polecił lokajowi, by nie wpuszczał Riley'a za próg, dlatego też musiał wyjść na ganek, żeby się z nim rozmówić.

- Czy masz jakieś dobre wytłumaczenie na to bezczelne najście, Riley?

- Ma - oznajmił zwięźle Mark, wyłaniając się z cienia. - Nie chce, żeby kula utkwiała mu w sercu. - Lufa pistoletu, trzymanego pewną dłonią, była wycelowana prosto w pierś sutenera. Mark nieznacznie przesunął rękę, tak że teraz obaj mężczyźni znaleźli się na linii strzału. - A co do ciebie, Devlin, wystarczy kula umieszczona strategicznie w innym miejscu. - Mark gestem dał do zrozumienia, że powinni wejść do domu.

- Może mi łaskawie powiesz, o co, do diabła, chodzi? - Wicehrabia rzucił Rileyowi mordercze spojrzenie.

- Myślę, że sam doskonale wiesz, o co chodzi, Devlin -

odpowiedział lodowatym tonem Mark. - Gdzie jest panna Beaumont?

Devlin oblizał wargi. Ani przez moment się nie spodziewał, że jakiś rycerz w lśniącej zbroi pojawi się nagle, by pokrzyżować jego plany uwiedzenia Emily.

- Chętnie namówię cię do rozmowy - zapewnił Mark.

- Mam dość amunicji, żeby wam obu utrudnić życie.

- Panna Beaumont je w tej chwili kolację, Hunter - wyjaśnił wicehrabia.

Gorączkowo próbował odgadnąć, co też skłoniło Marka Huntera do wtrącenia się w tę sprawę. Co prawda, Devlin wiedział, że przyjaźni się z Tarquinem Beaumontem, ale wyczuwał, że zainteresowanie Huntera losem Emily może mieć bardziej osobisty charakter. Nicholas zauważył też, że podkochuje się w niej ten sentymentalny Stephen Bond, ale nie przypuszczał, że ktoś taki jak Hunter ubiega się o względy Emily. Nadszedł czas, by oznaczyć swoje terytorium, nawet gdyby tym samym miał rzucić cień na honor Emily.

Uśmiechnął się do Marka porozumiewawczo.

- Musisz pamiętać, Hunter, że ja i ta dama byliśmy kiedyś zaręczeni. Wprawdzie nic z tego nie wyszło, ale nadal za sobą przepadamy. - Rozłożył ręce w geście poddania.

- No tak, wygadałem się. Teraz już znasz nasz sekret. Sytuacja jest bardzo delikatna, ale obaj jesteście ludźmi światowymi. Wiem, że nigdy umyślnie nie zrujnowałbyś małżeńskich szans nieszczęsnej starej panny, mówiąc komukolwiek choćby jedno słowo na ten temat.

- Nie, ale ty owszem, zrobiłbyś to, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, jakie to będzie miało dla niej i jej rodziny - odezwała się niespodziewanie Emily.

Wyszła z jadalni tuż za Nicholasem. Był tak pewien lojalności i czujności służby, że nie trudził się zamykaniem drzwi na klucz. Oddychając z ulgą na widok Marka, szybko do niego dołączyła.

Natychmiast otoczył ją wolnym ramieniem i przygarnął czule do siebie. Druga ręka, trzymająca pistolet, nawet mu nie drgnęła.

Devlin przyglądał się stojącej przed nim parze zmrużonymi podejrzliwie oczyma. Emily tak swobodnie wtuliła się w objęcia Marka Huntera, jakby to nie była dla niej nowość. Uśmiechnął się krzywo.

- Może wy dwoje też skrywacie sekrety - zaczął, ale Mark nie pozwolił mu dokończyć.

- Wiem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że od razu wyruszymy w drogę. - Na moment przeniósł wzrok na Riley'a, a potem znów zwrócił się do wicehrabiego: - Domyślam się, że wy dwaj macie sobie to i owo do wyjaśnienia. - Nie opuszczając wymierzonej broni, poprowadził Emily.

- Pewnie myślisz, że jesteś bardzo sprytny, bo mnie wykiwałeś - powiedział Devlin, patrząc z bezsilną wściekłością, jak Emily wymyka mu się z rąk.

- Nie, wcale nie - odparł spokojnie Mark. - Myślę, że ty jesteś bardzo głupi, bo sądziłeś, że ujdzie ci na sucho taka niegodziwość.

Znienacka uniósł pistolet i wypalił w kierunku łańcucha, na którym wisiał płonący jasno żyrandol. Ciężka konstrukcja z brązu i kryształów uderzyła z hukiem o podłogę, a w holu zapadła ciemność. Mark objął mocniej Emily i szybko wyprowadził ją z domu.



## Rozdział czternasty

- Wiedziałam, że nie zostawisz mnie w potrzebie.
- Cieszysz się, że przybyłem?

Emily popatrzyła na swego wybawcę z pewnym zdziwieniem. Uważała, że tonem głosu jednoznacznie wyraziła radość i wdzięczność. Pytanie Marka wydało jej się nie na miejscu.

- Nie widziałeś, jaką przyjemność i ulgę sprawił mi twój widok? - obruszyła się.

- Zważywszy na okoliczności, raczej nie powinnaś być rozczarowana. Wprawdzie byłaś zaręczona ze swoim porwaczem, niemniej jednak twoja reputacja była mocno zagrożona.

- Co masz na myśli? - rzuciła ostro. Czowała się wyczerpana burzliwymi wydarzeniami tego dnia, ale nagle złość ponownie ją ożywiła. - Sądzisz, że byłam zadowolona z tego, że wicehrabia uknuł spisek, żeby mnie porwać?

- Wydaje mi się, że kiedyś byłabyś zadowolona, zostając jego żoną.

Emily wytrzymała nieugięte spojrzenie Marka. Tak bardzo urósł w jej oczach, że zaczęła się obawiać, że polubi go bardziej niż powinna. Stał się jej bohaterem, mężczyzną, w którym pokładała wszelkie nadzieje. Wierzyła, że przyjdzie jej z pomocą, i jeszcze przed momentem uważała, że w pełni sprostają jej oczekiwaniom. Musiała w głębi duszy przyznać, że poruszył jej serce... i ciało... tak, jak jeszcze nie udało się to żadnemu mężczyźnie, nawet Nicholasowi.

A teraz jednym zdaniem wszystko to zniszczył. Sprawił, że przypomniała sobie, że jeszcze niedawno nawet go nie lubiła, nie mówiąc o głębszym uczuciu. Nagle zrobiło jej się bardzo smutno.

- To prawda, że byliśmy z Nicholasem zaręczeni wiele lat temu - odezwała się w końcu. - Teraz on jest żonaty. Mam nadzieję, że nie sugerujesz, iż mogłabym przychylnie traktować awanse żonatego mężczyzny.

- A gdyby nie był żonaty?

- To bez znaczenia - odparła Emily szybko.

- Devlin wspomniał, że nadal za sobą przepadacie.

- Nie miał prawa mówić takich rzeczy! To kłamstwo! - wykrzyknęła ze złością Emily. - Nienawidzę go i nie wierzę, żeby on mnie lubił. Gdyby żywił dla mnie choć odrobinę szacunku, nie potraktowałby mnie w taki sposób. Poza tym nie sędzę, żeby to była twoja sprawa. - Emily nagle zamilkła i zaczęła skubać rękaw sukni. - Zaspokoiliam twoją ciekawość tylko dlatego, że zadałeś sobie wiele trudu, żeby mi pomóc. - Głos miała zduszony z emocji, oczy błyszczały jej od powstrzymywanych łez.

Kiedy pędzili co koń wyskoczy w stronę Londynu, w pewnym momencie Mark zapytał, czy nie jest jej zimno, i zaproponował krótki postój. Jak przystało na dżentelmena, okazał troskę o jej wygodę, ale Emily wyczuła, że jest w melancholijnym nastroju. Przewidywała, że będzie ją wypytywał, może nawet zgani za to, że narażała się na niebezpieczeństwo, wyjeżdżając z miasta sam na sam z Rileyem. Nie spodziewała się natomiast, że zapanuje między nimi taka dziwna atmosfera, jakby rozdzieliła ich niewidoczna bariera. Wszystkie jej próby nawiązania rozmowy zbywał monosylabami, aż w końcu zamilkła na dobre. Z początku wyobrażała sobie, że Mark jest skupiony na tym, by uciec przed ewentualnym pościgiem. Później jednak przyszło jej do głowy, że odpowiada mu dystans, jaki się między nimi wytworzył.

Od czasu gdy zjednoczyli siły, by wspólnie rozwiązać zagadkę zniknięcia Tarquina, przyzwyczała się do tego, że kiedy na nią patrzył, z jego niebieskich oczu wycierała wesołość albo pożądanie. Teraz zachowywał się zupełnie inaczej: był nienagannie uprzejmy, ale myślami nieobecny. Wcale jej się to nie podobało. Pragnęła, żeby dodał jej otuchy ciepłym słowem i uściskiem mocnych ramion. Pragnęła jego uwagi i czułości...

- Przepraszam, Emily, nie chciałem cię zdenerwować.

Mark przejechał dłonią po czole, na którym pomiędzy brwiami rysowała się głęboka pionowa bruzda. Czuł się winny, że pozwolił sobie na snucie niedorzecznych podejrzeń. Od chwili gdy odkrył, że Emily została zwabiona

przez Riley'a do domu tego niegodziwca Devlina, zamartwiał się o jej bezpieczeństwo. A teraz, zamiast cieszyć się, że jest przy nim cała i zdrowa, zachowywał się jak zazdrosny bufon.

Emily dość już wycierpiała tego dnia, a on jeszcze dokładał jej zmartwień. Wyciągnął rękę i objął jej drżące palce.

- Nie miałem prawa mówić tego wszystkiego ani wypytować cię o przeszłość. Wybacz mi...

Emily nadal milczała. Mark z ciężkim westchnieniem odchylił się na oparcie.

- Przez wiele godzin umierałem ze strachu, co ten drań może ci zrobić - zaczął cicho. - Devlin próbował zbagatelizować całą sprawę. Dał mi do zrozumienia, że wcale nie działał wbrew twojej woli i w tajemnicy jesteś jego kochanką... Rozwścieczył mnie. - Znów przejechał dłonią po twarzy. - Wiem, jestem głupcem, skoro mogłem zakładać, że choć jedno słowo wypowiedziane przez tego łajdaka może być prawdą.

Uspokojona tymi wyjaśnieniami Emily przekreśliła rękę w jego uścisku, tak że wewnętrzne strony ich dłoni zetknęły się ze sobą.

- Tak się cieszyłam, że po mnie przyjechałeś - powiedziała.  
 - Przetrawiałam to wszystko tylko dzięki jednej myśli: że zaraz przybędziesz, żeby mnie uratować. - Zaciśnęła lekko palce na jego silnej smukłej dłoni, jakby dla podkreślenia swoich słów.  
 - Modliłam się, żebyś na czas otrzymał wiadomość i domyślił się, dokąd Riley mnie wywiózł. Gdybym utraciła nadzieję i zaufanie do ciebie, chyba nie znalazłabym w sobie siły, żeby

stawić opór Nicholasowi. - Głos jej zadrżał, przycisnęła rękę do ust, żeby powstrzymać szloch. - Wbiłam mu widelec w nogę, żeby mnie puścił, i miałam właśnie rzucić w niego świecznikiem, kiedy się zjawiłeś.

Mark zachichotał cicho, po czym podniósł jej palce do ust i delikatnie ucałował.

- Devlin nigdy na ciebie nie zasługiwał.

Ton głosu Marka nie pozostawiał wątpliwości, że ma na myśli nie tylko jej desperacki atak z użyciem świecznika.

Ostrożnie, jakby z ociąganiem wyswobodził dłoń z jej miękkich palców.

- Wypij, doda ci sił. Mamy do przejechania jeszcze wiele mil. - Podsunął jej kubek z pachnącym korzeniami trunkiem.

Emily podziękowała mu uśmiechem i z wdzięcznością uniosła do ust wino. Rozejrzała się szybko po przytulnym wnętrzu, w którym siedzieli.

Nie mogli bezpiecznie przejechać całej drogi, nie dając koniom odpoczynku i wody. Zatrzymali się więc w przydrożnej gospodzie Pod Różą i Koroną. W głównym pomieszczeniu z barem kłębił się hałaśliwy tłum, dlatego Mark wynajął osobny pokój. Właściciel - jowialny typ z piracką kłapką na jednym oku, wyglądającą trochę niedorzecznie w miejscu tak mocno oddalonym od morza - zaprowadził ich do niewielkiego saloniku na tyłach gospody. Wiodąc ich przez wąskie korytarze, wylewnie przeproszał, że nie może im udostępnić najlepszego apartamentu, ale ten zajęła wcześniej rodzina podróżująca do Guildford. Obiecywał

przy tym, że pokój, z którego będą mogli skorzystać, także jest wygodny i rzeczywiście taki się okazał. Choć niewielki, był czysty, schludny i odpowiednio umeblowany. Kiedy rozsiedli się w fotelach ustawionych naprzeciw płonącego kominka, Mark zapewnił Emily, że za godzinę znów podejmą podróż i dotrą do Mayfair przed północą.

Emily była zadowolona, że zdecydowali się na postój. Odkąd wyruszyli spod domu Devlina, gnali tak prędko, że właściwie nie mieli okazji spokojnie porozmawiać. Po ostatniej wymianie zdań Emily nie była pewna, czy woli zachować przyjazne milczenie, czy jednak domagać się odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Wyglądało na to, że rozmowa nieuchronnie będzie prowadziła do sprzeczki. Niemniej jednak musiała pilnie poruszyć kilka ważnych spraw.

Co się działo z Tarquinem? Co czekało Riley'a i wicehrabiego Devlina? Mark powiedział, że Nicholas zapłaci za to, czego się dopuścił, i słusznie. Jego niegodziwy postępek zasługiwał na surową karę. Czy to miało oznaczać, że wybuchnie skandal? Nie, tylko nie to! Nie chciała, by rodzice niezasłużenie cierpieli za głupotę córki i wyrodnego syna.

Mark wpatrywał się w pobladłą ze zmęczenia twarz Emily, widział malujące się na niej emocje. Złocistorudy kosmyk wysunął się z węzła na karku i miękko przyłgnął do gładkiego policzka. Była senna, powieki miała opuszczone, cień długich rzęs nie pozwalał mu zobaczyć wyrazu jej oczu.

Mark za wszelką cenę potrzebował usłyszeć odpowiedzi na pytania, które bezlitośnie go dręczyły. Wicehrabia pod-

stepnie zwabił Emily do swego domu, za co była na niego wściekła. Ale czy kiedyś dobrowolnie została kochanką Devlina? A jeśli tak, to czy udałoby mu się znów ją namówić, by zgodziła się z nim współżyć?

Mark sięgnął po kieliszek, zawstydzony, że ogarnęło go pożądanie. Mimo utrudzenia Emily wyglądała niezwykle ponętnie, tak piękna i bezbronna, że nie powinna przebywać sam na sam z mężczyzną, który jej pragnął tak mocno jak on. Pomimo wcześniejszych nieporozumień i spięć wiedział, że mu ufa i czuje się przy nim bezpieczna, lecz nie potrafił wyzbyć się lubieżnych myśli.

Podejrzewał, że nie jest tak niewinna, jak powinna być panna z dobrego domu. Jak daleko sięgało jej doświadczenie? Czy Devlin już kiedyś odebrał jej dziewictwo, czy też jego diabelski spisek miał na celu dokończenie tego, co rozpoczął przed laty?

Mark gwałtownie poderwał się z fotela i podszedł do okna. Oparł się o framugę i utkwiał wzrok w ciemności, starając się okiełznać niesforne myśli. A gdyby tak ją pocałował, a ona poddała mu się ze słodką bezwolnością tak jak poprzednio... Czy byłoby w tym coś złego? Znajdowali się daleko od domu i wścibskich spojrzeń, więc gdyby nie miała nic przeciwko... Na górze były wolne pokoje...

- Jesteś głodna? Chciałabyś coś zjeść? - odezwał się zniechęcony.

Zaczął się przechadzać tam i z powrotem, żeby rozluźnić napięte mięśnie.

- W ogóle nie jestem głodna. Zjadłam kolację z Nicho-

lasem. - Emily zauważyła, że na wzmiankę o wicehrabim Mark natychmiast spochmurniał. Pośpieszyła z wyjaśnieniem: - Z początku uznałam, że najlepiej będzie wprawić go w dobry humor, przyjmując jego gościnność w oczekiwaniu na ciebie.

Pochylając głowę, przytknęła do ust kubek z grzany winem. Kątem oka widziała, jak Mark zamaszystym ruchem sięga po karafkę i dolewa sobie brandy.

- Bardzo rozsądnie - uznał z ledwie wyczuwalną nutą ironii w głosie. Jego opróżniony kieliszek ze stuknięciem wylądował na stole.

- Nadal jesteś na mnie zły? - spytała cicho Emily. Uśmiechnęła się niepewnie. - Wiem, że sprawiłam ci wiele kłopotu i pochopnie zgodziłam się pojechać z Rileyem. Głupio ryzykowałam. W pełni zdaję sobie z tego sprawę już po fakcie, bo miałam czas się nad tym zastanowić. Ale wtedy naprawdę myślałam, że Tarquinowi coś grozi i że mnie potrzebuje. - W zamyśleniu przesunęła smukłym palcem po krawędzi kubka. - Byłam przerażona, że mój brat może umrzeć w samotności zziębnięty i głodny. - Przygryzła drobnymi, równymi zębami dolną wargę. - Nie miałam pojęcia, jak powinnam postąpić, dlatego próbując się z tobą skontaktować, przyszedłam do twojego domu. - Westchnęła, kręcąc głową. - Miałam nadzieję, że cię zastanę i coś mi poradzisz. - Dopijała resztkę wina, odstawiała kubek i popatrzyła Markowi w oczy. - Właściwie to nie do końca jest prawda. Nie chciałam twojej rady. Chciałam, żebyś zdjął ze mnie ciężar i załatwił tę sprawę za mnie.



- I zrobiłbym to, przysięgam, Emily - zapewnił Mark. - Nie mam pretensji do ciebie, ale jestem zły na Devlina i Rileya, a także na twojego brata, który spowodował całą tę katastrofę. Na siebie też jestem zły.

Emily chciała przerwać te gorączkowe wyznania, ale gestem poprosił ją, by milczała.

- Nie mówmy dziś o tym. - Przesunął długi palcem po jej policzku, odgarniając za ucho zabłąkany kosmyk. - Jesteś bezpieczna, i to jest najważniejsze. - Odchylił jej głowę lekko do tyłu. - Jesteś zmęczona i spięta, co naturalne, zważywszy na to, co przeszłaś. Gdyby nie był to wystarczający powód, by natychmiast odwieźć cię na Callison Crescent, to jest jeszcze twoja rodzina, o której należy myśleć. Musimy tam jechać i mieć nadzieję, że nie zauważono twojej nieobecności. - Zmarszczył czoło. - Bóg jeden wie, jakich trzeba będzie wymówek, jeśli twoi rodzice jednak odkryli, że nie ma cię w domu. - Mark pomógł Emily wstać z fotela, a potem delikatnie okrył jej ramiona płaszczem. - Jesteś gotowa? Najwyższy czas, żebyśmy ruszali w dalszą drogę.

- Pan Hunter?

Mark stanął jak wryty, słysząc swoje nazwisko wypowiedziane nienaturalnie modulowanym kobiecym głosem. Powoli odwrócił głowę. Zobaczywszy, z kim ma do czynienia, cicho zaklął pod nosem, choć wyraz jego twarzy pozostał nieporuszony.

Emily szła przed Markiem. Nagle zamarła, ponieważ

i ona rozpoznała charakterystyczny wyniosły ton. Jeszcze zanim zduszone przekleństwo Marka dotarło do jej uszu, wiedziała, że po raz kolejny tego dnia znalazła się w bardzo trudnym położeniu. Oparła się dłonią o ścianę, żeby ustać na drżących nogach.

- Wydawało mi się, że pana rozpoznałam, sir. - Violet Pearson w pełnej krasie stanęła na progu reprezentacyjnego salonu gospody Pod Różą i Koroną. Broniąc się przed chłodem, ściślej otuliła się szalem. Rozbudzona ciekawość nie pozwoliła jej jednak wrócić do środka, ogrzanego grubymi polanami płonącymi w kominku.

Kiedy jej syn Bertie poszedł na górę, żeby położyć się spać, nie zamknął za sobą dokładnie drzwi. Violet rzuciła wymowne spojrzenie mężowi, ale pan Pearson akurat w tym momencie przysnął w fotelu. Violet wołała więc sama się pofatygować, niż znosić dokuczliwy przeciąg. I nie pożałowała, bowiem znalazłszy się przy niedomkniętych drzwiach, zauważyła przez szparę coś doprawdy bardzo ciekawego.

Kobieta i mężczyzna, których zobaczyła na korytarzu, wydali jej się znajomi. Odniosła też wrażenie, że ci dwoje są w sobie zakochani. Nie żeby podpowiadało jej to doświadczenie. Przeciwnie, raczej ubolewała, że nie łączy jej z panem Pearsonem ten rodzaj intymnej zażyłości.

Violet od razu zwietrzyła skandal, bo choć nie miała okazji dobrze przyjrzeć się młodej damie towarzyszącej panu Hunterowi, to jednak dostrzegła rude loki wystające spod czepka. Widziała też przez moment klasyczny profil

i zgrabną smukłą figurę, a niewiele kobiet mogło pochwalić się tak kształtną sylwetką i taką gracją ruchów. Naturalnie nigdy by otwarcie nie wyraziła uznania dla urody tej dziewczyny ani jej samej, ani jej matce. Zatem czy mogła to być panna Emily Beaumont?

Violet wiedziała, że Mark Hunter i Tarquin Beaumont przyjaźnią się, istniał więc pewien związek pomiędzy Emilią a Markiem. Niemniej jednak wydawało się dziwne, że ci dwoje znajdują się o dziesiątej wieczorem w gospodzie w połowie drogi do Guildford. Może panna Beaumont podróżowała z kimś z rodziny, kto w tym momencie znajdował się w innej części budynku... A może nie...

Bujna wyobraźnia Violet pracowała na pełnych obrotach. Pociągła twarz zaczerwieniła się z podniecenia. Widząc, że Mark Hunter, odkłoniwszy się jej powściągliwie, zmierza do drzwi i zaraz zniknie jej z oczu, Violet doszła do wniosku, że musi działać szybko.

Postanowiła go zatrzymać.

- Co za przypadek, że spotkaliśmy się akurat tutaj, sir!  
- zawołała piskliwie, podążając jego śladem. - Czyżby pan jechał, tak jak my, na festiwal w Guildford? W zeszłym roku było wspaniale, ta orkiestra i cudowne śpiewy.

- Nie, proszę pani - przerwał jej Mark szorstko, starając się ukryć irytację. - Podróżuję w przeciwnym kierunku, do Londynu.

Violet Pearson nie dała się zniechęcić zdawkową odpowiedzią i ponurą miną rozmówcy. Skradała się korytarzem, wysuwając głowę do przodu, żeby lepiej dojrzeć piękną

młodą kobietę, którą częściowo zasłaniały szerokie ramiona Marka Huntera.

Zdawała sobie sprawę, że Mark umyślnie stara się ukryć przed nią swą towarzyszkę, i to jeszcze podsyciło jej ciekawość. Czyżby miała wrócić do miasta bogatsza o pikantną opowieść o rodzinie swoich wrogów? Oczy jej rozbłyły, podniecona przejechała językiem po wargach, jakby już smakowała swe zwycięstwo nad Penelope Beaumont.

Mark dyskretnie nakłonił Emily do przyspieszenia kroku. W lot pojęła, o co mu chodzi; opuściła też głowę, żeby daszek czepka lepiej osłaniał jej twarz.

Nie docenili Violet, która wspięła się na palce i z całych sił wyciągnęła szyję. Wysiłek się opłacił, bo w końcu zdołała zajrzeć poza rozłożyste ramiona Marka, wypełniające prawie całą szerokość korytarza.

- O... panna Beaumont, prawda? - wycedziła z fałszywą słodyczą. - Jakże się pani miewa, moja droga? A pani mama? Jest tu z panią?

„ Emily przez chwilę stała bez słowa, jak zamurowana. W głowie kołatała jej jedna myśl: że jest beznadziejnie, nieodwracalnie skompromitowana. Wreszcie odwróciła się wolno, żeby spojrzeć w rozpromienioną niespodziewanym szczęściem twarz pani Pearson.

- Nie, nie ma jej - odparła lekko drżącym głosem.

- Ach tak... Rozumiem... - mruknęła znacząco Violet Pearson. Wręcz nie posiadała się z radości. - Pewnie pani słyszała, jak mówiłam do pana Huntera, że jedziemy na festiwal do Guildford. Pani też tam się wybiera? A może wraca pani

do Londynu, podobnie jak pan Hunter? - Nim Emily zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Violet podjęła lepkim od jadu głosem: - Skoro nie ma tu pani rodziców, to rozumiem, że towarzyszy pani brat. Bez wątpienia Tarquin jest gdzieś w pobliżu. - Rozejrzała się z przesadnym ożywieniem, jakby oczekiwała, że brat Emily czai się gdzieś w kącie. - Oczywiście zdaję sobie sprawę, że przecież nie przebywałaby pani tu sama z panem Hunterem... prawda?

- Panna Beaumont podróżuje ze mną - wtrącił Mark. Zmierzył wścibską kobietę ironicznym spojrzeniem. - Życzę dobrej zabawy na festiwalu.

- O, tak, będziemy doskonale się bawić - zapewniła go Violet.

Uśmiechając się przebiegle, uniosła rąbek spódnicy w geście, który miał przypominać ukłon. Nawet podmuch zimnego powietrza od drzwi nie wygnał jej z powrotem do salonu. Jeszcze przez dłuższą chwilę po wyjściu Emily i Marka stała w przeciagu, a na jej twarzy malował się wyraz bezbrzeżnego zachwytu.

- Ta złośliwa jędza z radością narobi kłopotów mojej rodzinie. - Emily z rozpaczą ukryła twarz w dłoniach. - Och, że też w ogóle wychodziłam dziś z domu! Wydawało się, że już nie może być gorzej, a tu proszę!

Powóz pędził w ciemnościach w stronę Londynu. Mark przełożył lejce do jednej ręki, by drugą objąć Emily za szczupłe ramiona i przyciągnąć do siebie. Jednocześnie pogładził ją palcem po chłodnym policzku. Podniesiona na

duchu czułym gestem Emily przytuliła się do Marka i objęła go w pasie. Zaciśnęła mocno powieki, broniąc się przed wiatrem i wzbierającymi łzami.

- Spokojnie - szepnął Mark. - Zrobiłaś to, co uważałaś za najśluszniejsze, a twój brat jest szczęściarzem, że ma tak oddaną i troskliwą siostrę. - Zachęcił ją, żeby oparła głowę na jego ramieniu.

Emily skwapliwie wtuliła twarz w miękką tkaninę.

- Chciałam tylko chronić rodziców przed dalszymi zmartwieniami. I zobacz, do czego doprowadziłam! Przecież mnie mają dziesięć razy więcej kłopotów! - Żałośnie pokręciła głową. - Syn lekkoduch to jedno. Ludzie bez trudu przełkną najdziksze wybryki niesfornego młodzieńca, ale nie darują bezwstydnego zachowania jego niezamężnej siostrze.

- Spokojnie. - Pochylił się nad nią i dotknął wargami jej ust. Smakowały słodko. Oderwał się od nich z trudem, żeby znów skupić uwagę na drodze pogrążonej w ciemnościach.

- Nie jest aż tak źle. Jeszcze da się wszystko naprawić.

- Dobrze wiesz, że istnieje na to tylko jeden sposób. - Emily zachichotała histerycznie. - Musielibyśmy ogłosić, że zamierzamy się pobrać. Jestem przekonana, że wiesz o mnie stanowczo za dużo, żeby kiedykolwiek tego zechcieć.



## Rozdział piętnasty

- Jesteś samolubnym draniem!

- Wiem, przepraszam - wymamrotał Tarquin, ze wstydem wpatrując się w swoje paznokcie.

Nagle pochylił się nad stołem i chwycił dłonie siostry, pokazując, jak bardzo zależy mu na przyjęciu przez nią przeprosin.

Emily cofnęła się gwałtownie i skrzyżowała ręce na pierśsiach, jakby nie życzyła sobie, żeby jej dotykał.

- Zdajesz sobie sprawę, jakiego bałaganu narobiłeś?

Machnęła ręką, co miało podkreślić beznadziejność sytuacji. Następnie z rozpaczą odchyliła głowę.

Oczywiście znała odpowiedź na to pytanie. Tarquin nie miał pojęcia o rozmiarach nieszczęścia, jakie wynikło z jego głupoty. Najgorsze ze wszystkiego było niefortunne spotkanie z Violet Pearson i skutki, jakie mogły wynikać z jej gadatliwości oraz zamiłowania do plotek. Emily miała bratu dużo do powiedzenia i musiała go wypytać, ale na razie złość nie pozwoliła jej z nim

spokojnie rozmawiać. Z ciężkim westchnieniem sięgnęła po dzbanek z kawą. Napełniła filiżankę i napiła się mocnego, aromatycznego naparu.

- Powiedziałeś już rodzicom, jaki był prawdziwy powód twojej ucieczki? Wcześniej czy później i tak wszystko się wyda. Nie możesz w nieskończoność trzymać żony w ukryciu.

Ostatnie zdanie Emily wypowiedziała szeptem, jednocześnie zerkając trwożliwie w stronę drzwi. Miała nadzieję, że nikt ich nie słyszy.

Matka bez wątplenia leżała jeszcze w łóżku, jako że zwykle wstawała nieco później. Natomiast po ojcu można było się spodziewać, że wyszedł już z domu załatwiać swoje sprawy, ponieważ wstawał wcześniej niezależnie od tego, jak późno się położył. Jednak służba często kręciła się wokół schodów i po różnych zakamarkach parteru.

Emily jeszcze raz podziękowała w duchu opatrności za to, że udało jej się poprzedniego dnia dotrzeć do domu tuż przed tym, nim rodzice wrócili z opery. Była w połowie schodów, gdy usłyszała chrobot przekręcanego klucza, a po nim ich wesołą rozmowę w holu.

Mimo zmęczenia pędem pokonała resztę stopni, żeby jej nie zauważyli. Chowając się za balustradą, sennym głosem życzyła im dobrej nocy, jakby czekała z udaniem się na spoczynek tylko po to, by ich pożegnać. Już leżąc w pościeli, zawstydziała się swojego podstępu, który nagle wydał jej się bardzo głupi. Ostatecznie, jeśli Violet Pearson zrobi to, do czego z pewnością aż się paliła, szalona eskapada Emi-



ly z Rileyem i tak wyjdzie na jaw, niezależnie od wszelkich aktorskich sztuczek.

Skierowała uwagę z powrotem na brata. Nadal czekała, żeby usłyszeć od Tarquina, czy przyznał się rodzicom do swego skandalicznego małżeństwa.

- Jenny nie żyje - wyjął zgnębiony Tarquin. Po chwili dodał spokojniej, niemal rzeczowo: - I tak naprawdę wcale nie była moją żoną.

Emily po omacku odstawiła filiżankę na spodeczek, otwierając usta ze zdumienia.

- Jenny nie żyje? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Mówisz, że wcale się z nią nie ożeniłeś? - Ścisnęła skronie tak mocno, że palce wycisnęły wgłębienia na skórze. - To wszystko było niepotrzebne? Przez cały czas podejrzewałeś, że całe to małżeństwo jest idiotycznym żartem?

- Nie! Wierzyłem, że zostaliśmy legalnie poślubieni, przysięgam. - Tarquin zakrył usta dłonią zwinioną w pięść, żeby ukryć ich drżenie.

Dopiero po dłuższej pauzie, opanowawszy się nieco, przedstawił Emily okoliczności śmierci nieszczęsnej Jenny, która zginęła z rąk Riley'a. Odchrząkując raz po raz, powiedział zduszonym głosem:

- Jeremia Plumb rzeczywiście jest duchownym, choć to trochę szemrany typ. Wszystko wydawało się zgodne z prawem. Małżeństwo oczywiście zostało skonsumowane... - Tarquin zamrugał nerwowo powiekami i zaczerwienił się, przypomniawszy sobie, że zwraca się do niezamężnej siostry.

- Mów dalej - ponagliła go Emily, zbywając niedbałym machnięciem jego niezręczne przeprosiny.

- Jenny odzyskała przytomność tylko na chwilę po tym, jak Mark wyruszył, by cię ratować. Przed śmiercią wyznała mi, że nie jestem jej jedynym mężem. To był, ma się rozumieć, pomysł Riley'a, żeby zrobić z niej bigamistkę. Myślę, że kiedyś była w nim zakochana, ale z czasem przekonała się, iż ma do czynienia z podłym, chciwym draniem. - Tarquin odchylił się na krześle. - Riley'owi udało się wyłudzić pieniądze także od innych mężczyzn, których wmanewrował w ślub, kiedy byli kompletnie pijani. Po wytrzeźwieniu chętnie płacili, żeby uniknąć skandalu.

- Myślał, że ty też mu zapłacisz, ale nie miałaś pieniędzy.

Tarquin przytaknął ruchem głowy.

- Był na tyle bezczelny, żeby zwrócić się do ciebie. - Zaciśnął usta tak mocno, że aż szczęki mu zbieleły. - Chętnie bym go zatłukł już za samo to, nie mówiąc o tym, co zrobił Jenny!

- W ten sposób z całą pewnością sprowadziłyś na nas wszystkich jeszcze większe nieszczęście - wytknęła mu ze złością Emily. - Nie zdążyliśmy pozbierać się z jednej katastrofy, a ty już chcesz wywołać następną.

Tarquin zwiesił głowę.

- Tak czy inaczej, zadbam o to, żeby Jenny miała przyzwoity pogrzeb - rzekł łamiącym się głosem. - Nie była taką całkiem złą dziewczyną.

Wprawdzie Emily wciąż była wściekła na brata, ale nie

potrafiła mu odmówić współczucia. Pochylając się, popatrzyła w jego zwilgotniałe oczy.

- Bardzo mi przykro z powodu losu, jaki spotkał Jenny. Gdybym wiedziała, nie krzyczałabym tak na ciebie. - Uścisnęła serdecznie dłoń Tarquina. - Wasz związek był szaleństwem, nadal nie żywię co do tego wątpliwości, ale cieszę się, że chociaż łączyło was cieplejsze uczucie. Jenny mogła umrzeć, nie mówiąc nic na temat bigamii, tymczasem zadbała o to, żeby uspokoić twoje sumienie. Myślę, że ona cię kochała - zakończyła miękko.

Tarquin pokiwał głową, a potem długo wycierał nos.

Emily czekała, aż brat się uspokoi. Najwyraźniej ciężko przeżywał śmierć Jenny. Zakochał się w prostytutce, która najpierw go oszukała, a potem ryzykowała i poświęciła życie, żeby mu pomóc. Ku swemu zdziwieniu, Emily nie potępiała brata, dowiedziawszy się, kogo obdarzył uczuciem. Przeciwnie, raczej go podziwiała za to, że miał odwagę wznieść się ponad konwenanse. Teraz, kiedy znała już prawdę, zaczęła podejrzewać, że stojąc przed ołtarzem, wcale nie był tak do końca nieświadomy tego, co robi. Co dziwniejsze, ta konstatacja podziałała na Emily uspokajająco.

Podniosła się i przeszła do okna. Na zewnątrz trwał piękny wiosenny poranek. Emily wystawiła twarz na ciepłe promienie słońca. Pąki na lipach prawie całkowicie się rozwinęły i drzewa wyglądały jak puszyste kępy świeżej zieleni. Emily z westchnieniem odwróciła się plecami do miłego dla oka widoku.

- Powiesz rodzicom, jaki był prawdziwy powód twojego zniknięcia?

Tarquin pokręcił głową.

- Jestem wdowcem legalnym czy nie i nie ma sensu martwić ich wiadomością o zmarłej synowej.

- To prawda - przyznała Emily.

Przez chwilę przechadzała się tam i z powrotem, wreszcie przystanąła, spoglądając na brata bezradnie.

- Obawiam się, że wkrótce co innego może ich zmartwić jeszcze bardziej.

Po raz pierwszy tego ranka zaczęła się zastanawiać nad własnym, niewesołym położeniem. Ile czasu może minąć, zanim Violet Pearson wróci do Londynu, żeby zrujnować jej przyszłość?

Zaledwie wczoraj - choć wydawało jej się, że to było znacznie dawniej - napisała do Stephena Bonda list, w którym wyjaśniała mu otwarcie, że może liczyć jedynie na jej przyjaźń. Zrobiła to, kierując się altruizmem, a teraz ze wstydem poczuła ulgę, że list pozostał niedoręczony i nadal spoczywał w kieszeni jej płaszcza.

Cóż jednak mogła zrobić? Czy byłaby w stanie zachęcić Stephena do oświadczyn tylko po to, żeby ocalić reputację? To by znaczyło, że Sara miała rację, zarzucając jej egoizm.

Czy gdyby oficjalnie zaręczyła się przed powrotem pani Pearson do miasta, wybawiliby ją to przed atakiem ze strony tej wścibskiej jędry? A co najważniejsze, gdyby jednak rozeszły się pogłoski, że widziano ją w skandalicznych oko-

licznościach z pewnym kawalerem, czy Stephen wycofałby się z zaręczyn? Miałby pełne prawo to zrobić.

- Nie domyślam się, o co ci chodzi. Musisz mi wytłumaczyć, o czym mówisz - ponaglił Tarquin.

Emily z rezygnacją przedstawiła bratu swój problem.

- Violet Pearson! Że też akurat na nią musiało trafić! - prychnął Tarquin z obrzydzeniem. - Nie bywam zbyt często w tych kręgach, ale nawet ja wiem, że ta stara wiedźma wyjdzie z siebie, żeby zaszkodzić naszej rodzinie. - Uderzył otwartymi dłońmi o uda. - Co, do diabła, Hunter sobie wyobrażał, zabierając cię do gospody, gdzie ktoś mógł was łatwo zauważyć razem? Już ja mu nagadam do słuchu, jak tylko go spotkam!

W pierwszym odruchu Emily się roześmiała.

- Ty nagadasz jemu? - spytała z niedowierzaniem. - Chyba zapomniałeś, że Mark wyświadczył nam wielką przysługę, angażując się w to wszystko. Zastanów się, to zrozumiesz, że postój Pod Różą i Koroną był koniecznością, a nie fanaberią. Mark ryzykował zdrowie koni, przejeżdżając wiele mil z pełną prędkością. Te biedne zwierzęta ledwo trzymały się na nogach i gdybyśmy nie dali im odpocząć, mogłabym nigdy nie wrócić bezpiecznie do domu.

- Uspokój się! - mruknął Tarquin. Dobrze wiedział, że zasłużył na skarcenie. - To wcale nie znaczy, że wolałbym, byś wpadła do jakiegoś rowu, niż ryzykowała kompromitację. - Nagle zachichotał pod nosem. - Swoją drogą, jak na damę, która jeszcze niedawno patrzyła krzywym okiem

na Marka Huntera, stajesz w jego obronie bardzo szybko i chętnie.

Na tę złośliwą - choć skądinąd celną - uwagę Emily oblała się rumieńcem.

- Mam po temu powody, podobnie jak ty. Gdyby Mark nie przybył mi na odsiecz, może nadal pozostawałabym na łasce Devlina i byłaby to twoja wina.

- Zatem nie ma innego wyjścia - oznajmił Tarquin zdecydowanie. - Hunter musi się z tobą ożenić.

W tym momencie na progu jadalni stanęła Millie.

- Ma pani gościa, panno Emily - powiedziała tonem, w którym dało się wyczuć zaskoczenie niezapowiedzianą wizytą o tak nieprzyzwoicie wczesnej porze. - Pan Hunter czeka w holu.

Oszołomiona Emily spojrzała bezradnie na brata i spozstrzegła na jego twarzy chytry uśmieszek.

- Wprowadź go, Millie - poleciła służącej słabym głosem.

Usłyszawszy nazwisko gościa, Emily odniosła wrażenie, że serce nagle przestanie jej bić. Zaraz potem zaczęło walić jak oszalałe. Rzecz jasna, spodziewała się, że Mark przyjdzie, żeby porozmawiać z nią o tym, co wydarzyło się w gospodarstwie, ale nie przypuszczała, że zjawi się tak wcześnie, i nie była przygotowana, by go przyjąć.

Cały czas miała w pamięci, że gdyby poprzedniego wieczoru, zmęczona i bliska hysterii, nie wygłosiła tamtej niefortunnej uwagi, nie musiałyby się tak obawiać spotkania.

Mark przyjął jej głupi żart ze śmiertelną powagą. Wciąż miała przed oczyma jego posępny profil, kiedy zapatrzony

przed siebie w ciemność poganiał konie do szybszego biegu. Przez całą resztę drogi do Mayfair w ogóle się do siebie nie odzywali.

Chyba nie sądził, że naprawdę oczekiwała jego oświadczeń? Jakże by mogła! Wiedziała przecież, że jest związany z inną kobietą. Wiedziała też, że jego zainteresowanie jej osobą nie wykraczało poza niezobowiązujący flirt.

Prawdopodobnie najbardziej wystraszyło go, że Emily wypowiedziała na głos to, co inni musieli pomyśleć. Jeśli dżentelmenowi zdarzyło się skompromitować pannę z dobrego domu, środowisko uznawało, że jego obowiązkiem jest oświadczyć się o jej rękę. W ich przypadku jednak sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Dżentelmen domyślał się, że panna nie jest aż tak cnotliwa, jak można by się spodziewać, i wcale nie miał ochoty się poświęcać.

- Na pewno jest tu po to, żeby ratować twoją reputację.

Wygłoszona szeptem uwaga, która miała pokrzepić Emily, tylko wzmogła jej zakłopotanie. Z pewnością Mark nie zamierzał jej prosić o rękę. Emily domyśliła się, że przybył tak wcześnie, by dać jej do zrozumienia, iż nie zamierza pokutować za cudze grzechy. Czyż mogła mieć mu to za złe? I tak już przez nią ucierpiał, bo choć zadał sobie wiele trudu, by jej pomóc, mógł zostać uznany za uwodziciela bez serca, a nie wybawcę.

Mark wszedł do pokoju jak zwykle oszałamiająco przystojny i, co dziwniejsze, emanujący spokojem. Prezentował się wyjątkowo elegancko - w czarnym surducie, śnieżnobiałym fularze i wyglansowanych do połysku butach - co

kazało przypuszczać, że jego wizyta dotyczy sprawy wielkiej wagi. Jego nieskazitelny wygląd przypomniawszy Emily, że tego ranka była zbyt zaabsorbowana ostatnimi wydarzeniami, by odpowiednio zadbać o toaletę. Szybko odgarnęła z czoła rozwichrzone kosmyki i przygładziła fałdy różowej domowej sukni.

Kiedy Mark na nią spojrzawszy, uśmiechnęła się do niego, chcąc mu w ten sposób dać do zrozumienia, że nie ma czego z jej strony się obawiać. Wiedziała już, że jest zawnym, przyzwoitym człowiekiem i postanowiła zwolnić go z wszelkich ewentualnych zobowiązań, by mógł ożenić się z kobietą, którą kocha.

Uśmiech zamarł na ustach Emily na widok ironii, malującej się na twarzy Marka.

Tarquin od razu podszedł do gościa i wyciągnął rękę.

- Miło cię widzieć - odezwał się tonem, wyrażającym nie tylko radość z odwiedzin, ale i ogromną wdzięczność.

Po momencie wahania Mark przyjął podaną dłoń.

- Wybacz, że nie odwzajemnię komplementu. - Uwolnił rękę z wylewnego uścisku Tarquina. - Prawdę mówiąc, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby cię więcej nie oglądać, Beaumont.

Tarquin zaczerwienił się ze wstydu.

- Wiem, że sprawiłem trochę kłopotu - wymamrotał, zwieszając głowę.,

- Masz skłonność do używania eufemizmów - stwierdził Mark tonem podszytym kpina. - Co z Jenny? - zapytał rzeczowo.



W odpowiedzi Tarquin tylko pokręcił głową.

- Bardzo mi przykro. - Po chwili milczenia dodał: - Chciałbym porozmawiać na osobności z twoją siostrą.

Tarquin zerknął na Emily i odchrząknął.

- Tak... oczywiście... rozumiem... - wymruczał, cofając się ku drzwiom. Nim zniknął w korytarzu, zdążył mrugnąć porozumiewawczo do siostry.

- Tak... widzę, że rzeczywiście rozumie - zakpił Mark, gdy tylko drzwi się zamknęły.

Emily była zła na brata za to, że przez jego głupie zachowanie Mark mógł odnieść wrażenie, iż między rodzeństwem Beaumontów istnieje jakaś konspiracja.

- Właśnie mu opowiedziałam o niefortunnym spotkaniu z panią Pearson...

- Przepraszam, że zjawiam się o tak wczesnej porze - zaczął Mark. - Miałem nadzieję zastać twojego ojca w domu. Wiem, że wstaje wcześnie.

- Wstaje bardzo wcześnie - powtórzyła Emily słabym głosem.

Kiedy podszedł bliżej, Emily poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła; jak zawsze jego obecność wprawiała ją w stan niepokoju. Tęskniła za uściskiem mocnych ramion, za pocałunkami i pieszczotami, kojącymi najgorsze lęki. Splotła ręce za plecami, podczas gdy miała wielką ochotę podbiec do Marka i rzucić mu się na szyję. Cofnęła się o krok, uświadamiając sobie ze smutkiem, że tak naprawdę ponad wszystko pragnie zostać żoną Marka Huntera.

- Wiesz, po co tu jestem, Emily - zaczął rzeczowym tonem Mark.

- Tak... Ale zanim powiesz coś więcej, powinienes coś wiedzieć...

- Istotnie, jest coś takiego - potwierdził spokojnie. - Dwa z moich pytań pozostały bez odpowiedzi. Na jedno zdołałem sobie odpowiedzieć sam. Wtedy, gdy pierwszy raz miałaś spotkać się z Rileyem na Whiting Street, zaczęłaś się w biurze adwokackim, żeby uniknąć Devlina, tak?

Emily potwierdziła skinieniem.

- A to drugie pytanie? - Przybrała ponaglący ton, chcąc jak najszybciej przejść do sedna sprawy i mieć to już za sobą.

- Spytałem cię kiedyś, dlaczego odrzuciłaś mój komplement dotyczący niewinności. Wciąż czekam, żebyś mi to wyjaśniła.

Nie spodziewała się takiego żądania. Słowa, którymi miała go uwolnić, uwięzły jej w gardle.

- Myślę, że wiesz, o co mi chodziło - powiedziała. Srebrzyste oczy, dotąd osłonięte rzęsami, spojrzały na Marka dumnie i wyzywająco.

- Domyślam się, że ma to coś wspólnego z owym „przeпадaniem za sobą”, o którym wspominał Devlin.

Emily zadarła podbródek jeszcze wyżej.

- Jest pan bardzo domyślny, sir.

- Jak bardzo za nim przepadałaś?

- Tak bardzo, jak to tylko możliwe - odparła prawie szeptem. - Nie musimy bawić się w szarady. Nie urazisz moich

uczuć, mówiąc o cielesnej miłości. Z pewnością domyśliłeś się, że spałam z Nicholasem, kiedy byliśmy zaręczeni. Nie jestem dziewicą. Nie chcę, żebyś czuł się zobowiązany do chronienia mojej reputacji przez proponowanie mi małżeństwa. Oczywiście jeśli miałeś taki zamiar.

Nieprzenikniony wyraz twarzy Marka i jego uporczywe milczenie zaczynały ją wprawiać w popłoch. Coraz większą trudność sprawiało jej dobieranie odpowiednich słów.

- Może dobrze, że nie zastałeś mojego ojca, jeśli chciałeś z nim rozmawiać o umowie małżeńskiej. Mimo to, przychodząc tu, nie zmarnowałeś czasu - mówiła dalej, nie oczekując już, że Mark się w końcu odezwie. - Bez wątpienia uważasz, że narzucono ci niechciane zobowiązanie. Możesz być spokojny, że tak nie jest, i nie ma potrzeby, żebyś rozmawiał z moim ojcem. - Podeszła do stołu i zaczęła zbierać używane naczynia i sztucce. Widelec wypadł jej z drżących rąk i z brzękiem wylądował na mahoniowym blacie. Dała sobie spokój ze sprzątaniami, zacisnęła dłoń na krawędzi stołu. - Źle się stało, że byliśmy widziani podczas tego krótkiego odpoczynku w gospodzie, w dodatku przez tak wścibską osobę. Jednakże nie ma potrzeby, byś starał się chronić moje dobre imię. - Zamknęła oczy, modląc się w duchu, żeby jednak coś powiedział. Nawet złośliwa uwaga, że nie ma już czego chronić, byłaby lepsza niż to zacięte milczenie. - Mam przyjaciela - brnęła dalej. - Wiem, że jest mi przychylny. To odpowiedni moment, żebyśmy oficjalnie się związali. - Wolno uniosła wzrok na twarz Marka.

- Sądysz, że Stephen Bond będzie zadowolony z lubieżnej żony?

Emily poczuła, że się rumieni.

- Nie sądzę, żeby to, iż widziano nas razem, wzbudziło aż tak daleko idące plotki.

- Chyba wiesz, że nie to miałem na myśli.

Rumieniec na policzkach Emily przybrał odcień purpury.

- Stephen nigdy się o tym nie dowie. Chyba że powiesz mu to ty albo Nicholas.

- Oczywiście, że się dowie - powiedział Mark z nutą szyderstwa w głosie. - Dowie się natychmiast, gdy pójdzie z tobą do łóżka. - Nagle się zastanowił i dodał: - A może już poszedł - mruknął. - Czy z panem Bondem też „za sobą przepadacie”? Czy po prostu podniecała cię myśl, że będziesz wicehrabiną?



## Rozdział szesnasty

- Jak śmiesz!

Emily poczuła się upokorzona, ale nie wybiegła z pokoju, chociaż miała na to wielką ochotę, tylko stanęła naprzeciw Marka.

- Byłam bardzo młoda, kiedy po raz pierwszy zakochałam się i pozwoliłam uwieść Nicholasowi. - Wzięła głęboki oddech. - Gorzko żałuję, że dałam się nabrać na jego kłamstwa, ale nie jestem już tamtym głupim, naiwnym dzieckiem. - Odchyliła głowę, żeby mu spojrzeć w oczy. - Sam nie jesteś wzorem cnót, a masz czelność moralizować! Ciekawa jestem, czy pani Emerson zdaje sobie sprawę z tego, jaki jesteś niestały w uczuciach.

- To, czy zdaje sobie sprawę, czy nie, nie ma znaczenia  
- odparł chłodno.

- To tylko potwierdza moją opinię o twoim charakterze  
- rzuciła drwiąco. - Nieładnie, że okazujesz tak niewiele szacunku dla uczuć kobiety, którą kochasz.

Mark się zaśmiał.

- Nie ma pani pojęcia, o czym mówi, panno Beaumont - powiedział. - Proponuję, żeby pani zostawiła w spokoju temat moich romansów.

- Chętnie! Pod warunkiem, że pan odczepi się od moich.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się spojrzeniami. Emily pierwsza odwróciła wzrok, czując, że Mark się nie podda.

- Nie ma potrzeby, żeby pan zostawał dłużej - oznajmiła sztywno. - Jeśli zatrzymuje tu pana troska o moją przyszłość, to zapewniam, że może pan być zupełnie spokojny. Chyba pan wie, że pana nie lubię. Nie wyszłabym za pana, nawet gdyby jedyną alternatywą było zarabianie na życie na ulicy.

- Jestem pewien, że Devlin byłby pani najgorliwszym klientem. Wie, że nadaje się pani do tej pracy - odrzekł Mark lekkim tonem.

Widząc, że z oburzenia zabrakło jej tchu, tylko się uśmiechnął. Jednak pod dobrze udawaną nonszalancją kipiła nieopanowana zazdrość. Potwierdziły się najgorsze obawy: kobieta, którą pokochał, spała z człowiekiem, którym pogardzał. Jednak gdyby straciła dziewictwo z poczciwym Stephenem Bondem, wcale nie czułby się lepiej. Pierwotna potrzeba bycia pierwszym, który ją posiadzie, nie dała się stłumić. Dlatego zachowywał się tak bezdusznie i okrutnie.

- Możesz mnie nie lubić, skarbie - odezwał się drwiąco - ale jakie to ma znaczenie? Oboje wiemy, że możemy zapomnieć o lubieniu i poprzestać na namiętności.

Emily odwróciła się gwałtownie, szukając w myślach

odpowiednio ostrych słów, żeby mu odpowiedzieć. Brutalnie wyraził to, że do siebie pasują, ale przecież miał rację. Jeszcze zanim sobie uświadomiła, że jej stosunek do Marka się zmienia, pociągał ją jako mężczyzna. Drażniło ją kpiące spojrzenie, irytowały uszczypliwości, a mimo to jego obecność zawsze ją przyjemnie ożywiała.

To ona nie była do końca szczerą. Kiedyś mogła sobie wmawiać, że nie lubi Marka Huntera, ale teraz już nie. Choć miała prawo obrazić się na niego za to, co mówił, nie mogła zaprzeczyć, że jest jej bliski. Co więcej, obawiała się, że go pokochała. Jednak nie zamierzała być pogardzaną żoną Marka, tak jak w przeszłości nie zgodziła się na upokorzenie, jakim byłoby wymuszone małżeństwo z Nicholasmem. Należało znaleźć inne rozwiązanie, zanim pani Pearson wróci z festiwalu muzycznego w Guildford.

- Chcesz, żebym ci dowiódł, jak dobrze byłoby nam razem, Emily? Z przyjemnością sprawię, że całkowicie zapomnisz o Devlinie.

Emily poczuła dobrze znane mrowienie, a potem falę gorąca rozchodzącą się po całym ciele. Kilka powolnych kroków i mocne palce spoczęły na jej odkrytych ramionach. Ciepłe, miękkie usta zaczęły muskać skórę na karku, po czym zatrzymały się na dłużej w zagłębieniu koło ucha. Odruchowo odchyliła głowę, poddając się pieścizocie, ogarnięta słodką bezwolnością.

Jakże łatwo potrafił rozpalić jej zmysły... Musiała się wewnątrznie uzbroić, żeby nie ulec dobrze wyćwiczonym uwodzicielskim praktykom. Pożądał jej, bez wątplenia, ale

uważał za lubieżną, a w dodatku nie zawahał się tego powiedzieć. Pożądanie mogło zawrócić w głowie, lecz bez miłości i szacunku nie było dla niej nic warte. Gorzko się o tym przekonała przy Nicholasie.

Spodiewając się nieuniknionego odrzucenia, Mark odsunął się od Emily, pozbawiając jej nawet tej drobnej okazji do okazania dumy. Podszedł do kominka i, oparty niedbale o kamienne obramowanie, przyglądał jej się z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- Kiedy rodzice dowiedzą się od Violet Pearson, co się stało, będą chcieli zaaranżować małżeństwo z pierwszym mężczyzną, który cię zechce - odezwał się. Pochylił się, podniósł kawałek drewna i dorzucił do ognia płonącego na palenisku. - Wierz mi, Stephen Bond nie będzie zabiegał o to, żeby zostać twoim mężem. Podobasz mu się, może nawet byłby chętny wejść z tobą w mniej zobowiązujący związek, ale nie zaryzykuje wydziedziczenia przez babkę, żeniąc się ze skompromitowaną kobietą. Kiedy Violet Pearson rozleje swoją truciznę, Stephen stanie się pośmiewiskiem. Augusta nie pozwoli splamić ich rodowego nazwiska.

Emily aż się wzdrygnęła, przerażona tą niesmaczną, ale jakże prawdziwą wizją. Augusta powiedziała jej przecież szczerze, że nie uważa jej za odpowiednią partię dla swojego wnuka, i to wtedy, kiedy jeszcze nie mogła mieć żadnych zastrzeżeń do reputacji Emily. Po usłyszeniu skandalicznych plotek pani Bond nigdy by nie zaakceptowała małżeństwa wnuka ze skompromitowaną panną Beaumont.



Emily ze smutkiem musiała przyznać, że Mark właściwie ocenił charakter Stephena: z pewnością nie zlekceważyłby opinii środowiska czy swego dziedzictwa z jej powodu.

Podsyciwszy ogień na kominku, Mark podszedł do drzwi i oparł się o nie plecami, krzyżując ramiona na piersi. Znow zaczął przyglądać się Emily nieprzeniknionym, jakby sennym wzrokiem. Trwało to nieznośnie długo, nim wreszcie powiedział:

- Może jednak ożenię się z tobą, skarbie. Nie dlatego, że czuję się zobowiązany. Podejrzewam, że z lubieżnej żony można mieć pewne korzyści.

- Czy to Marka Huntera widziałam przed chwilą w holu? No, no, ranny z niego ptaszek. Obawiam się, że miał pilną sprawę do mojego wyrodnego syna. - Penelope Beaumont weszła do salonu, malowniczo powiewając fałdami pastelowej sukni. - A tak nawiasem mówiąc, gdzie jest Tarquin? Czyżby schował się przed przyjacielem w obawie, że dostanie burę?

Uparte milczenie Emily zaniepokoiło Penelope. Przyjrawszy się córce z bliska, zauważyła napięcie w jej rysach i cienie pod oczami.

- Co się stało? Wyglądasz okropnie. - Penelope z wrażenia aż chwyciła się za gardło. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że pan Hunter cię niepokoił? Przecież to do Tarquina powinien mieć pretensje!

Pani Beaumont zrobiła minę, jakby nagle coś zaczęła podejrzewać. Przez lata niejednym raz zzymała się, słysząc,

jak jej córka opryskliwie zwraca się do Marka Huntera. Nawet dziwiła się, że on to znosi tak spokojnie. Jeśli Emily w końcu usłyszała od niego ostrzejsze słowa, to może po prostu jej się należało.

- Byłaś dla niego nieuprzejma?

Emily już miała zaprzeczyć, lecz zamiast tego przycisnęła dłoń do ust, bo znienacka wezbrał w niej histeryczny chichot.

- Na litość boską! - obruszyła się pani Beaumont. - Nie wystarczy, że mamy syna, który z reguły zachowuje się głupio? - Wyraźnie poirytowana szarpnęła szal zsuwający się jej z ramion. - Pan Hunter jest takim wpływowym dżentelmenem. Miałam nadzieję, że przekonasz go, by nadal przyjaźnił się z Tarquinem. Zawsze mi się wydawało, że Mark ma do ciebie słabość mimo twojej oschłości. - Penelope skierowała się do drzwi. Już stojąc w progu, dodała: - Wybieram się na zakupy, ale wolę pójść sama.

Natychmiast po wyjściu matki Emily schroniła się w zaciszu swojego pokoju. Nie dane jej było jednak odprężyć się drzemką, ponieważ wkrótce pod drzwiami stanął jej brat i zaczął się domagać, by go wpuściła do środka, ponieważ chce z nią porozmawiać. Nie zniechęciła go stanowcza odmowa; zaczął zadawać pytania przez dziurkę od klucza. „Czy Hunter będzie moim szwagrem?” To pytanie powtarzał kilka razy. „Czy w przyszłym tygodniu, kiedy pani Pearson wróci do miasta, wybuchnie skandal?”

Emily leżała na łóżku z twarzą zakrytą dłońmi. Była zbyt wyczerpana fizycznie i psychicznie, żeby tego ranka jeszcze

z kimkolwiek się użerać. Po prostu nie zwracała na Tarquina uwagi. Wreszcie powiedział coś na temat organizowania pogrzebu dla Jenny i odszedł. Emily obserwowała przez okno, jak jej brat, zamysłony, zmierza dokądś ulicą. Jeszcze raz spróbowała zasnąć, ale jej się nie udawało, więc postanowiła także wyjść z domu. Miała nadzieję, że świeże powietrze trochę otrzeźwi jej skołowany umysł i poprawi fatalny nastrój.

Od kilku dni nie widziała się z Sarą i nabrała ochoty na niezobowiązującą pogawędkę z przyjaciółką. Czemuż nie miałyby się rozerwać, wykorzystując niedługi czas spokoju, jaki jej pozostał? Wkrótce pani Pearson wróci z Guildford i wszystko stanie się śmiertelnie poważne.

Przy drzwiach Emily na moment się zawahała, wygładzając rękawiczki na palcach. Jeśli odwiedzi Sarę, z pewnością w ich rozmowie pojawi się temat Stephena Bonda. Zważywszy na nowe okoliczności, Emily nie była już taka pewna, czy powinna go traktować tak jak wcześniej. Z westchnieniem zeszła po schodach i ruszyła w stronę domu Sary. Doszła do wniosku, że nie ma sensu martwić się na zapas; będzie rozwiązywać problemy dopiero wtedy, gdy się pojawią. Wciągając w płuca rześkie wiosenne powietrze, rażno przyspieszyła kroku.

- Miło cię widzieć, Emily.

Odłożywszy na bok robótkę, Sara pośpieszyła witać przyjaciółkę. Ujęła ją za obie ręce.

Emily serdecznie odwzajemniła uścisk. Cieszyła się, że

po napięciu, jakie towarzyszyło ich ostatniemu rozstaniu, nie pozostał żaden ślad.

- Chodź, usiądź, każę podać herbatę - zachęciła Sara, sięgając do uchwyty dzwonka. - Tata słyszał, że twój brat podobno wrócił już do miasta. To musi być dla was wszystkich wielka ulga. - Usiadła obok przyjaciółki i spojrzała na nią ze współczuciem. - Jest dobrze czy razem z nim pojawiły się problemy?

Emily myślała o tym, jak wykręcić się od odpowiedzi na to niebezpieczne pytanie, gdy niespodziewanie została wywabiona z kłopotu: w progu salonu stanęła pani Harper.

- O, witaj, moja droga. Jakże miło cię widzieć. Nie wiedziałam, że masz gościa, Saro. Zamierzasz mi towarzyszyć czy *raczej* wolisz zostać w domu, *skoro* Emily cię odwiedziła? Nie powiedziałam, że na pewno będziesz...

- Na pewno nie będę, ale dziękuję, mam - oświadczyła Sara, uśmiechając się porozumiewawczo do przyjaciółki.

- Och... nie chcę cię zatrzymywać, skoro miałaś wyjść - wtrąciła Emily. - Mogę wpaść kiedy indziej - dodała i zaczęła podnosić się z miejsca.

- Nie! Nalegam, żebyś została! - zawołała Sara, przytrzymując ją za rękę. Skany Anula43, przerobienie pona.

Pani Harper uśmiechnęła się do dziewcząt, pomachała im na pożegnanie i wyszła.

Sara odwróciła się do Emily, teatralnym ruchem przykładając dłoń do piersi.

- Nie porzucaj mnie, proszę! Byłam gotowa wymówić się migreną, byle ominęła mnie męka popijania słabą herbatą

zjełczałego tortu. Poza tym przy tej starej żoździe z wiecznie skwaszoną miną sama robię się jędzowata.

Emily ściągnęła rękawiczki i rozsiadła się na miękkich poduszkach sofy. Po raz pierwszy od wielu godzin ogarnął ją lepszy humor, a ciężar przygniatający serce trochę zelżał.

- Która gospodyni domu zasłużyła na tak złośliwą ocenę? - Emily udała, że się namyśla. - Przychodzi mi do głowy kilka osób pasujących do tego opisu, ale musisz mnie oświecić, bo nie chcę obrazić niesłusznymi podejrzeniami któregoś z przyjaciółek twojej matki.

Sara wbiła igłę w płótno, żeby zaznaczyć miejsce pracy, i odłożyła tamborek na bok. Następnie, umościwszy się wygodnie obok przyjaciółki, przystąpiła do wyjaśnień.

- Violet Pearson w połowie drogi zrezygnowała z wyprawy do Guildford i wróciła do Londynu. I natychmiast zaprosiła wszystkich na herbatę. - Sara zachichotała, nie widząc przerażenia malującego się na twarzy przyjaciółki. - Mama twierdzi, że Pearsonowie są skąpi i tylko jeden powód mógł ich skłonić do odżalowania pieniędzy wydanych na podróż i wydatkowania kolejnych na przyjęcie zaraz po powrocie: Violet musiała odkryć coś naprawdę niesłychanego i chce jako pierwsza wystąpić z pikantną plotką!

Po raz drugi w tym samym tygodniu Geoffrey Lomax, wpatrując się w szerokie plecy swego pana, zastanawiał się, co znowu mogło go wprawić w tak podły nastrój. Przed momentem pan Hunter wszedł do domu i natychmiast

udał się do swego gabinetu, rzucając lokajowi w przelocie pojedyncze słowo powitania.

Lomax z rezygnacją wzruszył ramionami. Zamierzał przekazać panu Hunterowi, że czeka na niego gość, ale nie miał wystarczająco zwinnych nóg, by go dogonić, a nie wypadało mu wykrzyknąć tej wiadomości za odchodzącym. Nie pozostawało mu nic innego, jak pozwolić, by pan Hunter sam odkrył, że czeka na niego brat.

Mark zastał Jasona w swoim gabinecie, rozgrzewającego się koniakiem przy kominku.

- Widzę, że się rozgościłeś - powitał go z odrobiną uszczypliwości.

Rozparty wygodnie w fotelu Jason wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Masz mi za złe, że jestem zadowolony z życia? - odezwał się wyzywająco.

Mark uśmiechnął się pod nosem. Czy drażniło go zadowolenie Jasona? Nie, lecz z pewnością chciałby je podzielać. Jeszcze niedawno współczuł bratu utraty kawalerskich swobód. To było, zanim Emily Beaumont spojrzała na niego błagalnie zniewalającymi srebrzystymi oczyma i poprosiła go o pomoc w odnalezieniu brata. Oddał jej serce i duszę i teraz tego żałował. W odruchu bezsilności napełnił kieliszek i opróżnił go jednym haustem. Dopiero po chwili, przypominając sobie o dobrych manierach, gestem zaproponował bratu następną kolejkę.

Jason odmówił. Z uwagą przyjrzał się posępnemu obliczu Marka.

Już od jakiegoś czasu zachowywał się dziwnie, dlatego Jason przyszedł sprawdzić, czy podejrzenia Helen były uzasadnione. Lady Hunter nakazała mężowi, by przyprowadził Marka do ich domu na kolację jeszcze tego wieczoru. Jason uznał, że nie zaszkodzi poprzedzić zaproszenia krótką pogawędką na osobności.

Helen była pewna, że Mark i Emily Beaumont, mimo pozorów wskazujących na coś wręcz przeciwnego, zakochali się w sobie z wzajemnością. Jason był wystarczająco rozumny, by nie spierać się z żoną w kwestiach, w których decydujące znaczenie miała jej niezrównana kobieca intuicja. Zauważył jednak, że w sytuacjach, kiedy przebywali wszyscy razem, Emily nie sprawiała wrażenia specjalnie oczarowanej Markiem, lecz traktowała go raczej chłodno. Ostatnio na przyjęciu muzycznym u Fiony Gerrard ta para spędziła wprawdzie jakiś czas sam na sam, ale Jason tłumaczył to sobie koniecznością odbycia poufnej rozmowy na temat niesfornego Tarquina.

Mark wpatrywał się w ogień niewidzącym wzrokiem, więc Jason miał okazję dokładniej go poobserwować. Wiedział z własnego doświadczenia, że droga do miłości i szczęścia potrafi być wyboista, a Mark sprawił na nim wrażenie ofiary liżącej rany.

- Helen przysłała mnie tu, żebym cię wyciągnął do nas na kolację. Absolutnie nie przyjmie odmowy - dodał szybko, widząc, że Mark zastanawia się nad odpowiedzią, i spodziewając się jakiegoś wykrętu.

- Kto jeszcze jest zaproszony?

Jason uśmiechnął się; dobrze wiedział, skąd bierze się podejrzliwość Marka. W przeszłości przy takich okazjach Helen zdarzało się sadzać szwagra obok różnych panien na wydaniu, będących jednocześnie jej koleżankami.

- Żadnego swatania, obiecuję - uspokoił go Jason. - Tylko my troje. Helen martwi się, że ostatnio rzadko cię widzimy. Co się z tobą dzieje?

Mark przez chwilę bezmyślnie obracał w palcach pusty kieliszek. W końcu wstał, żeby go ponownie napełnić.

- Odbywałem zaloty - oświadczył, parszkając śmiechem pozbawionym wesołości. Odstawił kieliszek na biurko. - To właśnie robiłem. Chyba nie mam ochoty na towarzyskie spotkania.

- Cholernie ciężka robota - rzekł współczująco Jason, zakładając nogę na nogę. - Nie chciałbym drugi raz przez to przechodzić. - Mark wiedział o przeszkodach, jakie Jason musiał pokonywać, starając się zdobyć Helen Marlowe. - Masz ochotę o tym pogadać?

- Nie. - Mark obszedł biurko i zaczął bezładnie przekładać leżące na nim papiery.

- Rozumiem, że ta dama odrzuciła twoje oświadczenia, zatem mogę też założyć, że nie chodzi o Barbarę. Ona stałaby z tobą przed ołtarzem choćby jutro.

- Zrobiłeś się cholernie dociekliwy. Bardzo dziękuję Helen za zaproszenie, ale...

- Jestem twoim bratem - przerwał mu spokojnie Jason.

- Wiem, że coś jest nie w porządku, i martwię się, widząc cię nieszczęśliwym, ale skoro nie chcesz o tym mówić... -



Wzruszył ramionami. - To twoja sprawa. - Wstał z fotela, podszedł do Marka i zajął mu w oczy. - Zrobiłem, co mogłem, a ty możesz przynajmniej trochę się postarać. Jeśli wrócę bez ciebie, czeka mnie utyskiwanie i bardzo samotna noc.

- Uroki małżeńskiego życia? - zakpił Mark.

- Mniej więcej - odparł poważnie Jason. - Nie zaszkodzi ci bardziej niż mnie. Jeśli ją kochasz, wytrzymasz znacznie więcej...

- Naprawdę uważam, że powinnam już iść.

Emily rozmawiała z Sarą przez czterdzieści niemiłosierdzie długich minut, zanim wreszcie odważyła się wypowiedzieć to zdanie. Od chwili gdy dowiedziała się o przedczesnym powrocie Violet Pearson, z najwyższym trudem zachowywała pozory dobrego nastroju. Gdyby nie zasady kindersztuby, opuściłaby Sarę natychmiast po usłyszeniu zwiastującej katastrofę wiadomości.

Instynkt kazał jej zachować przed przyjaciółką w tajemnicy podejrzenia co do rewelacji, jakie Violet Pearson zamierzała ogłosić światu. Pomyślała, że kiedy pani Harper wróci z popołudniowej herbatki, Sara i tak wszystkiego się dowie, podobnie jak reszta towarzystwa. Tego wieczoru salony w całym Londynie będą huczeć od plotek na temat Emily Beaumont.

Sara spojrzała na przyjaciółkę z niepokojem. Zauważyła, że nastrój Emily zmienił się na wieść o pani Pearson.

- Powiedziałam coś, co cię zdenerwowało? Nie wyraża-

łabym się tak o pani Pearson, gdybym wiedziała, że ją lubisz.

Emily zaśmiała się z goryczą.

- Wielkie nieba, dobrze wiesz, że jej nie znoszę.

Sara zmarszczyła czoło, zbita z tropu.

- Napij się jeszcze herbaty - zachęciła, sięgając po dzbanek.

Emily odstawiła na stół filiżankę; brzęk porcelany zdradził, że trzęsą jej się ręce.

- Nie, dziękuję. - Widząc, że Sara czuje się urażona, dodała szybko: - To nie z twojego powodu, przysięgam. Ja po prostu... masz rację... - Odetchnęła z ulgą, przypominając sobie, że może odwołać się do czegoś, o czym przyjaciółka wspomniała wcześniej. - Powrót mojego marnotrawnego brata oznacza nie tylko radość. Tarquin nie byłby sobą, gdyby nie towarzyszyły mu kłopoty.

Sara współczująco uściśnęła dłonie przyjaciółki i cmoknęła ją w policzek.

- Rozumiem, ale odwiedź mnie znowu niedługo.

Emily zmierzała szybko w stronę domu, ale na rogu Cal-lison Crescent nagle się zatrzymała. Co powinna zrobić? Pójść do swojego pokoju i schować głowę pod kołdrę aż do jutra, kiedy jej nazwisko... nazwisko jej rodziny... zostanie obrzucone błotem? Uważała, że Tarquin daje zły przykład ich młodszemu bratu Robertowi. Jakże upokarzająca była świadomość, że ona sama okazała się jeszcze gorsza!

Wydawało jej się, że ma w zapasie trochę czasu, by zde-

cydować, co dalej. Niestety, przeliczyła się, bo już balansowała nad przepaścią. Ze szlochem wzbierającym w gardle oparła się plecami o ceglany mur. Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia przechodniów, pomyślała o jedynym człowieku, który mógł ją uratować.

Otrzymała coś w rodzaju propozycji małżeństwa od Marka Huntera, ale duma nie pozwoliła jej skorzystać z tej okazji. Oświadczył jej się powodowany poczuciem obowiązku i fizycznym pożądaniem. Jak miałyby wytrzymać w związku opartym na takich podstawach? Jako jego żona, byłaby chroniona przed ostrzem złośliwych języków, lecz zabiłaby ją świadomość, że jej nieobecny mąż spędza noc w ramionach kochanki. Dałby jej nazwisko, ale jego miłość należałaby do Barbary Emerson.

Emily otarła wierzchem dłoni mokre od łez policzki. W takiej chwili mogła porozmawiać tylko z jedną osobą.

Wiedziała, że Helen nie będzie jej osądzać. Były bratnimi duszami. Helen Marlowe, zanim wyszła za sir Jasona, jako młoda wdowa, musiała narazić na szwank swoje dobre imię. Ryzyko towarzyskiego ostracyzmu nie było jej więc obce.

Wciskając zziębnięte dłonie do kieszeni, Emily zawróciła w stronę, z której przyszła, kierując się ku Grosvenor Square.

## Rozdział siedemnasty

- Mam się dobrze, Cedricu, dziękuję - skłamała gładko Emily.

Sędziwy Cedric nadstawił życzliwego ucha, żeby się dowiedzieć o zdrowie gościa. Nie musiał pytać Emily o nazwisko ani o cel wizyty, ponieważ doskonale wiedział, że panna Beaumont przyszła pogawędzić z przyjaciółką, lady Hunter. Niezwłocznie wprowadził Emily do obszernego marmurowego holu w londyńskim domu sir Jasona.

- A jak ty się miewasz? - zagadnęła Emily starego sługę.

- Nie mogę narzekać... nie mogę narzekać - odparł lokaj, kiwając głową. Nagle jego pomarszczona wiekiem twarz wyraźnie się ożywiła. - Właśnie sobie przypomniałem, że pokojówka poszła na górę ułożyć włosy lady Hunter. Zaraz podadzą kolację.

- Och... w takim razie nie będę wchodzić. Nie wiedziałam, że jest już tak późno.

Zerknęła na duży stojący zegar i przekonała się, że dochodzi za kwadrans siódma. Od chwili gdy po południu

wyszła z domu, straciła rachubę czasu. Było stanowczo za późno na składanie niezapowiedzianej wizyty nawet bliższej przyjaciółce. Uśmiechając się przepraszająco do Cedrica, zawróciła w stronę drzwi.

- Emily! - zawołała wyraźnie uradowana lady Hunter.

Szybko zeszła po schodach. W cytrynowej jedwabnej sukni, z kruczymi lokami szczesanymi na jedną stronę ślicznej twarzy, była uosobieniem elegancji.

Przywitawszy się serdecznie z Emily, pociągnęła ją w głąb domu.

- Nie zostanę. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno. Widzę, że jesteś gotowa do kolacji.

Helen zbyła jej wywód niedbałym machnięciem ręki.

- Oczywiście, że musisz zostać. Jasona nie ma jeszcze w domu. Prawdopodobnie popija ze swoim bratem. Wiem, że zamierzał spotkać się z Markiem. - Helen była ciekawa, jak przyjaciółka przyjmie tę rzuconą niby mimochodem informację. Z zadowoleniem odkryła, że wzmianka o Marku wyraźnie poruszyła Emily. Helen zauważyła też, że Emily jest nienaturalnie blada i ma podkrążone oczy. - Wejdźmy do niebieskiego salonu. Właśnie skończyłam go urządzać i musisz mi powiedzieć, czy podobają ci się meble, które wybrałam.

Emily rozejrzała się posłusznie, pochwaliła znakomity gust gospodyni, a potem obie panie zasiadły na sofie obitej tkaniną w biało-niebieskie pasy. Helen prawie natychmiast znów się poderwała, żeby nakazać służbie przyniesienie czegoś do picia.

- Nie będę nic pić, dziękuję. - Emily zdobyła się na słaby uśmiech, powstrzymując przyjaciółkę przed pociągnięciem za sznur dzwonka. - Mam w sobie mnóstwo herbaty. Właśnie byłam w odwiedzinach u Sary Harper - dodała tonem wyjaśnienia. Bardzo starała się trzymać w ryzach, ale w końcu okazało się to ponad jej siły. Uniosła dłoń do oczu, próbując ukryć łzy.

- Co się stało? - Helen serdecznie objęła przyjaciółkę. - Chyba Sara cię nie zdenerwowała? Od razu poznałam, że coś jest nie tak.

- Nie chodzi o Sarę... w każdym razie nie zrobiła niczego umyślnie. Powiedziała mi, że pani Pearson wróciła już do miasta, a ja nie mogę tego znieść.

Helen poklepała Emily po drżącym od tłumionego szlochu ramieniu.

- Wiem, że to wiedźma, ale możemy jej schować miotłę.

Udawana bez troska Helen nie zatuszowała jej niepokoju stanem przyjaciółki, którą znała jako osobę o mocnym charakterze, bynajmniej nie płacziwą.

Emily zaśmiała się przez łzy, ale milczała, zbierając się na odwagę, by wyznać przyjaciółce prawdę.

- Czyżby Tarquin dał pismakom nowy materiał na pierwsze strony? - podsunęła Helen. - Słyszałam, że wrócił do domu.

- Owszem, wybuchnie skandal, ale dotyczy mnie i nie wiem, co robić! Rodzice się załamają. - Emily przycisnęła koronkową chusteczkę do zwilgotniałych oczu.

- Nie martw się - usiłowała ją pocieszyć Helen. - Nie może

być aż tak źle. Czy mój szwagier o tym wie? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, Helen powtórzyła pytanie w zmienionej formie: - Czy Mark ma z tym coś wspólnego?

Emily potwierdziła ledwie widocznym skinieniem.

- Opowiedz od samego początku - poprosiła stanowczo Helen.

Uwolnwszy się z objęć przyjaciółki, Emily wyprostowała plecy i głęboko zaczerpnęła powietrza, dobierając w myślach pierwsze słowa. Jednak przerwano jej, zanim zdążyła wypowiedzieć choć jedno z nich.

- Kolacja tylko we troje, rozumiem...

Na dźwięk męskiego głosu obie panie jednocześnie odwróciły głowy w stronę drzwi.

W progu stali dwaj wysocy, nienagannie odziani panowie. Jeden z nich sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę okręcić się na pięcie i uciec.

Mark Hunter skierował pełne ironii spojrzenie na brata. Następnie przeniósł wzrok na Emily i długo przyglądał jej się bez słowa.

Helen uśmiechnęła się do męża, ale jej uśmiech znikł, kiedy Emily gwałtownie poderwała się na nogi.

- Muszę już iść. Przepraszam, że sprawiłam ci kłopot - powiedziała splotniona z zażenowania.

Usłyszała ironię w głosie Marka. Z pewnością wyobrażał sobie, że ukartowały z Helen to spotkanie i zwały go za pośrednictwem Jasona. Zapewne Mark podejrzewał, że Emily zmieniła zdanie i chce nakłonić go do oświadczenia, że poniżyła się do tego stopnia, by go złapać w pułapkę.

Chwilę wcześniej była bliska poproszenia Helen o radę, ale mogła się domyślić, jak ta rada będzie brzmiała. Istniał tylko jeden sposób, żeby chronić rodzinę przed niesławą: wyjść za Marka Huntera... jeśli ją zechce.

Jednak demonstrowaną drwiną Mark uświadomił jej, że to wyjście, choć racjonalne, nie wchodzi w rachubę. Upokorzona i wściekła, Emily najchętniej wygarnęłaby mu bez ogródek, co myśli o jego zachowaniu. Już miała na końcu języka, że gdyby wiedziała, iż go tu spotka, ominęłaby Grosvenor Square szerokim łukiem. Postanowiła jednak zachować resztki dumy. Z wysoko uniesioną głową skierowała się do drzwi.

- Nie będę zakłócać pańskich planów na ten wieczór, sir. Wychodzę - oznajmiła, zbliżając się do Marka.

- Jeśli z mojego powodu, to nie musi pani, panno Beaumont. - Wyszedł jej naprzeciw.

Emily zwolniła kroku. Musiałyby zejść na bok, żeby go wyminąć, a nie chciała dać mu tej satysfakcji. Zatrzymała się gwałtownie tuż przed nim, kiedy stało się jasne, że i on nie ustąpi.

Zadarła podbródek jeszcze wyżej; złocistorude loki zafalowały jej wokół twarzy. Dlaczego musiał zawsze wyglądać tak niesamowicie pociągająco? Nawet w tym momencie, pełnym wrogiego napięcia, tęskniła do objęć jego silnych ramion. Szybko przywołała się w duchu do porządku. Zaczęła wkładać rękawiczki, dając mu do zrozumienia, że niepotrzebnie opóźnia jej wyjście. Cichy stuk kazał jej przechylić głowę i spojrzeć ponad ramieniem Marka. Drzwi



zamknęły się za Jasonem i Helen, którzy dyskretnie opuścili salon, zostawiając ich samych.

- Pozwól mi przejść, proszę - powiedziała cicho. - Muszę iść. Jest pora kolacji.

- Przecież właśnie dlatego tu jesteś.

Postanowiła od razu sprostować jego błędne założenie.

- Nie jestem odpowiednio ubrana na taką okazję - stwierdziła, specjalnie opuszczając wzrok na spódnicę skromnej codziennej sukni.

Mark zmierzył ją leniwym spojrzeniem.

- Według mnie wyglądasz świetnie - zapewnił tonem, w którym dało się wyczuć szczerą szczerość.

- Ta uwaga pokazuje, jak słabo rozumiesz kobiety - oznajmiła wyniośle Emily.

- Być może. - Zaśmiał się trochę nienaturalnie.

Emily zwilżyła usta, nagle skrepowana tym, że Mark się w nią wpatruje. Cofnęła się o krok.

- Wiem. Uważasz, że to nie jest przypadkowe spotkanie - wyrzuciła z siebie gwałtownie - ale to nieprawda. Przyszłam tu bez zaproszenia, a twój brat i bratowa także niczego nie knuli. Nie są współnikami w spisku, by cię usidlić, i w żaden sposób nie odpowiadają za to, że czujesz się niezręcznie.

- Nie czuję się niezręcznie, natomiast jestem ciekaw, dla czego składasz wizyty o tak późnej porze.

- Przywiodła mnie tu pilna sprawa.

- Pilna sprawa dotycząca mojej osoby?

Emily poczuła zdradliwy rumieniec na policzkach.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

- Chyba wiesz, że jednak powinnaś. Co poradziła ci lady Hunter? Żebyś skorzystała z okazji i mnie poślubiła?

- Mogłabym ci zadać to samo pytanie. Jak brzmiała rada twojego brata?

- Jason nie wie, że poprosiłem cię, byś została moją żoną.

- Poprosiłeś, żebym została twoją żoną? - powtórzyła drwiąco Emily. - Czy naprawdę to mi powiedziałaś? Bo brzmiało, jakbyś sugerował, żebym została twoją... - Zaciśnęła usta, w ostatniej chwili przełykając wulgarne słowo. Próbowwała go wyminąć.

Zastąpił jej drogę.

- A ty odpowiedziałas mi tak, jakby małżeństwo ze mną było gorsze od śmierci.

Emily znieruchomiała ogarnięta wyrzutami sumienia. Usłyszała w jego głosie nie tylko złość, ale także żal. Zamknęła oczy, próbując opanować nagły zamęt w głowie. Czyżby tak dalece skupiła się na obronie własnej godności, że nie dostrzegła, iż rani jego dumę? Mark zawsze wydawał się taki pewny siebie, taki niepokonany. Owszem, odrzuciła jego propozycję, ale była przekonana, że uwalnia go od uciążliwego obowiązku chronienia jej reputacji, a co za tym idzie, wyświadcza mu przysługę. Nagle napięcie z niej opadło.

- Powinniśmy przestać zachowywać się jak rozkapryszone dzieci - powiedziała cicho.

Mark odpowiedział na jej uwagę pytającym spojrzeniem, lecz Emily czuła, że i jemu odpowiada zawieszenie broni.

Skoro już stanęli na pewniejszym gruncie, Emily posta-

nowiła wykorzystać okazję i porozmawiać z nim o sprawie, która nie dawała jej spokoju.

- Wiem, że chcesz, by Nicholas zapłacił za to, co zrobił, ale proszę cię, byś nie pogarszała sytuacji i nie bił się z nim.

Mark wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

- Nie powiem, że tego nie planowałem, lecz Riley dopadł go przede mną. Nieudany spisek zakończył się ostrą kłótnią. Devlin wrócił już do domu, ale marnie wygląda. Oficjalna wersja jest taka, że wicehrabiego zaatakowali bandyci na drodze.

Emily wstrzymała oddech.

- Martwisz się o niego?

- Nie! Mam nadzieję, że siniaki będą mu dokuczać przez wiele tygodni! - oświadczyła stanowczo. - Boję się, że jego obrażenia będą wzbudzać ciekawość, a to z kolei może prowadzić do nazbyt dociekliwych pytań.

- Devlin nie wychodzi z domu, pakuje się, by na dobre wyjechać z Londynu. Rzekomo przenosi się na wieś z troski o stan ciężarnej żony.

- Jestem pewna, że nie robi tego dla zdrowia. - Uśmiechnęła się do Marka niepewnie. - Zmusiłeś go do wyjazdu, prawda? Nie chcę wiedzieć, w jaki sposób - dodała pośpiesznie.

Mark lekko zmrużył oczy.

- Po prostu zasugerowałem mu, że tak będzie roztropnie. Devlin nie jest aż tak głupi, by nie rozumieć, że jego zachowanie może mieć przykre reperkusje. Wie, że Riley go nienawidzi i zdradzi za parę pensów. Porwanie i próba

gwałtu są surowo karane nawet w przypadku wysoko urodzonych sprawców.

Emily wolno pokiwała głową.

- A Riley?

- Przypuszczam, że gdzieś się zaszyje, by nie wpaść w łapy szemranych kompanów. Nie spodobało im się, że śmiertelnie pobił Jenny. Jej śmierć spowoduje dochodzenie i ściągnie im wszystkim na głowę policję. Przykro mi z powodu nieszczęścia, jakie ją spotkało - zakończył ze smutkiem.

- Tarquinowi też jest przykro - powiedziała cicho Emily.

- Myślę, że on naprawdę ją kochał i nadal kocha, mimo iż się dowiedział, że była bigamistką.

- Bigamistką? - powtórzył Mark z niedowierzaniem. - Tak naprawdę nie byli małżeństwem? - dodał ostrzejszym tonem.

- Tarquin tego nie wiedział aż do końca. - Emily czuła się zobowiązana stanąć w obronie brata. - Riley kazał Jenny brać ślub z mężczyznami po to, by mógł ich szantażować. Wyznała Tarquinowi wszystko przed śmiercią. Jest mu bardzo smutno, że ją stracił, więc nie możesz na niego się gniewać, bo inaczej... - Urwała w pół zdania i zamilkła.

- Bo inaczej co? - ponaglił ją Mark. - Następnym razem będziesz rozwiązywać brata problemy sama?

Skurczyła się w sobie pod jego ironicznym spojrzeniem. Miał pełne prawo być zły na jej brata i prawić mu kazania,

- Tarquin się zmienił - odparła cicho. - Jeszcze nie widziałam go tak głęboko skruszonego. Zwykle tak się śpieszy do karcianego stolika, że ledwie ma czas powiedzieć „przepraszam”. - Popatrzyła Markowi w oczy. - Wierzę, że

to okropne doświadczenie czegoś go nauczyło i skierowało na lepszą drogę.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Najwyższy czas, by się opamiętał.

Zapadła niezręczna cisza. Od kilku minut rozmawiali o różnych sprawach poza tą jedną, najważniejszą. Emily miała świadomość, że nie mogą dalej unikać kłopotliwego tematu. Nadszedł czas, by stawić czoło przeznaczeniu. Odetchnęła głęboko.

- Sprzeczki o nieistotne sprawy powstrzymują nas przed znalezieniem rozwiązania naszych problemów - odezwała się lekko drżącym głosem.

- Jest tylko jedno rozwiązanie, Emily. Wiesz jakie. - Przejechał palcami po włosach, burząc nieskazitelną fryzurę. - Należy niezwłocznie dać ogłoszenie do gazety. Czas ucieka...

- Już uciekł - szepnęła Emily. Widząc uniesione ze zdumienia brwi Marka, dodała szybko: - Violet Pearson nie pojechała do Guildford. Zrezygnowała w połowie drogi i wróciła do Londynu. Chyba nie muszę ci mówić dlaczego.

Mark uśmiechnął się nieznacznie.

- Zatem odebrano ci nawet te kilka dni oddechu.

- Podobnie jak tobie. - Popatrzyła mu w oczy. - Przykro mi. - Bezwiednie podeszła do niego bliżej. - Gdybym cię nie poprosiła, żebyś mi pomógł odnaleźć Tarquina i gdybym nie była taka głupia i nie pojechała sama z Rileyem za miasto... Nie znalazłbyś się teraz w okropnej sytuacji.

Mark podniósł rękę i położył jej palec na ustach, żeby ją

uciszyć. Emily opuściła powieki, przez moment rozkoszując się jego dotykiem. Zaraz potem odwróciła głowę na bok.

- Nie... pozwól mi dokończyć. Mam ci wiele do powiedzenia. Nie podziękowałam ci za pomoc, a przecież zasługujesz na moją wdzięczność.

- Nie chcę twojej wdzięczności, Emily.

- Wiem, że nie. Zdaję sobie sprawę, że ofiarowałeś mi pomoc bezinteresownie, i zrobiłbyś to znowu, gdyby zaszła potrzeba.

Zamilkła, wspominając te wszystkie lata, podczas których znała Marka Huntera. Jeszcze do niedawna odnosiła się do niego więcej niż chłodno z powodu incydentu związanego z aresztowaniem jej brata. Zdawała sobie sprawę z tego, że *je*) *siostrzana* miłość do Tarquina jest nadmiernie bezkrytyczna. Tarquin pozwalał sobie na zbyt wiele i Mark postąpił słusznie, próbując go utemperować. Choć niełatwo jej było przyznać się do błędu, musiała to zrobić dla spokoju sumienia.

- Jestem ci winna nie tylko wdzięczność, ale także przeprosiny. - Od palącego spojrzenia Marka robiło jej się gorąco na całym ciele. - Wiem, że posyłając Tarquina do więzienia, okazałeś surowość dla jego dobra. Powstrzymało go d hazardu i utraty resztek majątku. Niesłusznie cię za to obwiniałam. Byłam dla ciebie niesprawiedliwa. - Zerknęła na niego niepewnie spod opuszczonych rzęs. - Tarquin ma szczęście, że nadal jesteś jego przyjacielem, a ostatnio zrobiłeś tak wiele, by mu pomóc...

- Nie zrobiłem tego dla niego.

Emily podeszła jeszcze bliżej, żeby dokładnie odczytać wyraz twarzy Marka.

- Zrobiłem to dla ciebie... musiałaś zdawać sobie z tego sprawę.

Emily zajrzała w jego niebieskie oczy, w których nie było już ironii, tylko niepewność i wyczekiwanie.

- Ponieważ bardzo chciałeś się ze mną przespać? - wyszeptała.

- Ponieważ cię kocham, Emily Beaumont - oznajmił i zaraz potem dodał niskim, zmysłowym głosem: - I, naturalnie, chcę ci tego dowieść w łóżku. - Przysunął się do niej tak blisko, że ich ciała niemal się zetknęły. - Tak naprawdę, to chciałbym ci tego dowieść już teraz.

Delikatnie przyłożył lekko drżące dłonie do jej zaróżowionych policzków.

- Kochasz mnie, mimo iż wiesz, że dobrowolnie oddałam się Nicholasowi? - spytała Emily cicho.

- Nie potrafię udawać, że jestem z tego zadowolony. Przyznaję też, że odkąd mi to wyznałaś, zachowywałem się jak nadąsany smarkacz. - Przybrał rozbijającą zawstydzoną minę. - Zawsze pogardzałem hipokrytami, a zachowywałem się, jakbym sam nim był. - Delikatnie pogładził kciukiem gładką skórę koło jej ucha. - Jestem ci winien przeprosiny. To nie twoja wina, że Devlin cię uwiódł kłamstwami i fałszywymi obietnicami. Byłaś młoda i naiwna, więc to zrozumiałe, że dałaś się oszukać temu łotrowi bez zasad. Przyznaję, nie podoba mi się, że oddałaś mu tę cenną cząstkę siebie i chciałaś za niego wyjść. Z kolei tobie mo-

że się nie podobać, że w młodości kochałem Barbarę Emerson i chciałem, by została moją żoną.

Emily czuła, jak łzy napływają jej do oczu i zaczynają kłuć pod powiekami.

- Nadal krążą plotki, że macie się pobrać. I nadal jest twoją kochanką - zakończyła tonem niemal piskliwym z oburzenia, co Mark przyjął z lekkim rozbawieniem.

- Nie jest moją kochanką... już nie... - zapewnił gorliwie. - Widziałem się dziś z Barbarą i oznajmiłem jej, że między nami wszystko skończone.

Emily rzuciła mu się na szyję i przytuliła się do niego z całych sił.

- Myślałam, że wciąż ją kochasz. Sądziłam, że chciałeś się z nią ożenić, i bałam się, że mnie znienawidzisz za to, że rozdzieliłam cię z kobietą, którą planowałeś poślubić.

- Ty jesteś kobietą, którą chcę pojąć za żonę - oświadczył poważnie Mark. Musnął wargami opadająca jej na czoło jasny kosmyk. - Oboje kochaliśmy i chcieliśmy poślubić osoby, które, wiemy to teraz, głęboko by nas unieszczęśliwiły. Powinniśmy być wdzięczni losowi, że tamte związki mamy już za sobą i możemy razem budować przyszłość.





## Rozdział osiemnasty

- Zgadzą się.

- A Stephen Bond?

- Stephen jest miłym człowiekiem, ale go nie Kocham. Prawdę mówiąc, napisałam mu o tym, ale nie zdążyłam wysłać listu, bo Riley mnie porwał. - Uśmiechnęła się do Marka z czułością. - Kocham cię, i to bardzo. Będę zaszczycona, zostając twoją żoną. - Poglądziła go po policzku. - Kocham cię o wiele bardziej, niż kiedyś kochałam Nicholasa...

- Udowodnij to - zażądał Mark, głosem drżącym z pożądania.

Emily nie kazała się długo prosić. Stając na palcach, pocałowała go mocno i namiętnie. Mark pozostał nieporuszony, jakby całkowicie oddał jej inicjatywę, więc zaczęła go drażnić lekkimi, szybkimi muśnięciami warg, aż mrużąc z zadowolenia, rozchylił usta, pozwalając jej pogłębić pocałunek.

Potem podniósł ją, tak by ich twarze znalazły się na

jednej wysokości, a ona instynktownie oplótła go nogami, przywierając do niego. To wystarczyło, by zapomniał o uwodzicielskich gierkach; zgniótł jej usta w długim, szalenie zmysłowym pocałunku.

Unosząc jej ciężar bez żadnego wysiłku, podszedł do najbliższej ściany. Oparta plecami o jedwabną tapetę, podtrzymywana silnymi ramionami Marka, Emily rozpięła płaszcz i po omacku sięgnęła do guzików stanika. Drżącymi z podniecenia palcami szybko rozpiniała jeden po drugim, by w końcu odsłonić alabastrowe piersi. Mark patrzył na nią rozplómiętym wzrokiem, jakby trawiła go gorączka.

Emily wyprężyła ciało w łuk, napierając na niego biodrami, jakby bezgłośnie prosiła, by zaspokoił wzburzone w niej pragnienie.

Zaczął pieścić mlecznobiałe krągłości, najpierw delikatnie, ledwie dotykając skóry opuszkami palców, potem coraz bardziej natarczywie. Miejsce palców zajęły usta; różowe brodawki sutków pociemniały, stały się twarde, pobudzone dotykiem języka.

Emily czuła, jak stopniowo całe jej ciało wypełnia rozkosz, niewyobrażalna, potężna, granicząca z bólem. Rzucając głową na boki, usiłowała powstrzymać krzyk wzbierający jej w gardle.

Świadomy, co się z nią dzieje, Mark nakrył jej usta pocałunkiem.

- Ciii... - wyszeptał z lekkim rozbawieniem. - Zwabisz tu starego Cedrica.

Emily stężała, zaciskając mocno powieki. Zmysłowe oszołomienie ustąpiło miejsca zakłopotaniu. Była gościem w arystokratycznym domu, a zachowywała się jak portowa dziwka. Zawstydzona próbowała stanąć na nogach i trochę się ogarnać. Jej wysiłki nie przyniosły spodziewanych efektów, bo Mark wcale nie miał ochoty przerywać tak obiecująco rozpoczętej sceny.

- Och... puść mnie - poprosiła Emily, szczerze zaniepokojona. - Myślisz, że było słychać? Co twój brat o mnie pomyśli? Sądzisz, że oni wiedzą, co my... tutaj...

Mark z trudem oderwał wzrok od cudownego widoku nagich piersi, falujących w rytm przyspieszonego oddechu.

- No i co ty o mnie myślisz...

Spojrzał jej poważnie w oczy i dotknął wargami jej ust; tym razem nie był to zmysłowy pocałunek, lecz raczej niewinne cmoknięcie.

- Pokażę ci, co o tobie myślę.

Spodziewała się, że od nowa zacznie ją pieścić, tymczasem postawił ją na ziemi, po czym nieśpiesznie, po kolei, zapiął wszystkie guziki stanika. Następnie włożył rękę do kieszeni i wyjął stamtąd jubilerskie pudełeczko. Otworzył je i podsunął jej przed oczy. Wielki, cięty w rozetę brylant rozblysnął, odbijając płomień świece.

- Przyniosłem go z sobą dziś rano, ale nie miałem szans ci go wręczyć.

Podczas gdy Emily wpatrywała się w zaręczynowy pierścionek, Mark nie mógł oderwać wzroku od klejnotu, ja-

kim była dla niego Emily. Suknię miała wymiętą, loki potargane, usta obrzmiałe od jego łapczywych pocałunków. W duchu pokornie dziękował Bogu za to, że obdarzył go takim skarbem.

- Jest cudowny - wydusiła w końcu z siebie Emily.

- Nie byłem pewien, czy nie wolałabyś innego kamienia.

Nie wiedziałem, jaki dostałaś od Devlina.

Emily spojrzała mu w oczy.

- Szafir. Zwróciłam mu go bez żalu - dodała szybko. - To najpiękniejszy klejnot, jaki w życiu widziałam. Nigdy ci go nie zwrócę.

Mark ostrożnie wyjął platynowy pierścionek z aksamitnej wyściółki i włożył Emily na palec.

- W takim razie lepiej będzie, jak się z tobą ożenię, bo kosztował mnie fortunę. - Jeszcze raz ją pocałował. - Jeśli nadal nie wiesz, co o tobie myślę, Emily Beaumont, to pozwól, że tym razem wyrażę to słowami - rzekł z powagą. - Kocham cię i szanuję. Chcę, żebyśmy się pobrali już jutro, na mocy specjalnego zezwolenia. - Uśmiechnął się przekornie. - Oświadczyłbym ci się, nawet gdybym nie sprawdził, jakie korzyści płyną z małżeństwa z pełną temperamentu pięknnością.